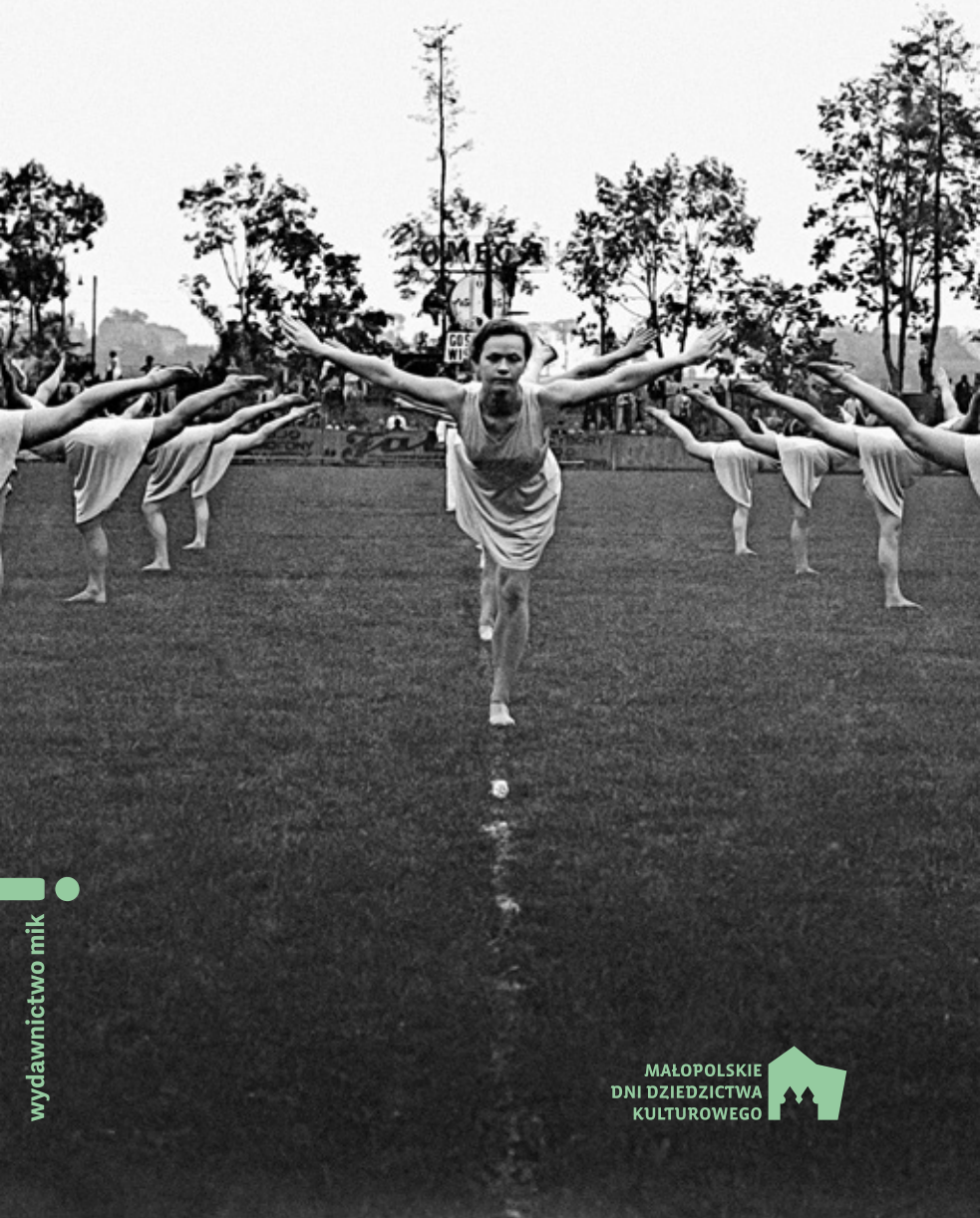
BARBARA SADURSKA

W RUCHU



wydawnictwo mik

MAŁOPOLSKIE
DNI DZIEDZICTWA
KULTUROWEGO

Ludzie we wsi jeszcze pamiętają, jak sto lat temu przyjechał do wsi wielki pan, palatyn Węgier, feldmarszałek austriackiej armii, Arcyksiążę! Cesarz pełną gębą, no, prawie. Cały swój kraj chciał zobaczyć z góry, więc się wybrał na Babią, bo króluje w okolicy, a stoi na granicach jego włości. Przyjechał z dworzanami, służbą, wszyscy mu czapkowali! Tak to moja babka opowiadała. Baby mówiły, że „świty miał sto tysięcy, a pieniędzy jeszcze więcy". No, jak kto bogaty, to wszystko może. Taki to ciągle w ruchu, co przyjedzie, to wyjedzie. I czego on się o świecie dowie, jak niczemu się uważnie nie przyjrzy, liźnie tylko, a nie posmakuje i już pędzi dalej. W górę na Babią i już z Babiej. Co on tam z góry zobaczył? Nic. Niby bogaty, a biedny.

Fragment książki



BARBARA SADURSKA

W RUCHU

małopolski instytut kultury MIK

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Wydawca:
Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
30-233 Kraków, ul. 28 Lipca 1943 17C
tel. 12 422 18 84, www.mik.krakow.pl
Dyrektorka: Joanna Orlik

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:
Joanna Nowostawska-Gyalókay
Opracowanie redakcyjne: Ewa Ślusarczyk
Korekta: Aleksandra Kleczka, Ewa Ślusarczyk
Projekt graficzny serii: Agnieszka Buława-Orłowska
Projekt graficzny, skład i łamanie, przygotowanie zdjęć do druku:
Maciej Grochot

Na okładce: Pokaz duńskich gimnastyczek na boisku Towarzystwa Sportowego Wisła w Krakowie, 1937. NAC
Na s. 4 okładki: Barbara Sadurska, fot. J. Nowostawska-Gyalókay, 2021. MIK

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego organizuje Małopolski Instytut Kultury w Krakowie. To instytucja samorządowa Województwa Małopolskiego. Jej celem jest wspieranie rozwoju sektora kultury w regionie. MIK realizuje długofalowe projekty badawcze i analizuje procesy zachodzące w kulturze. Zajmuje się też działalnością szkoleniową i edukacyjną. Ponadto promuje i upowszechnia wiedzę o dziedzictwie regionu, zachęca również do aktywnego uczestnictwa w kulturze.

ISBN 978-83-61406-51-8

© by Małopolski Instytut Kultury w Krakowie, Kraków 2021

Publikacja powstała w ramach XXIII Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.
www.dnidziedzictwa.pl

Nakład: 4000 egz.
Druk: Drukarnia Leyko

BARBARA SADURSKA

W RUCHU

SPIS TREŚCI

BEZ WYTCHNIENIA
Kościół i klasztor Pijarów w Krakowie 10

KAŻDY MOŻE BYĆ KOWALEM SWOJEGO LOSU
Kasa Oszczędności Miasta Krakowa 28

LEPIEJ JEDNAK Z PRZYJACIÓŁMI
Park im. dra Henryka Jordana w Krakowie 46

PRZETAŃCZYĆ CAŁE ŻYCIE
Poczta Główna w Krakowie 62

NAJPIĘKNIEJSZĄ LOKOMOTYWĄ NA ŚWIECIE
Fabryka Lokomotyw „Fablok" w Chrzanowie 82

POJECHAĆ DO WARSZAWY
Droga żelazna nr 103 – stacja w Regulicach 100

BY WRESZCIE POWRÓCIĆ DO DOMU
Pałac Thetschlów w Jaszczurowej 116

PO DŁUGIEJ WĘDRÓWCE
Muzeum Turystyki Górskiej
na Markowych Szczawinach w Zawoi 134

Podziękowania 150

Bibliografia 152

Szanowni Państwo!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to wyjątkowe wydarzenie w naszym regionie, podczas którego możemy odwiedzić niedostępne na co dzień miejsca. To także czas, kiedy możemy się na moment zatrzymać i wspólnie celebrować bogactwo kulturowe Małopolski.

Z powodu pandemii ubiegłoroczna edycja Dni Dziedzictwa przybrała nieco inną formę niż poprzednie. W tym roku mam jednak nadzieję na wspólną eksplorację najciekawszych zabytków naszego regionu – w bezpiecznej i ciekawej dla Państwa formie.

Wszystko się zmienia – i tak też jest z Małopolskimi Dniami Dziedzictwa Kulturowego. Dlatego ich tegoroczna odsłona zatytułowana została przewrotnie: *W ruchu* – na przekór stagnacji, którą przyniósł nam ubiegły rok – i prezentuje różne aspekty mobilności. Małopolski Instytut Kultury w Krakowie przygotował dla nas bogatą ofertę wydarzeń w trzech małopolskich i trzech krakowskich zabytkach oraz dwie niezwykłe podróże filmowe. Zachęcam, aby i Państwo wybrali się do Zawoi, Regulic, Chrzanowa, Jaszczurowej oraz do Krakowa. Można porzucić na ten czas samochód i wyruszyć pieszo, drezyną, koleją czy rowerem.

Serdecznie Państwa zapraszam na XXIII Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego. Bądźmy razem „w ruchu”!



Witold Kozłowski
Marszałek Województwa Małopolskiego

Ruch myśli jest fascynujący. Jak to się dzieje, że ze zdania, które przepływa przez głowę, rodzi się inne zdanie, i kolejne, i kolejne… Skojarzenia przenoszą nas z miejsca na miejsce, w nową całość łączą się pojęcia z odległych dziedzin, wyobraźnia przekracza wszelkie granice. To z jednej strony. Bo z drugiej leniwy mózg, który dąży do uproszczeń, z całych sił stara się ograniczyć wysiłek, jakim niewątpliwie jest myślenie. Więc zapędza nas w stare koleiny, odruchowe, schematyczne, wygodne. Jak to zrobić, żeby samego siebie bez przerwy z nich wyciągać?

Po roku przymusowego bezruchu, kiedy zwykłe czynności (wyjście do muzeum, wyjazd służbowy, urlop, odwiedzenie rodziny w święta) były tak bardzo utrudnione, zupełnie inaczej patrzę na możliwość poruszania się. Z większą radością i wdzięcznością. Krajobraz przed moimi oczami przesuwa się, zmienia się topografia, zmienia się dystans dzielący mnie od oglądanego obiektu, zza horyzontu wynurzają się nowe kształty. Fizyczne przemieszczanie sprawia, że zmienia się także perspektywa mojego myślenia. Uczę się, że z innej strony coś może wyglądać odmiennie, że z oddali widać zupełnie inne rzeczy niż z bliska.

W Małopolskich Dniach Dziedzictwa Kulturowego zawsze zależało nam na jednym i drugim. Zachęcając do wyruszenia na szlak, staraliśmy się jednocześnie prowokować do myślenia. Myślenia o dziedzictwie, historii, przeszłości, ale inaczej, na nowo, od dotąd nieznanej strony. Zawsze cieszymy się, jeśli możemy Państwa czymś zaskoczyć – odkryciem nowego obiektu, nowym tematem, pokazaniem, jak łączą się albo jak mogłyby spleść się miejsca i historie na pierwszy rzut oka zupełnie niepowiązane. Zapraszamy i tym razem, ruszajcie z nami!



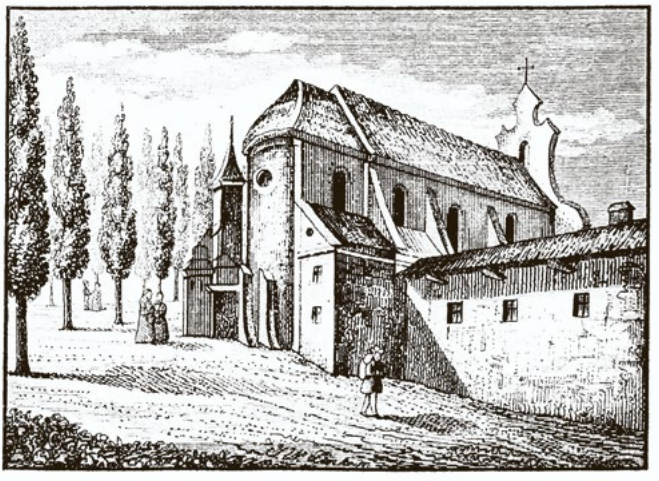
Joanna Orlik
Dyrektorka Małopolskiego Instytutu Kultury w Krakowie

Fragment ulicy św. Jana, w głębi fasada kościoła pijarów, 1934, NAC



BEZ WYTCHNIENIA

Kościół i klasztor Pijarów w Krakowie



W ruchu. W bezustannym, wiecznym ruchu. Ani chwili spoczynku. Bez przerwy człowiek się rusza. Rusza rękami, rusza nogami, rusza ustami. Oddycha, mówi, żyje. Ciągle coś robi, ciągle. Chodzi to tu, to tam, błądzi, wraca. Zapomina, myli się, miejsca sobie znaleźć nie może. Serce mu bije, dusza się z piersi wyrywa, myśli uciekają. Cały czas w ruchu.

I po co to tak? Z góry pan Bóg patrzy i się śmieje, kiedy widzi, że my tu tak się kręcimy w kółko jak śmieci spod miotły przed kryptą. Ja miotłą w prawo, a paprochy z ulicy fru, w lewo. Ja miotłą w lewo, a one fru, fru w górę i wirują, wirują, kręcą się jak ludzie wokół własnej osi. Musi mieć pan Bóg ubaw z tych naszych poczynań, że my tak bez przerwy się podrywamy i lecimy, nie wiadomo dokąd, nie wiadomo po co. Całe życie w ruchu, a nawet i po śmierci. Myśli człowiek, że spocznie, że kiedyś się ta tułaczka skończy. Gdzie tam! Jeszcze i w trumnie go tyrpią, przenoszą, przewożą, ruszają. Jeszcze kondukt żałobny, jeszcze mowy pogrzebowe. Jeszcze go na katafalk, z katafalku, do góry, na dół. Nawet gdy już człowiek legnie w grobie i wydaje się, że na wieczny odpoczynek, przyjdą inni i mu kości pogruchoczą. Dziś z honorami złożą w grobie, jutro bez czci i wiary z grobu wywleką. Każdą kosteczkę osobno poruszą. Nie masz, nie masz spokoju na tym świecie, nie masz nadzieje!

↑ Grafika Jana Wacława Zinkego z kościołem Przemienienia Pańskiego oo. Pijarów w Krakowie, za: *Kościoły krakowskie wydane w stalorytach z treściwym onych opisem*, Kraków 1855. Polona, domena publiczna

Ot, choćby jak ci pijarzy, co tu w krypcie od wieków znajdowali pochówek. Czy kto mógł przewidzieć, że przyjdą jacyś barbarzyńcy i trumienki naszych braci roztrzaskają, że ich ciała zbezczeszczą? Na równi – ubogich mnichów i możnych mecenasów.

Bo czy to człowiek przed przyjściem na świat wie, co mu pisane? Jakie życie, jaka śmierć?

Jeden żyje w sławie, lecz jedno pokolenie nie minie i nikt o nim już nie pamięta, a inny żyje w nędzy i umiera jak nędzarz, a po śmierci go okrzykną wielkim. Jak choćby tego poetę, którego wierszy wydanych w zeszłym roku ojciec profesor kazał się chłopcom z konwiktu uczyć na pamięć. Chodzili po krużgankach i powtarzali: „przecież i ja – ziemi tyle mam, ile jej stopa ma pokrywa, dopokąd idę". Jeden dobry Bóg wie, dopokąd ja idę.

Kimże ja jestem, żeby o to pytać? Nikim, i to się nie zmieni. Wychodzę rano z miotłą na ulicę i zamiatam. Raz jest więcej roboty, raz mniej. O, teraz jest więcej, bo budują na rogu św. Jana najnowocześniejszy hotel w Krakowie, a że przy budowaniu jest dużo kurzu i pyłu, to wiadomo. Mam więcej roboty, ale nie narzekam. Już od dawna ojcowie powtarzają, że czas, żebym sobie odpoczął, ale gdyby kto teraz moją miotłę zabrał i schodów zabronił szorować, chybaby mi życie odebrał. Skromne życie, skromna śmierć. Za dużo lat żyję na tym świecie, żeby nie wiedzieć, że więcej jest warta cicha praca niż głośne fanfary.



↑ Na pierwszym planie ozdobione fantazyjną kratą zejście do podziemnej krypty kościoła pijarów, powyżej wejście do kościoła górnego, lata 30. XX w. NAC


CHRISTO TRANSFIGURATO
Malyško
1 2 3 4 5 Sąż. Krak.

Jutro kończę osiemdziesiąt, jeśli Bóg pozwoli, z czego prawie siedemdziesiąt w tym tu oto klasztorze, ku posłudze braci pijarów Zakonu Szkół Pobożnych w kościele Przemienienia Pańskiego. Tyle czasu chodzę po świecie z lewą nogą krótszą, z prawym barkiem wyższym, z garbem na plecach. Ułomny, kaleki, na umarcie.

Na umarcie. Tak mi wróżyli w dniu, w którym się urodziłem, i teraz proszę, oni nie żyją, a ja żyję. Kto się urodził w poniedziałek, ten ma życie pracowite, a kto umrze w Wielki Piątek, tego Jezus od razu weźmie do siebie do nieba. Czasem sobie myślę, że chciałbym już umrzeć.

Urodziłem się w Poniedziałek Wielkanocny. U nas w Marcówce o takich jak ja mówiło się, że ich pokręciło. Nikt nie chciał takich w swojej chałupie hodować. A wyrzucić? Przecież się nie wyrzuci, bo grzech. Oddała więc mnie matka najpierw babce na wychowanie, a że ta wkrótce umarła, trafiłem do ochronki w Jaszczurowej. Kiedy już stało się dla wszystkich oczywiste, że ani umierać nie zamierzam, ani pożytku żadnego ze mnie nie będzie, posłali mnie dobrzy ludzie w świat. Świat jest wielki, lecz łaska boska większa. Najpierw przygarnął mnie na plebanię ksiądz proboszcz z Mucharza, a że ksiądz dobrodziej sam był człowiekiem w świecie bywałym, nauczył mnie pisać i czytać. Stamtąd dopiero jako młody chłopak trafiłem tu, do Krakowa, na Pijarską. Do Mucharza z wielkanocnymi rekolekcjami zjechał wtenczas ojciec Ambroży, człowiek bardzo pobożny, a przy tym literat. Spodobało mu się, że wieczorem po robocie siadałem na schodach i czytałem mękę pańską z Ewangelii według św. Jana. Co innego miałem czytać? Całe życie dźwigam swój garb jak Jezus krzyż na Golgotę.

– Swoje cierpienie łączę w ten sposób z Panajezusową męką i tak mi lżej iść przez życie – powiedziałem do rekolekcjonisty. Ten zadumał się nad moimi słowami, a przed wyjazdem podszedł do mnie w sieni i rzekł:

– Mamy w klasztorze w Krakowie kryptę Męki Pańskiej, a w niej święte schody z relikwiami Krzyża Chrystusowego. I kaplicę Uwięzienia Pańskiego z wymalowanymi na ścianach scenami śmierci Chrystusa. Przychodzą tam wierni na klęczkach schodek po schodku kontemplować Mękę Pańską.

← Rysunek fasady kościoła pijarów, sygnowany przez Jana Matejkę. ANK

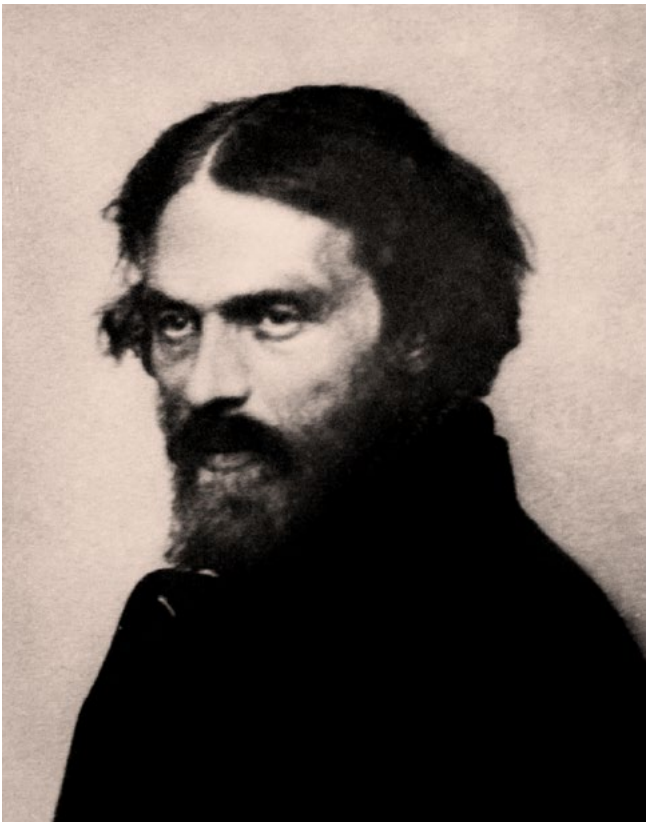
Rozmawiałem już z twoim proboszczem i wkrótce przyślę kogoś po ciebie. Będziesz się troszczył o porządek w krypcie. Znajdziesz u nas wikt i opierunek, a w zamian za pracę damy ci i naukę. – To powiedziawszy, wsiadł w kolaskę i pomachał nam z drogi.

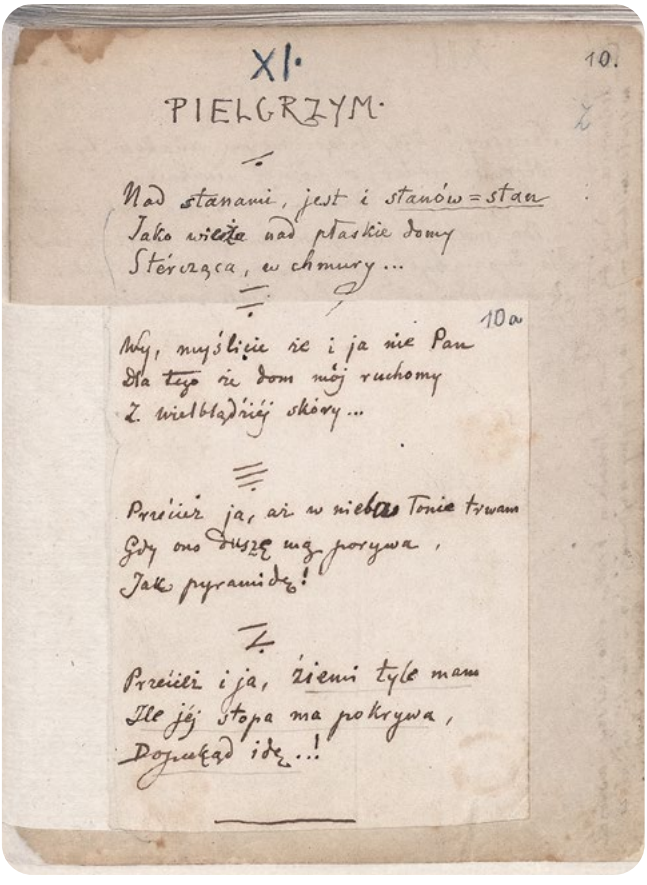
I tak przybyłem do pijarów 25 maja 1842 roku, w środę. Bracia dali mi prosty habit. Podwinąłem trochę za długie rękawy i już nazajutrz poszedłem z pijarami w procesji Bożego Ciała na Rynek. Szedłem wpatrzony w buty zakonnika, który dreptał przede mną, i bardzo uważałem, żeby się nie zgubić w wielkim tłumie, kiedy brat idący z mojej lewej strony trącił mnie łokciem w żebro i szepnął:

– Patrzaj, Potocki z tym poetą z Warszawy przed samym biskupem.

Podniosłem głowę, ale akurat wszyscy przyklękli przed stacją w nabożnej ciszy i wśród pochylonych pleców niczegom nie dojrzał.

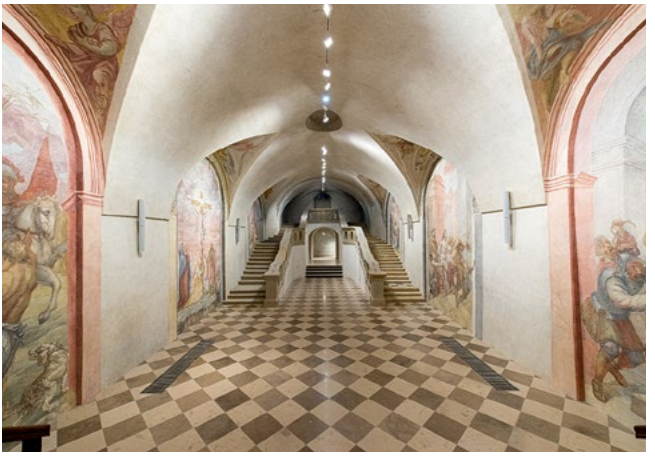
Przypomniałem sobie to wydarzenie z początku mojej krakowskiej bytności, dopiero kiedy wczoraj ksiądz profesor w lektorium czytał Norwida.




XI.
10.
PIELGRZYM.
Nad stanami, jest i stanów = stan
Jako wieża nad płaskie domy
Sterczący, w chmury ...
10a
Mówi, myślicie że i ja nie Pan
Dla tego że dom mój ruchomy
Z wielbłądziej skóry ...
Przecież ja, ani w niebie Tonie trwam
Gdy ono dłużej mą porywa,
Jak pyramidę!
Przecież i ja, ziemi tyle mam
Ile jéj stopa ma pokrywa,
Dopuki idę ...!

„Tu oktawa Bożego Ciała – świątnicy z Męką Pańską na długich pelerynach – gdzieniegdzie jeszcze kontusz, czekan, cech z chorągwiami, bractwo i lud krakowski. Zatrzymali się przed ołtarzem ustrojonym w zieloność, kotły ustały, zewsząd cisza, a pięćdziesiąt chorągwi kościelnych i cechowych, na podobieństwo masztów, pochyla się ku ziemi, i lud jak fala niżej, a całe miasto głuche; bowiem ze wszystkich dzielnic spłynęli w rynek i umilkli. Dziwne jest, nad głowami kilkunastu tysięcy ludzi, słyszeć przelotne śpiewy jaskółek lub szmer topoli zielenieających w rynku. Z również powagą cała odbyła się procesja, przed każdym ołtarzem przyklęknięto i powtórzono cichość – po czym znów śpiewy, kotły i głośne nabożeństwo".

↑ Rękopis *Pielgrzyma* Cypriana Kamila Norwida w *Poezje II. Vade-mecum* ze zbiorów Zenona Przesmyckiego. Polona, domena publiczna
← Portret Cypriana Kamila Norwida, ok. 1858 r. Polona, domena publiczna



Ksiądz profesor czytał tego Norwida na głos w lektorium i chwalił piękne wydanie Przesmyckiego. Mógłbym powiedzieć, że stałem wtedy z Norwidem w jednej chwili przed kościołem Maryi Panny na Rynku, ale się nie odezwałem. Po prawdzie, ja go wtedy nie widziałem.

Pamiętam za to, bom je widział na własne oczy, malowidła w krypcie Męki Pańskiej, którą kazał mi się zajmować ojciec Ambroży.

Jakoś tak parę dni później, pod wieczór, zeszliśmy po schodach. Kościół wtedy nie wyglądał jak teraz. Zejście do krypty miał skromniejsze, a w środku było ciemniej. Kiedy oczy mi już jako tako przywykły, ujrzałem kolorowe freski, z których tylko domyślałem się drogi krzyżowej malowanej przez artystę, tak były niewyraźne. Sama krypta wydała mi się miejscem ponurym, zimnym i wilgotnym, położona niżej ulicy latem zbierała kurz i pył, jesienią deszczówkę z miałem węglowym, wiosną błoto, którego pełno było w Krakowie, gdy śnieg zaczynał topnieć. Niewiele światła wpadało przez oculus, który otwierał się w posadzce górnego kościoła, a że przez grube kamienne mury ciepło słoneczne do krypty nie docierało, rozwijał się na ścianach grzyb.

– Trzeba by tu zadbać o porządek – odezwał się ojciec Ambroży, wodząc wzrokiem po ścianach. Widok to był zaiste opłakany.

I tak zaczęła się moja praca u pijarów.

↑ Kaplica Świętych Schodów, fot. P. Romanowicz, 2019. Dokumentacja konserwatorska

Codziennie o piątej rano wychodziłem zamiatać ulicę przed kryptą, przed kolegium i przed kościołem. Spory to był odcinek, bo ciągnął się aż do murów miejskich, co odczuwałem w plecach zwłaszcza zimą, kiedy przychodziło odśnieżanie. Podczas cięższych zim zajmowało to całe rano, aż do ósmej, a nierzadko i dziewiątej. Zdarzało się, że nie zdążałem na śniadanie i brat Adam czasem dawał mi pajdę chleba, a nieraz zostawiał zimną jajecznicę pod ściereczką w jadalni. Ze względu na dolne położenie krypty solenne odśnieżenie zimą, a wiosną odprowadzenie błota były jednak najważniejsze. Nie mogłem tego zaniedbać.

Jesienią dźwigałem całe kosze węgla i potem byłem czarny od pyłu węglowego. W święta Wielkiej Nocy walczyłem z brudem naniesionym przez wiernych, którzy tłumnie odwiedzali grób Pański w Wielki Piątek. Ile się tego zbiera na podeszwach butów! W nocy, kiedy nikogo nie było w krypcie, opuszczałem po cichu dormitorium, brałem wiadro i szczotkę i na kolanach szorowałem posadzkę przed kratą więzienia Chrystusowego, a potem kamienne schody relikwiarzowe. Schodów po prawej stronie było dwadzieścia osiem, w tym dwa szersze. Na drugim, jedenastym i dwudziestym ósmym znajdowały się złote i różowe żyłki, które przypominały krew Jezusa umęczonego. Te są specjalnie oznaczone krzyżem, który pątnicy nabożnie całują, aby dostać rozgrzeszenie w sprawach ciężkich. Po lewej stronie są dwadzieścia trzy stopnie. Przez całe życie szorowałem je w każdy piątek, a w Wielkim Tygodniu codziennie. Pamiętam każdy ich centymetr, każdy ślad z relikwią. Znam każdy kamień biało-czarnej posadzki, dwa pęknięcia i jedno odłupanie przy wejściu. Pilnowałem, aby w te szczeliny nie dostał się brud. Szorowałem, choć bolały mnie garbate plecy, chociaż mi ramiona omdlewały z wysiłku. I dopiero kiedy posadzka w krypcie lśniła, klękałem, by Panu naszemu powierzyć swoje cierpienie. A i to, że śmiałem marne ludzkie życie zestawiać z męką i śmiercią Zbawiciela, wydawało mi się zuchwalstwem. Bo czymże jest człowiek i jego ból w obliczu wszechmocy Boga? Nieczystością z rynsztoka, która płynie ulicami Krakowa w każde roztopy. Jesteśmy pyłem węglowym, który zalega pod murami kamienic, i w pył się obrócimy.

Losu ludzkiego nic nie odmieni. Nieważne, jaki by to nie był wielki człowiek, budowniczy, pisarz czy prezydent, każdy jeden spocznie na katafalku, każdego poniosą w trumnie w ostatnią drogę. Kogo tu nie żegnano – w jednym roku prezydenta Zyblikiewicza i Kraszewskiego, pięć lat temu Wyspiańskiego. Wszystkich ich pamiętam. Ale co im po mojej pamięci?

Ludziom się wydaje, że są ważni, najważniejsi na świecie. A nie dalej jak wczoraj ojciec profesor czytał, że „nad stanami jest i stanów-stan, jako wieża nad płaskie domy stercząca w chmury". Wieża nad płaskie domy. Który to się wykłócał, żeby nie zabudowywać Krakowa wysokimi dachami, bo się odbierze wieżom kościołów właściwe proporcje? Żeby zostawić widoczny Wawel? Ten, o którym latem zeszłego roku mówili Miłośnicy Ojczystych Zabytków. O, to był mecenas Muczkowski. Niby nie pamiętam, a jednak wszystko pamiętam. Niby nie wiem, a jednak wszystko wiem. Podczas Zjazdu w przerwie obiadowej przyszli obejrzeć perspektywę ulicy św. Jana z naszym kościołem na końcu. Zachwycali się fasadą, ale i utrzymaniem schodów prowadzących do dolnego kościoła. I biało-czarną szachownicą na posadzce, którą polerowałem na kolanach tego dnia rano. Panowie stali i rozmawiali, a ja słuchałem z boku przez nikogo niezauważony. Oprócz posadzki niczego więcej ciekawego nie dostrzegli, ot, białe ściany, a mnie nikt o nic nie pytał, bo takich jak ja wielcy panowie nie pytają o zdanie. Stary, garbaty zakonnik w zgrzebnym habicie na krzywych plecach. A przecież mogłem im co nieco opowiedzieć. Przecież pamiętałem jeszcze, jak tu były malowidła.

Latem, po pogrzebie Kraszewskiego, dostałem drabinę, wapno i młodszego brata do pomocy. Staliśmy i ostatni raz patrzyliśmy na wielkie obrazy z Męką Pańską. Jeszcze się co nieco zachowało z Cierniem koronowania, ale z Modlitwy w Ogrójcu już prawie nic.

– Macie to pobiałkować, zanim chłopcy wrócą do szkoły – powiedział ojciec prefekt drżącym głosem. No, ale tych malowideł naprawdę już się nie dało uratować.

Zanim żeśmy pobielili ściany, trzeba było wynieść figury i obrazy do kościoła górnego. Obraz Chrystusa skowanego kazałem postawić za ołtarzem bocznym, pamiętam jak dziś, że brat oparł

tryptyk o framugę drzwi do zakrystii, a potem zeszliśmy na dół, do krypty, żeby się zająć ścianami.

– To chyba Matka Boska Boleściwa – rzekł mój współbrat, zamalowując grubą warstwą resztki fresku. Skończyliśmy robotę na trzeci dzień, a jeszcze trzeba było posprzątać.

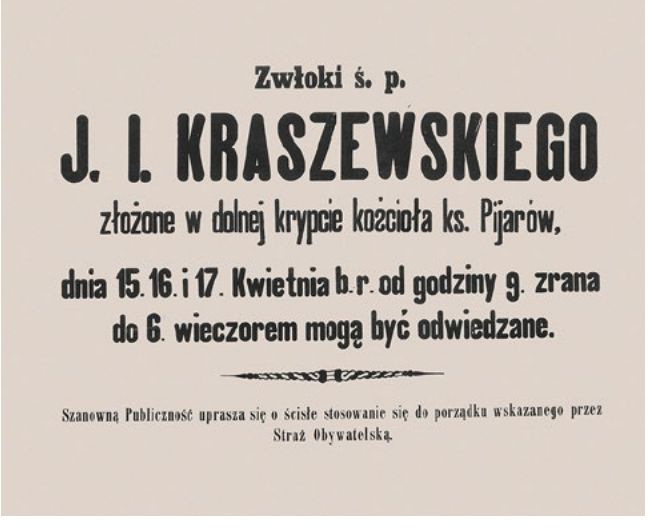
Prawdziwą tragedię przeżyłem, kiedy posłałem współbrata po obraz, a on wrócił z pustymi rękami i powiedział:

– Chrystus zniknął.

Szukaliśmy go wszędzie, bez skutku. Chrystus nie wrócił do Więzienia. Więzienie było puste.

Tak, to musiało być po pogrzebie Kraszewskiego, bo przecież przez wszystkie dni, kiedy jego trumna stała w kaplicy, chodziłem wieczorami modlić się do Skowanego. Klękałem przed trzyczęściowym obrazem, pochylałem głowę przed obliczem umęczonego Jezusa związanego powrozem. Po obu jego stronach znajdowały się złote insygnia Chrystusowe. Trzynaście kwietniowych dni dzień w dzień modliłem się słowami litanii Kyrie Elejson, Chryste Elejson, Jezusie umęczony, zmiłuj się nad nami.

W tym czasie od rana tłum odwiedzał zmarłego pisarza i dopiero wieczorem po zamknięciu furty była odrobina spokoju. W dniu pogrzebu cały Kraków przyszedł żegnać Kraszewskiego.



Zwłoki ś. p.

J. I. KRASZEWSKIEGO

złożone w dolnej krypcie kościoła ks. Pijarów,

dnia 15. 16. i 17. Kwietnia b. r. od godziny 9. zrana do 6. wieczorem mogą być odwiedzane.

Szanowną Publiczność uprasza się o ścisłe stosowanie się do porządku wskazanego przez Straż Obywatelską.

↑ Nekrolog informujący o wystawieniu zwłok Józefa Ignacego Kraszewskiego w krypcie kościoła pijarów, 1887. ANK



Kondukt pogrzebowy Józefa Ignacego Kraszewskiego pod kościołem Mariackim w Krakowie, rysunek A. Bonamore, według szkicu A. Chmielowskiego, korespondenta włoskiej gazety „L'Illustrazione Italiana", 1887. MNK, domena publiczna





Każdy chciał stać bliżej trumny, przemawiać, wygłaszać, przyznawać się do przyjaźni ze zmarłym. I jakie to wszystko obmierzłe, pomyślałem wtedy, patrząc na tych ludzi, którzy najpierw nie dali mu katedry literatury w Krakowie, a teraz nazywali mocarzem pióra i wieszczem. W bibliotece niedawno słyszałem, jak chłopcy z gimnazjum szeptali do siebie, że wieszczem powinien być Norwid, którego Kraszewski wyszydził bez litości, aż ten w niesławie zmarł. A wtedy?

O piątej jak zwykle wyszedłem z miotłą. Dzień był pochmurny i zniechęcający, ale pogoda nie odstraszyła nikogo. Już od dziewiątej zaczęli się co znamienitsi tłoczyć w krypcie, a pozostali gromadzić na ulicach Pijarskiej, św. Jana, aż na Rynek. Straż Obywatelska bardzo sprawnie się między nimi kręciła. Usunąłem im się z drogi i z boku patrzyłem na ten tłum. Nigdym większego nie widział. Jak już się uformował kondukt, na czele szła straż ogniowa z chorągwiami. W ogóle chorągwi był cały las. Każde towarzystwo, każde kółko krakowskie niosło swoją, byle wyżej, byle górowała nad innymi. I falował tłum żałobników, i ciągnął przez Rynek do kościoła na Skałce. W ruchu, w wiecznym ruchu. Z jednego kościoła do drugiego, z jednej krypty do drugiej.

↑ Pogrzeb Józefa Ignacego Kraszewskiego. Mowa Prezesa Akademii Umiejętności dr. Józefa Majera, przed kościołem pijarów, rysunek Cz.B. Jankowskiego dla „Tygodnika Ilustrowanego", 1887. MNK, domena publiczna



Szli noga za nogą i ani myśleli, że z każdym krokiem i oni bliżej są śmierci, że wszystkie nasze ziemskie poruszenia ta jedna kończy nieuchronnie. A ja stałem z boku i patrzyłem na nich.

Obok mnie przeszedł Michał Bałucki, który z honorami wynosił wieniec. Bardzo dumny, bywał u nas częstym gościem, bo bliski teatru wiedział, jaką oprawę nadać takim uroczystościom. Wiele lat później strzelił sobie w skroń w parku Jordana i bez Boga spoczął na cmentarzu. Wiadomość o jego śmierci wstrząsnęła mną do głębi. W jakiej trzeba być rozpaczy i desperacji, żeby sprzeciwić się wyrokom boskim i odrzucić zbawienie? A teraz szedł za trumną Kraszewskiego obok Prylińskiego, którego również dobrze kojarzyłem, bo w tamtych dniach był niemal codziennie u prezydenta Zyblikiewicza, który w naszym klasztorze postanowił dokonać żywota.

Miesiąc nie minął, a ten sam tłum odprowadzał zwłoki Mikołaja Zyblikiewicza tą samą drogą, z krypty Męki Pańskiej do Krypty Zasłużonych na Skałce. I ten sam Pryliński z nisko pochyloną głową kroczył obok trumny prezydenta. Tylko dzień był cieplejszy, majowy, ptaki śpiewały. Kondukt zniknął u wylotu św. Jana na Rynek, a ja, samotny, zszedłem na dół i najpierw

↑ Ostatnie chwile Mikołaja Zyblikiewicza w pokoju klasztornym oo. Pijarów, rysunek T. Łuskiny dla „Tygodnika Ilustrowanego", 1887. Polona, domena publiczna

uklęknąłem przed obrazem Chrystusa w Więzieniu, a potem zamiotłem posadzkę w krypcie ze śladów butów żałobników i z kwiatów, które opadały z wieńców przykrywających trumnę Zyblikiewicza. Wielki to był mąż i zasłużony, ale kto mi powie, czyje życie milsze Bogu: pisarza i prezydenta czy najniższego zakonnika, który całe życie w ruchu zamiata ulice, schody i posadzki? Obaj w chwili śmierci byli młodsi niż ja teraz. I Pryliński też młodo umarł, niecałe dziesięć lat po Zyblikiewiczu.

Chociaż najmłodszy był chyba Wyspiański.

Pamiętam go dobrze. Rankiem wychodziłem zamiatać przed kościół, nikogo jeszcze nie było na ulicach, bo nawet stróże w kamienicach spali dłużej niż ja. A on o świcie wychodził z Rynku, rozstawiał swoje sztalugi i rysował nasz kościół. Mówił, że lubi Kraków, jak jest pusto, i nieraz bardzo serdecznie ze mną rozmawiał. Pytał o klasztor. Opowiadałem mu, jak wyglądała fasada, zanim została przebudowana w osiemdziesiątym. Wspomniałem nawet o tym, że złodzieje ukradli wtedy deski na szalunki. Słuchał uważnie, dopytywał. Robił rysunki, szkice. Miał bardzo ruchliwe ręce, cały czas coś nimi robił. Pewnego razu, latem, specjalnie dla niego otwarłem oculus. Zabrałem go



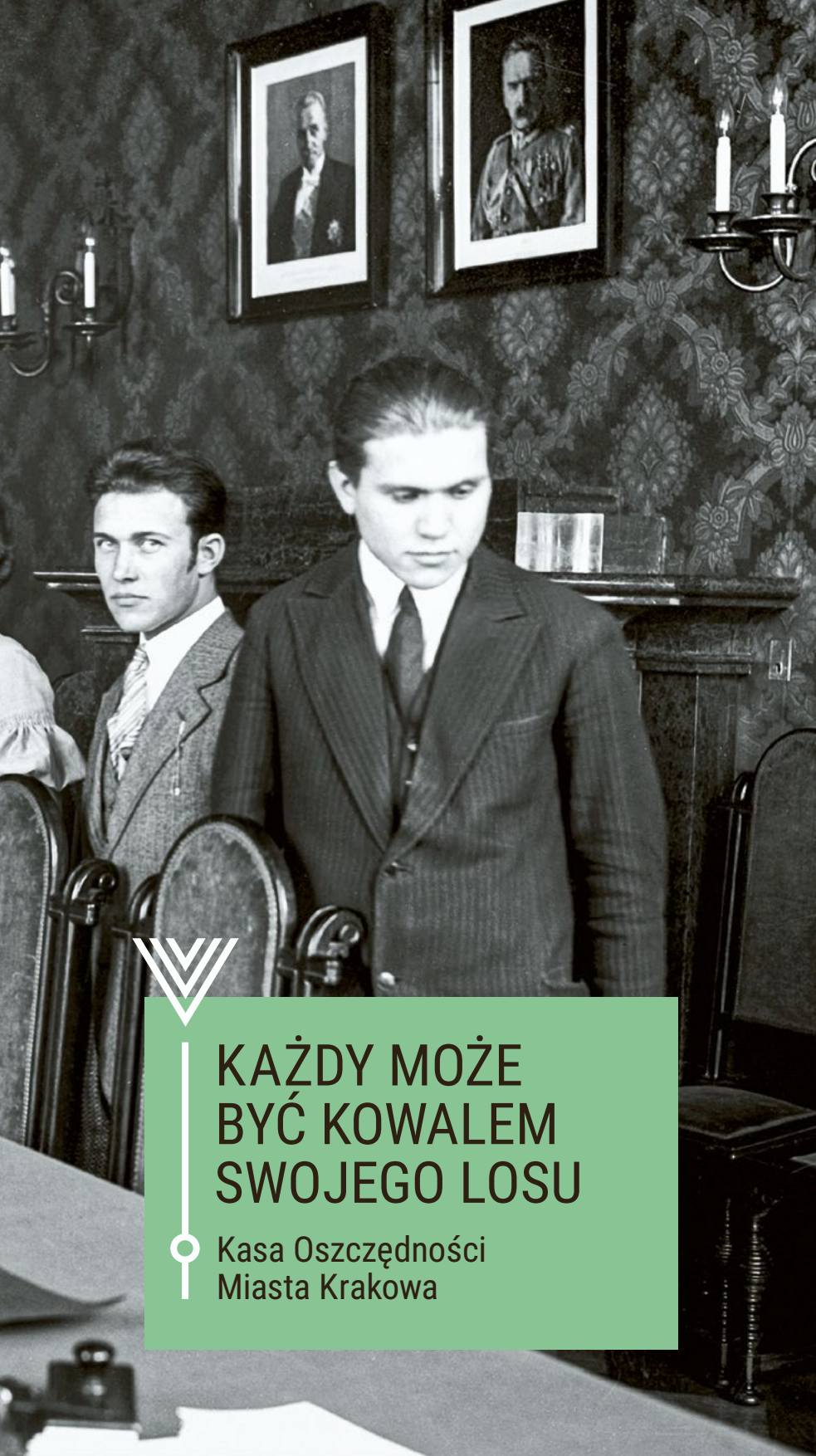
Inscenizacja Grobu Pańskiego z 1912 r., fot. A. Pawlikowski. Archiwum Polskiej Prowincji Zakonu Pijarów, domena publiczna

do górnego kościoła i pokazałem otwór w posadzce, a potem zeszliśmy na dół. Słońce wstało i przez oculus do wnętrza krypty wpadły promienie. Tańczyły w nich cząsteczki kurzu, które, poruszone, jeszcze nie opadły. „O, to, to – szeptał do siebie. – To muszę wykorzystać w swoim teatrze". Jak dziś pamiętam, stał Wyspiański, szczupły, wysoki, w surducie, z głową zadartą do góry. Mam go przed oczami. O tym, że oculus jakiś czas po tym zamurowano, już się Wyspiański nie dowiedział. Jego trumna stanęła w tym samym miejscu, w którym stał z uniesionymi w górę oczyma, wpatrzony w światło. Pod świętymi schodami w krypcie. I stąd ruszył w ostatnią drogę na Skałkę. Taki młody, taki młody!

No cóż, jutro Wielki Piątek, 5 kwietnia 1912 roku, moje osiemdziesiąte urodziny. Pozamiatałem, wyczyściłem, ustawiłem gałęzie, przyozdobiłem święte schody. Jutro wniosą tu figurę Pana Jezusa i złożą go w grobie. Przyjdą panie w paltach i w kapeluszach. Przyjdzie fotograf Pawlikowski. Staną w niemym zachwycie, głowy zwrócą do góry. Złapie ich w tym ruchu migawka aparatu i zatrzyma. Wszystko gotowe. Moje dzieło dokonane.



Uczestnicy i uczestniczki konkursu zorganizowanego przez Kasę Oszczędności dla uczniów Państwowej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie, 1933. NAC



KAŻDY MOŻE BYĆ KOWALEM SWOJEGO LOSU

Kasa Oszczędności
Miasta Krakowa



Każdy jest kowalem swojego losu. Ale nie ten artysta, kto raz młotem walnie i marmur rozłupie, tylko ten, kto milionem drobnych uderzeń ze skały wydobywa doskonały kształt. Napatrzyłem się tu i na takich, którzy sumienną pracą osiągali zamierzone cele, i na takich, którzy zbyt mocno wierzyli fałszywej fortunie i razem z jej diabelskim kołem szli na dno.

Pracuję w tym miejscu od samego początku. Najpierw inżynier Karol Knaus rekomendował mnie na stróża przy budowie. Potem, kiedy gmach Kasy Oszczędności był już gotowy, dostałem posadę palacza. Po dwudziestu latach pracy, w 1903 roku, dyrektor Staniszewski awansował mnie na głównego odźwiernego. To ja otwierałem drzwi Józefowi Muczkowskiemu, gdy przychodził na zebrania zarządu Kasy Oszczędności. Ja na polecenie Dyrekcji Kasy Oszczędności specjalnie w niedzielę wpuściłem Józefa Mehoffera, kiedy rok temu przyszedł przyjrzeć się oknom nad klatką schodową na pierwszym i drugim piętrze. Staliśmy wtedy na schodach, ja z kluczami, on ze szkicownikiem.

– Długo pan tu pracuje? – zagadnął mnie od niechcenia.

– Od początku – odpowiedziałem. – Chociaż zapowiadało się, że moja kariera skończy się raczej w kryminale niż w banku – zaśmiałem się.

↑ Witraż *Oszczędność* projektu Józefa Mehoffera w gmachu Kasy Oszczędności, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa* (broszura), Kraków 1933. Polona, domena publiczna

– Każdy jest kowalem własnego losu – rzekł poważnie.

Różne były koleje mojego losu, ale teraz, po pięćdziesięciu latach pracy, jedno mogę powiedzieć z czystym sumieniem: najważniejsze to życie przeżyć uczciwie, z pożytkiem dla siebie i innych. Następcom zostawić po sobie świat odrobinę lepszy, piękniejszy, ciekawszy. Jeśli to się komuś udało, może siebie nazywać człowiekiem szczęśliwym.

Dobrze przeżyć życie to niemała sztuka. Dzisiaj więcej cenię systematyczną pracę niż sumę wygraną w karty. A nie zawsze tak było. Co można zrobić z niebagatelną sumą na przykład ośmiuset tysięcy koron? Niejeden za te pieniądze używałby sobie jak król do końca życia. A kto inny wykupiłby Wawel z rąk austriackich. Albo przeznaczyłby Lasek Wolski na park dla wszystkich ludzi.

Spotkałem na swojej drodze ludzi dobrych i złych. I dlatego tym bardziej podoba mi się zdanie z witraża, który od niedawna zdobi okno nad schodami wiodącymi do mieszkań dyrektorów. Powtarzam za jego autorem, Józefem Mehofferem, że każdy jest kowalem swojego losu.

Co może Kraków dać młodemu chłopakowi, który właśnie wyrwał się z Regulic w świat, a wszystko, co umiał, to klepać biedę i palić w piecu? Dzisiaj, kiedy jestem już stary, widzę, że trzeba było więcej oszczędzać, a mniej pić i się włóczyć, ale i tak uważam, że nieźle wykorzystałem swoją szansę.

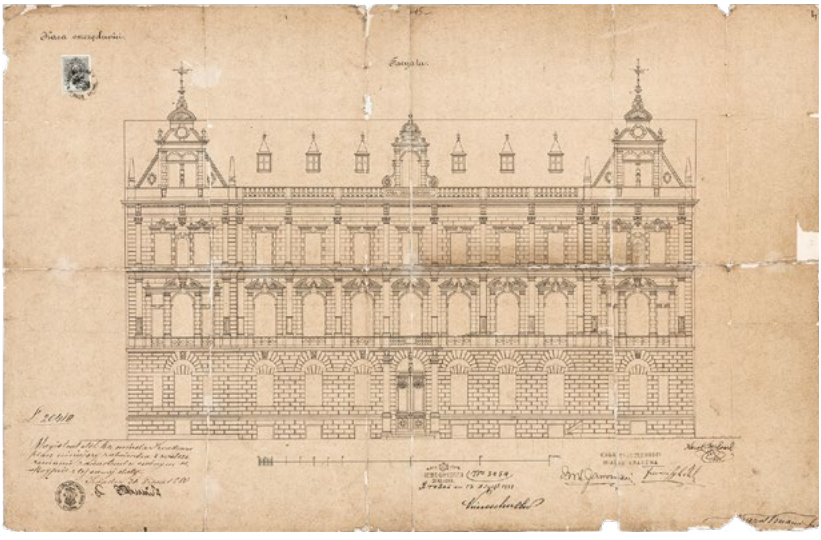
Byłem niespełna dwudziestoletnim wyrostkiem i wydawało mi się, że zawojuję świat. Z jednym workiem na grzbiecie wylądowałem w Krakowie. Miałem w nim cały dobytek: koszulę na zmianę i lepsze buty. Dostałem je od ojca, żebym na rozmowę o pracę nie poszedł w łapciach. Jeszcze tego samego dnia zastawiłem je w lombardzie na Szewskiej, a kiedym wychodził z bramy, zaczepiło mnie trzech chłopaków, takich samych oberwańców jak ja. Nie bałem się ich, bo byłem wyższy o głowę i silny, jakby przyszło co do czego, to umiałbym się bić. Im jednak chodziło o coś innego. Razem poszliśmy napić się wódki za rogiem. A że tylko ja miałem pieniądze i nie mogłem skłamać, że ich nie mam, bo przecież widzieli, skąd wychodzę, to i zapłaciłem za całe towarzystwo. Od słowa do słowa, okazało się, że mają dla mnie propozycję. W Krakowie da się łatwo wyżyć

z pracy dorywczej, jak to nazywali, to tu, to tam. „Musisz się dorwać do kasy lub towaru, to jest robota dorywcza" – śmiali się.

Chłopaki mieli na oku deski złożone na tyłach klasztoru, który akurat przebudowywano od ulicy św. Jana. Potrzebowali tylko ochrony, kogoś dużego, kto budziłby respekt. Trzeba było stać na Pijarskiej i w razie czego głośno gwizdnąć. Robota nie wydawała się trudna. Nigdzie ani jednej latarni, nocą ulice Krakowa były zupełnie ciemne. O ile nie wyjdzie jakiś nadgorliwy stróż z lampą, nikt nas nie zobaczy. Zgodziłem się. Zrobiliśmy w ten sposób dwie fuchy, chłopaki sprzedali deski, połowę zarobku wspólnie przepiliśmy, resztę przegrałem i znów zostałem bez grosza. Zaproponowali następną robotę, potem kolejną. Anim się obejrzał, jak minął rok bez mała. Jeden z tych, którzy mnie pierwszego dnia zaczepili, mówił, że pracował w fabryce Zieleniewskiego i że właśnie rzucił tę robotę, bo woli lżejszy kawałek chleba. Wiem, o czym mówił, bo i mnie zaproponował karty. Najpierw dał mi wygrać, ale i tak na koniec spłukałem się do czysta. Wiedziałem jednak, skąd wziąć forsę. „Moneta musi krążyć, banknot lubi być w ruchu" – mawiali moi koledzy. Tej nocy poszedłem pić za cudze pieniądze.

Obudziłem się o świcie niedaleko Bramy Floriańskiej. Byłem głodny. Jakiś zakonnik poszturchiwał mnie miotłą. „Ruszaj się – rzekł – życia nie marnuj". Tak powiedział i dał mi pajdę chleba. „Co umiesz robić? – zapytał. – Umiesz coś?" „Na czatach stoję, w karty gram..." – odpowiedziałem i zrobiło mi się wstyd przed tym mnichem, który z jedną nogą krótszą, z garbem, który go przygniatał do ziemi, codziennie zamiatał chodnik przed kościołem na Pijarskiej. „W piecu umiem zapalić" – dodałem, choć to akurat każdy przecież umiał. Wstałem, otrzepałem portki, spojrzałem na rozdeptane buty i zapytałem go, gdzie jest fabryka Zieleniewskiego. „Na Świętego Krzyża" – wskazał mi kierunek miotłą. Podziękowałem mu za chleb i dobre słowo i poszedłem w tamtą stronę.

W fabryce praca była ciężka, ale byłem młody i silny. I bardzo chciałem zapomnieć o swojej przeszłości. Moim głównym zadaniem było utrzymanie ognia pod piecem fabrycznym, a że byłem silny, pomagałem też przy cięższych robotach. Ot, chłopak do wszystkiego.



Kilka miesięcy później usłyszałem, jak syn właściciela skarżył się, że nocą znika materiał z magazynu. Pomyślałem, że chyba wiem, kto za tym stoi, i że to doskonała okazja, żeby się odegrać. Zaproponowałem, że po zamknięciu zakładu popilnuję terenu. Wkrótce problem zniknął, a ja zyskałem opinię solidnego strażnika. I tak zostałem przedstawiony Karolowi Knausowi, który kiedyś pracował u Zieleniewskiego, a teraz przystępował do budowy gmachu Kasy Oszczędności przy Szpitalnej. Jego historia mocno zapadła mi w pamięć, bo nieczęsto się zdarza, że sierota zostaje szanowanym budowniczym. Więc kiedy zaproponował mi pracę przy budowie Kasy Oszczędności, natychmiast się zgodziłem.

Był rok 1880. Karol Knaus miał ambicję, aby całą budowę przeprowadzić przy użyciu miejscowych sił i środków. W najbliższej okolicy zamawiał kamień i drewno, zatrudniał wyłącznie tutejszych cieśli i kamieniarzy. Powiem, żem się nawet z niektórymi zaprzyjaźnił. Szczególnie dobrze się dogadywałem z kamieniarzami Stehlikiem, Hochstimmem i Trembeckim. I jakoś tak trzymaliśmy się razem. Czasem im pomagałem, podając piaskowiec i granit. Z przyjemnością przyglądałem się też pracy Adolfa Putza, rzeźbiarza. Zamęczałem go pytaniami, aż musiał się ode mnie opędzać.

↑ Elewacja główna Kasy Oszczędności Miasta Krakowa według Karola Knausa, 1885. ANK

Karol Knaus co jakiś czas przychodził na Szpitalną z towarzystwem, oprowadzał panów w kapeluszach i dobrych butach i opowiadał im, co też tutaj z Karolem Borkowskim zaprojektował. Pana Borkowskiego nie widziałem, bo on więcej był w Wiedniu, ale wiele się nasłuchałem o jego talentach.

Goście wychodzili ze Szpitalnej nieco zakurzeni, ale zawsze bardzo zadowoleni. Podobała im się, jak widać, ta budowa, bo była dobrze pomyślana i tania przez to, że z miejscowych materiałów i rękami tutejszych ludzi. Słyszałem tę opowieść chyba ze sto razy. Jak również to, że tak monumentalny budynek w wąskiej ulicy Szpitalnej straciłby perspektywę, gdyby go zrównać z linią chodnika. Knaus zabierał swoich gości na drugą stronę ulicy i opowiadał, a tak szeroko przy tym gestykulował, że zwykli przechodnie musieli schodzić na jezdnię, wprost pod koła dorożek. Aby ukazać całą wspaniałość budowanego gmachu, Borkowski i Knaus cofnęli bryłę w głąb parceli, a do przodu wysunęli symetryczne ryzality boczne. Udatnie to wymyślili, wszystkie proporcje były miłe dla oka. Kiedy budynek zyskał drugie piętro, Knaus kazał swoim gościom zadzierać głowy, pokazywał wysokie na pięć metrów kondygnacje, gzymsy, okapy, bogato zdobione okna zwieńczone łukowato, a na koniec zwracał ich uwagę na lukarnę w dachu z kamiennym napisem Kasa Oszczędności. Wszyscy to musieli oglądać, aż niektórym



spadały kapelusze. Stałem zawsze w pobliżu gotowy służyć wytwornemu towarzystwu podniesieniem z ziemi nakrycia głowy. Tak mnie za którymś razem przyuważył dyrektor Kasy Oszczędności i bardzo uprzejmie podziękował.

Robota szła sprawnie i wspólnym staraniem 21 kwietnia 1884 roku Kasa Oszczędności uroczyście wprowadziła się do budynku, jakiego jeszcze w Krakowie nie widzieli. Podobny mieli chyba w Wiedniu, tak przynajmniej mówiono, ale nasz w tym był lepszy, że miał wewnątrz wygodniejszy i lepiej przemyślany rozkład pomieszczeń. Na to szczególną uwagę zwracał Karol Knaus.

Kiedyś przyprowadził Tadeusza Stryjeńskiego, chodzili we dwóch po wszystkich pokojach, otwierali okna, zaglądali nawet do klozetów. Kręcili się i cały czas rozmawiali o poczcie. „A na poczcie to, a na poczcie tamto". „Na poczcie się to sprawdzi, na poczcie trzeba będzie inaczej". Parter, pierwsze piętro, drugie piętro, obie klatki schodowe! Spędzili w tym budynku chyba ze dwie godziny! A ja grzecznie chodziłem za nimi i tylkom zamykał te drzwi i okna, które oni pootwierali.

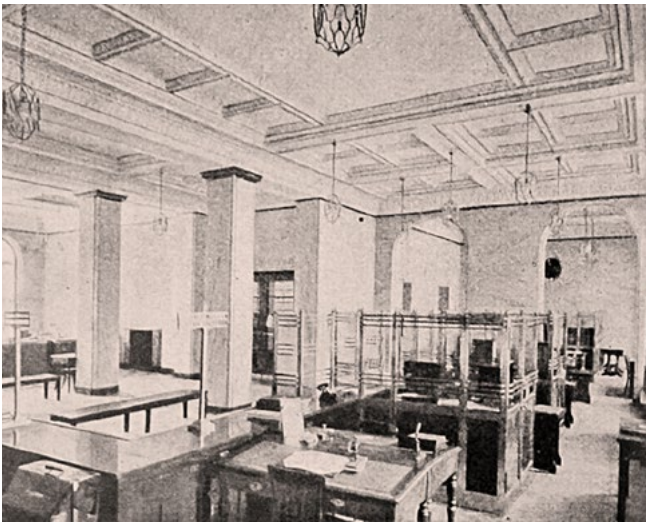
Na parterze mieścił się lombard i zakład zastawniczy z połączonymi z sobą salami taksatorów i magazynami. O tych magazynach było trochę dyskusji. Karol Knaus podkreślał wielokrotnie, że magazyny mają być solidnie izolowane asfaltem od gruntu. Uparł się też, że muszą mieć okna, choć mu ludzie mówili, że takie okna, jeszcze od podwórza, tylko kuszą złodziei, którzy za dnia sobie przyuważą towar, a w nocy wyniosą. To do kierownika nie docierało. Magazyny mają być suche i widne, powtarzał. No, jak tak, to tak. Pan każe, majster musi wykonać.

Wiedziałem, że były też przewidziane mieszkania dla służby i dozorców. Szczęściarze, którzy się tam wprowadzą – myślałem.

Biura Kasy Oszczędności i sale walutowe, jak również kasa i szafy ogniotrwałe znajdowały się na pierwszym piętrze obok sześciobocznej sali posiedzeń. Dalej szerokimi schodami szło się na drugie piętro, gdzie były mieszkania dyrektorów. Wszystkie pomieszczenia wyposażone w lampy naftowe i piece.

Wszystko w tym budynku było eleganckie, nawet boczna klatka schodowa, która wiodła aż na sam strych, suchy i jasny, bo wyposażony w małe regularne okienka. Tylko raz, jeszcze zanim

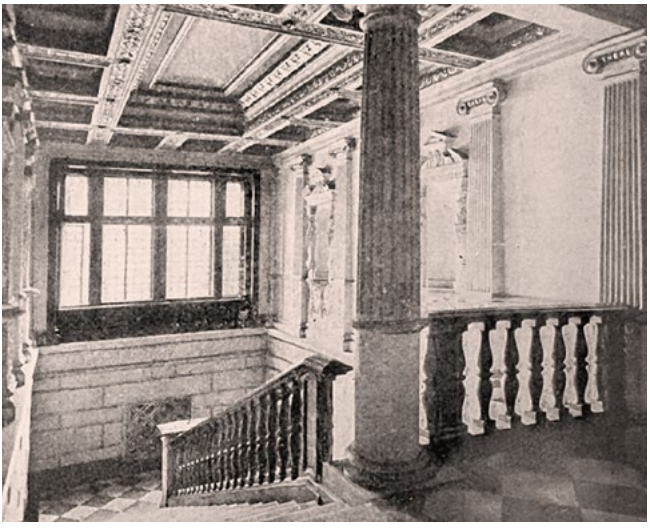
← Gmach Kasy Oszczędności Miasta Krakowa, obraz olejny autorstwa Ludwika Stasiaka, ok. 1894, fot. K. Schubert, 2021. MIK



otworzono biura, poprosił mnie Knaus, żebym wszedł z nim i dwoma dyrektorami na poddasze, bo chciał im pokazać widok na dachy Krakowa. Akurat zachodzące słońce odbijało się czerwoną łuną od wież kościelnych. „Piękny ten nasz Kraków – westchnął. – Obyśmy go tylko nie zepsuli. Jeden zły projekt dużo szkody może miastu wyrządzić, zasłaniając to, co warte pokazania. Zawsze trzeba patrzeć, czy Kraków dla potomnych zostawimy piękniejszy czy brzydszy, lepszy czy gorszy". Tak mówił Karol Knaus na strychu Kasy Oszczędności, kiedyśmy stali na drewnianym postumencie i przez otwarte okno patrzyli z góry na świat. Pomyślałem wtedy, że ludzie tacy jak on naprawdę kochają to miasto. Chwilę później słońce zaszło i zrobiło się ciemno.

Budowa się zakończyła, a wraz z nią moje zatrudnienie. Szukałem pracy, ale w fabryce u Zieleniewskich dostałem robotę tylko do połowy lipca i bez nadziei patrzyłem w przyszłość. Z robotnikami z fabryki wybrałem się raz czy drugi na piwo, lecz ponury był ze mnie kompan. Ciężko mi było na sercu. Tak to bywa, kiedy przez dwa lata człowiekowi się wydaje, że jest potrzebny na świecie, a potem traci wszystko. Zupełnie nie mogłem znaleźć sobie miejsca i chciałem już nawet skończyć z sobą. Coś mnie jednak powstrzymywało przed tym krokiem.

↑ Sala operacyjna Kasy na pierwszym piętrze, fot. S. Mucha, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa*, dz. cyt. Polona, domena publiczna



Czasem chodziłem na Szpitalną i z daleka patrzyłem na gmach Kasy Oszczędności. Wspomnienia trochę mi pomagały.

Nadeszła sobota 14 lipca, ostatni dzień mojej pracy u Zieleniewskich. Od rana było upalnie i duszno. Zbierało się na burzę. Po pracy zamiast na obiad, poszedłem przed siebie.

Przy Bramie Floriańskiej zerwał się porywisty wiatr, unosząc tumany kurzu. Grupa młodzieńców głośno świętowała jakąś uroczystość jednego z nich. Zaczęli nieboraka podrzucać w górę, śpiewając fałszywymi głosami „sto lat, sto lat" i „doktor praw, doktor praw niech żyje, żyje nam". Nagle powiał wiatr, zerwał mu z głowy kapelusz i rzucił prosto pod tramwaj konny. W ostatniej chwili udało mi się go złapać. Rozochoceni studenci zaczęli bić mi brawo. Mężczyzna, mniej więcej w moim wieku, podszedł do mnie i wyciągnął dłoń.

– Muczkowski jestem – powiedział niespodziewanie, więc i ja podałem mu swoje nazwisko. – Dziękuję za kapelusz – dodał, biorąc go z moich rąk. – Dzisiaj jest najszczęśliwszy dzień mojego życia. I panu tego życzę! – rzekł. W odpowiedzi kiwnąłem tylko głową.

W poniedziałek obudziłem się już jako bezrobotny. Wałęsałem się bez celu i sam nie wiem jak, znalazłem się na Szpitalnej. Od strony placu św. Ducha nadchodził akurat Karol Knaus.

↑ Reprezentacyjna klatka schodowa gmachu Kasy Oszczędności, fot. A. Pawlikowski, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa*, dz. cyt. Polona, domena publiczna



– Dzień dobry – ukłoniłem się.

Karol Knaus uchylił kapelusza, obrzucił mnie spojrzeniem i bardziej stwierdził, niż zapytał:

– Potrzebuje pan pracy? Proszę ze mną.

Weszliśmy do budynku Kasy Oszczędności. Strażnik popatrzył na mnie spod byka, ale że byłem z Karolem Knausem, musiał mnie wpuścić.

Szerokie schody wykonane ze śląskiego granitu przykrywał teraz czerwony dywan. Słońce zaglądało przez łukowato zwieńczone, olbrzymie okno. Pierwsze piętro, teraz już urządzone i ozdobione meblami i dywanami, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Od strony ulicy znajdowały się dwie sale: likwidatura i kasa. Od strony ogrodu, czyli tam, gdzie było zupełnie cicho i spokojnie, usytuowana była buchalteria. Karol Knaus uprzejmie rozmawiał z urzędnikami. Do jednego z nich podszedł, serdecznie się z nim przywitał i chwilę rozmawiał o jakimś malarzu.

– Kazimierz Stankiewicz, przyjaciel Matejki, bardzo zaangażowany w odbudowę Wawelu – odezwał się do mnie, jakby mi to coś mówiło. Pokiwałem więc tylko grzecznie głową.

Dalej umieszczono pokoje dyrekcji poprzedzone sekretariatem z dziennikiem podawczym i ekspedytem. Uprzejmy młodzieniec zapowiedział pana Knausa i po chwili weszliśmy do gabinetu.

↑ Gmach Kasy Oszczędności od ogrodu, z widoczną niezachowaną fontanną, fot. S. Mucha, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa*, dz. cyt. Polona, domena publiczna

Dyrektor wstał zza biurka. Za nim, między dwoma wielkimi oknami, wisiało lustro. Spojrzałem w nie i zobaczyłem siebie ze wszystkimi swoimi słabościami, z przeszłością, której nie mogłem się wyprzeć, z bezrobociem, które zaglądało mi w oczy. Tak bardzo nie pasowałem do tego eleganckiego wnętrza, że miałem ochotę uciec, ale nie mogłem się ruszyć z miejsca.

– Pamiętasz Adama, naszego strażnika? – zapytał Karol Knaus, wskazując na mnie. – Potrzebuje pracy.

– Oczywiście, doskonale pamiętam, uratował pan mój kapelusz. Inżynier bardzo pana chwalił. Byłem pewien, że ma pan stałe zajęcie – przerwał i sprawdził coś w kalendarzu. – Proszę przyjść za trzy dni. Postaram się znaleźć coś dla pana.

Podziękowałem i wyszedłem.

We czwartek o dziewiątej rano byłem przed tymi samymi drzwiami i czekałem na wezwanie.

Dyrektor siedział za biurkiem i wertował papiery. Lustro odbijało jego postać.



Jeden z pokoi pełniących funkcję gabinetu dyrekcji, fot. S. Mucha, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa*, dz. cyt. Polona, domena publiczna ↓



Ilu jeszcze dyrektorów będzie przeglądać się w tym lustrze, pomyślałem. Takie lustro! A gdyby w tym lustrze przeglądała się kobieta? Czy to w ogóle możliwe, żeby panie były dyrektorkami Kasy Oszczędności? Jakie decyzje by podejmowały? W sukienkach? Uśmiechnąłem się do swoich myśli.

– Czy ma pan rodzinę? – zapytał dyrektor.

Zaprzeczyłem. Nawet się na to nie zanosiło.

– To dobrze, to bardzo dobrze, bo mieszkań już jako takich nie ma, ale został pokoik w oficynie, z osobnym klozetem w korytarzu i umywalką. Przeznaczony jest dla palacza, który by w zimowe poranki rozpalał w piecach. Tyle na razie mogę panu zaproponować – powiedział, a ja starałem się nie dać po sobie poznać, jak bardzo ucieszyła mnie ta propozycja.

↑ Dzień oszczędności w Krakowie. Drugi od prawej siedzi jeden z dyrektorów Kasy Józef Muczkowski, piąty – prezydent Krakowa Karol Rolle. NAC



Podjąłem się tych obowiązków z radością, bo przecież w domu w Regulicach od dziecka paliłem w piecach.

I tak we wrześniu 1884 roku dostałem ubranie, porządne buty i służbowy pokój. Kiedy w grudniu pojechałem do domu na święta, matka rozpłakała się z radości, a ojciec w milczeniu poklepał mnie po plecach.

Tymczasem praca w banku wymagała dyscypliny. Najwcześniej przychodzili strażnicy, ale wtedy już musiało być napalone we wszystkich piecach. Strażnicy traktowali mnie z wyższością, zwłaszcza ten z parteru nigdy nie przepuścił okazji, żeby mi dokuczyć. Popychać się mnie nie ośmielał, jak to miał w zwyczaju wobec służących i sprzątaczek, ale słowem nieraz mi dopiekł do żywego. Prawdę mówiąc, nie pozostawałem mu dłużny.

Kiedy już było napalone, zaczynali się schodzić pracownicy biurowi, zaraz po nich pojawiali się pierwsi klienci. Po południu podkładałem drugi raz. Muszę powiedzieć, że szczególnie trudno było utrzymać stałą temperaturę na parterze, gdzie odźwierny często otwierał drzwi. Ponadto ludzie wchodzili w ośnieżonych paltach i kapeluszach, a i na butach też wnosili dużo śniegu, bo nie wszyscy mieli miły zwyczaj wycierania obuwia. Zwłaszcza klientela lombardu pozostawiała pod tym względem wiele do życzenia. Najtrudniejsze były dni, w które odbywały się licytacje. Na dole tłoczyła się taka ciżba, że aż trudno było mi się przedrzeć z węglarką do pieca. Tak przepracowałem jakiś czas.

To było w lutym. O dwunastej biły dzwony na wieży Mariackiej. Niosłem węglarkę i bardzo się spieszyłem, bo chciałem zdążyć przed licytacją, kiedy drzwi się otwarły i weszło przez nie dwóch chłopaków. Niestety, dobrze ich znałem. Jeden z nich miał na nogach buty, które pierwszego dnia zastawiłem w lombardzie na Szewskiej. Szybko klęknąłem przed piecem i pochyliłem się nisko, niby że to dmuchając w ogień, lecz tak naprawdę obserwowałem ich bardzo uważnie. Kiedy zniknęli w sali licytacyjnej, wyjrzałem na zewnątrz. Płatki śniegu wirowały w powietrzu, lecz naprzeciwko, po drugiej stronie Szpitalnej, dostrzegłem tego, który kilka lat temu ograł mnie w karty. Udawał, że wiąże sznurowadło, ale wydawało mi się, że patrzy na mnie ukradkiem, i jestem prawie pewny, że mnie poznał. Chociaż czy mógł się mnie spodziewać tutaj, na stanowisku palacza w Kasie Oszczędności?

Po chwili usłyszałem krótkie gwizdnięcie i tamci dwaj pospiesznie opuścili budynek. A więc jednak! Szykowali „robotę dorywczą". Byłem o tym przekonany, chociaż nie miałem na to żadnych dowodów. Co więcej, intuicja podpowiadała mi, że karciarz mnie rozpoznał i będzie chciał się na mnie zemścić za fabrykę Zieleniewskiego. Albo zrobią napad z bronią w ręku, a ja będę „przypadkową" ofiarą strzelaniny, albo rzucą na mnie podejrzenia.

W pierwszym odruchu chciałem natychmiast pójść do kierownika straży, ale na szczęście tego nie zrobiłem.

Minęło zaledwie kilka dni. Rankiem kończyłem rozpalać w kominku w sześciobocznej sali posiedzeń, do której przylegały kasy,

kiedy kątem oka zobaczyłem ciemną postać kręcącą się w pobliżu. Stanąłem za drzwiami w cieniu korytarza i czekałem. Jakie było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem, że ten, który węszy przy kasach, to strażnik z parteru!

Musiałem o tym poinformować dyrekcję. Ale jak miałem o tym powiedzieć panu dyrektorowi, nie wyjawiając swojej przeszłości? Gdyby nie to, że znałem zwyczaje krakowskich złodziei, zachowanie strażnika nie wzbudziłoby moich podejrzeń. Co miałem robić? Pilnowanie kasy należało do obowiązku strażników. Dyrektor wzruszy ramionami, a może jeszcze oskarży mnie, że chcę rzucić podejrzenie na niewinnego człowieka? Byłem w kropce.

Jak gdyby nigdy nic zszedłem na parter. Po chwili pojawił się strażnik i niby niechcący trącił moją węglarkę butem. Węgiel rozsypał się na podłogę. Zbieranie grud i zamiatanie pyłu zajęło mi dłuższą chwilę. Po raz pierwszy w salach likwidatury, buchalterii i pokojach dyrektorskich rozpalałem po rozpoczęciu pracy biura.

Nieszczęście sprawiło, że dyrektor był już u siebie. Siedział w szaliku i rękawiczkach. Usłyszałem, jak żalił się komuś, że w całym budynku jest zimno, a dzisiaj do Kasy Oszczędności przybywa Jan Matejko z konserwatorami pobrać sumę przeznaczoną na wykupienie Wawelu. Po chwili z gabinetu dyrektora wyszedł Kazimierz Stankiewicz.

Zadrżałem. A więc o to chodziło.

Stanąłem przed dyrektorem z brudnymi od węgla rękami i wszystko mu powiedziałem. Jednym tchem. Z początku słuchał z niedowierzaniem, ale kiedy wyznałem, skąd znam tych oprychów, po prostu mi uwierzył.

Wtedy wspomniałem o porannym zachowaniu strażnika.

– Nigdy wcześniej tego nie robił. Strażnicy z parteru nie mają czego szukać na piętrze – zakończyłem, a dyrektor długo milczał.

– Wracaj do swojej roboty – rzekł. – I bądź do mojej dyspozycji za godzinę.

Ledwie skończyłem z piecami, kiedy dyrektor zwołał nadzwyczajną naradę kierowników. W tym czasie intendent zszedł na dół z kluczami i poprosił mnie o pomoc. Boczną klatką schodową wynieśliśmy skrzynię podpisaną „Uwaga, szkło" z sejfu na

pierwszym piętrze. Na górze już czekał na nas drugi dyrektor, który w milczeniu otworzył szafę, pokazał miejsce, gdzie mieliśmy ustawić paczkę, po czym przekręcił klucz i schował go do kieszonki na piersi.

– Dziękuję, panowie – rzekł. – Na przyszłość musimy pomyśleć o jakimś solidnym sejfie z szafami pancernymi.

Kiedy schodziliśmy na parter, intendent złapał mnie za łokieć.

– Wiesz, co to było za szkło? Osiemset tysięcy koron! Kasa daje osiemset tysięcy koron, żeby się Austriacy wynieśli z Wawelu! – rzekł z roziskrzonymi oczami.

– Dobry ruch – odpowiedziałem.

W południe w budynku Kasy Oszczędności pojawiło się dwóch kompanów karciarza. Rozglądali się czujnie. Jeden z nich wszedł do sali obsługi i zaczął się awanturować. Kiedy uwaga wszystkich skupiła się na nim, ten drugi zniknął w łazience, a po chwili niezauważony przemknął korytarzem do pustego o tej porze pokoju sześciobocznego. Drzwi były uchylone. Najwyraźniej ktoś wcześniej przygotował mu robotę. Tymczasem byłem ciekaw, gdzie jest karciarz. Wyjrzałem przez okno. Stał na dole i czekał na towar. No jasne!

Usłyszałem głośne gwizdnięcie i z bocznej klatki schodowej wypadło czterech policjantów z psami. Akcja była błyskawiczna. Wyprowadzono rzezimieszków ze skutymi na plecach rękami. Ten, który czekał na towar pod oknem, próbował się bronić, ale szybko został obezwładniony. W czasie śledztwa ustalono, że ich informatorem była osoba z wewnątrz. Strażnik wkrótce pożegnał się z posadą, a ja od tej pory spokojnie paliłem w piecach i nikt mi nie dokuczał.

W lipcu 1903 roku zostałem wezwany przez nowego dyrektora Walentego Staniszewskiego.

– Słyszałem, że jest pan najdłużej pracującym człowiekiem w tym budynku. Musi pan znać tu każdy kąt! – powiedział i zaproponował mi pracę odźwiernego.

Wiązało się z tym lepsze uposażenie i większe mieszkanie. Zacząłem pracę od 1 sierpnia.

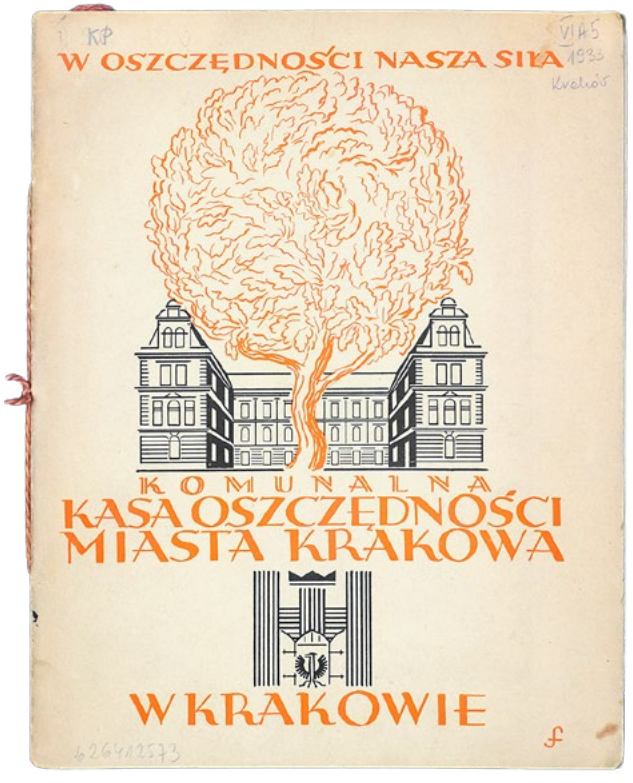
Tego dnia zanosiło się na burzę, ciemne chmury gromadziły się nad placem św. Ducha, od Małego Rynku wiał wiatr. I wtedy przed drzwiami Kasy Oszczędności stanął mężczyzna

w moim wieku, w kapeluszu na głowie. Otworzyłem mu drzwi, a on poprosił, abym zaanonsował go dyrektorowi.

– Józef Muczkowski – podał swoje nazwisko, a ja odruchowo podałem swoje. Staliśmy naprzeciwko siebie w niemym rozpoznaniu. Wyciągnął do mnie rękę i uścisnął mi dłoń.

Dzisiaj kończy się moja historia związana z tym budynkiem. Niedawno wstawiony witraż pięknie oświetla schody, którymi codziennie przez pięćdziesiąt lat chodziłem w górę i w dół. Na korytarzach pojawiły się wieszaki na kapelusze i parasole. Od lat mamy sejf z prawdziwego zdarzenia. Coraz więcej ludzi mądrze oszczędza, a Kasa Oszczędności inwestuje pieniądze dla wspólnego dobra. Niemałą rolę ma w tym i pan Muczkowski, niemałą!

Wielu ludzi w życiu spotkałem, i dobrych, i złych. Wolę pamiętać tych dobrych.



↑ Okładka broszury propagującej działalność Kasy Oszczędności Miasta Krakowa, za: *Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa*, dz. cyt. Polona, domena publiczna

Dzieci podczas zabaw w parku Jordana, 1929. NAC



LEPIEJ JEDNAK Z PRZYJACIÓŁMI

Park im. dra Henryka Jordana w Krakowie

Pierwszy raz widziałam, żeby Felek Fidziński płakał. To było w maju 1907 roku.

Rano miałam iść przed dom narwać bzu. Stałam w ogródku przy Łobzowskiej z zadartą głową i „zagapiałam się" na ciężkie deszczowe chmury, które wiatr gonił po niebie, kiedy mama wychyliła głowę przez okno i krzyknęła:

– Maniu, nie zagapiaj się, bo nie zdążymy na pogrzeb.

Zaraz się opamiętałam.

W domu mama przewiązała bzy czarną wstążką. Taką samą wplotła mi we włosy. Stałam w przedpokoju przed lustrem i nie mogłam się na siebie napatrzeć, tak poważnie i dorośle wyglądałam w ciemnej sukience z czarnymi kokardami. Mama również była cała na czarno. Nawet parasol wzięła czarny. Tylko bzy do tego nie pasowały, bo były bzowe. Tego jednak mamusi nie powiedziałam, bo nie chciałam jej robić przykrości. I bez tego wyglądała na smutną.

Gdy tylko wyszłyśmy z domu, złapał nas deszcz. Mama rozłożyła parasol i zaraz się pod nim pojawiły jeszcze Zosia i Ala, bo one także ze swoimi rodzicami szły na pogrzeb doktora Jordana. Ala miała nowe czarne lakierki, które tatuś kupił jej specjalnie na tę okazję. Nie odezwałam się, bo moja mama na pewno by mi nie kupiła takich bucików. Poza tym te moje stare były jeszcze całkiem dobre i jak je sobie wczoraj wyczyściłam i zapastowałam, wyglądały jak nowe.



– Dziewczynki, nie podskakujcie, to poważna uroczystość – upomniała nas mama Zosi i od tej pory szłyśmy już spokojnie. Żeby nie podskakiwać, trzymałyśmy się nawet pod ręce. I tak pilnowałyśmy się nawzajem do grzeczności.

– Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną – szepnęłam do Zosi. – Ja jestem Aramisem.

Powiedziałam, że jestem Aramisem, bo wiedziałam, że Ala zawsze chce być d'Artagnanem, a dzisiaj ze względu na pogrzeb nie chciałam się z nią pokłócić.

Kiedy szliśmy przez Rynek, wiał silny wiatr, zrywał liście z drzew rosnących przed Sukiennicami i wokół Rynku. Razem z nami pod dom doktora Jordana szło bardzo dużo ludzi. Wszyscy nieśli kwiaty i wieńce. Wiatr szarpał wstęgi i staranne fryzury pań w pięknych sukniach. Panowie z niepokojem patrzyli w niebo.

Mimo że to było przedpołudnie, wzdłuż całej drogi paliły się latarnie przybrane w czarne kiry. Wyczuwało się w powietrzu jakieś poważne napięcie. Zosia mocniej ścisnęła mnie pod ramię.

– Czujecie to, co ja? – zapytała szeptem. Ala potaknęła.

Na Sławkowskiej był taki tłum, że z trudem dało się iść. Trzymałam się Ali i Zosi. Moja mama została troszkę z tyłu, bo wszyscy się zatrzymali. Pan prezydent Leo przemawiał bardzo długo, a po nim mówili jeszcze trzej inni panowie. Rozglądałam się dookoła i zobaczyłam, że z boku stoją dzieci jordanowskie w mundurkach pod opieką naszych pań z mleczarni. Zapytałam, czy możemy do nich dołączyć, a moja mama i rodzice Ali i Zosi się zgodzili. Mama kazała nam tylko wziąć parasol, żebyśmy nie zmokły, gdyby zaczęło padać.

Z domu doktora wyniesiono trumnę i ułożono na wozie. Przed nim jechał drugi wóz cały załadowany wieńcami i kwiatami. Powoli przejeżdżał obok nas, i to dosłownie tak blisko, że Ala musiała się cofnąć, żeby jej nie przejechał po nowych bucikach. Zamachnęłam się i wrzuciłam na niego bzy. I teraz jechał wóz z wielkimi, ciężkimi wieńcami, a na samej górze leżał bukiecik przewiązany czarną wstążką mojej mamy. I doktor Jordan nawet się pewnie nie spodziewał, kto go tam położył.

My, dzieci jordanowskie, szłyśmy stosunkowo z przodu, osobno dziewczynki, osobno chłopcy, ale jak się odwracałam, to nie widziałam końca konduktu. Następny dłuższy postój był jeszcze

← Tłum na Rynku Głównym w Krakowie podczas pogrzebu Henryka Jordana, „Nowości Ilustrowane" 1907, nr 21. JBC, domena publiczna



przy szpitalu na Kopernika, gdzie moja mama była salową, a pan doktor pracował jako lekarz. Tu też czterech panów wygłosiło mowy. O ile znałam pana doktora, to pewnie słuchałby uprzejmie, ale z boku robiłby do nas, dzieci, miny. Wyobraziłam sobie doktora i zachciało mi się śmiać, na całe szczęście Zosia szturchnęła mnie łokciem i natychmiast się uspokoiłam.

Doktor Jordan nieraz miał pogadanki o postaciach z pomników w parku, lecz on mówił krótko i ciekawie. Na przykład gdy opowiadał nam o Janie Długoszu, który spisał historię Polski od najdawniejszych czasów aż do swojej śmierci. Miał zostać arcybiskupem, ale list od króla, który mu nadawał ten tytuł, przyszedł dzień po tym, jak Długosz umarł 19 maja 1480 roku. „W 1880 jego szczątki zostały złożone w kościele na Skałce" – mówił doktor. „Akurat 19 maja są urodziny mojej mamusi" – wyrwało mi się wtedy, a doktor Jordan mnie pogłaskał po głowie i kazał złożyć mamie najlepsze życzenia.

To było dawno, kiedy byłam jeszcze mała, miałam sześć lat.

Doktor spędzał z nami w parku całe popołudnia. Przyjeżdżał dorożką, czasem z żoną, czasem sam. Zabierał młodsze dzieci na spacery patriotyczne, tak to nazywałyśmy z Zosią i Alą, jednak częściej o pomnikach w parku opowiadał starszym zastępom chłopców. Może dlatego, że ci wielcy Polacy to byli sami mężczyźni wykuci z białego marmuru i doktor chciał, żeby chłopcy też wyrośli kiedyś na bohaterów, takich jak Reytan albo Pułaski? Nie wiadomo.

↑ Park Jordana na pocztówce, przełom XIX i XX w. ANK

Lubiłyśmy te spacery z doktorem Jordanem. Inni wychowawcy nie umieli tak ciekawie opowiadać. Doktor Jordan na przykład nigdy nas nie uciszał ani na nas nie krzyczał, tylko zawsze pytał, co nas zaciekawiło, i jeśli to nie był Kościuszko, tylko wiewiórka na drzewie, to zaczynał nam opowiadać o drzewach, o tym, że zasadził kilka tysięcy małych drzewek, zanim jeszcze nasi rajcy podjęli decyzję o założeniu parku. Dostał je od Lubomirskich. Znał każde, każdziutkie drzewo w parku, niektóre były już wyższe od dorosłego człowieka, niektóre takie jak ja. „A pomyślcie, jak ten park będzie wyglądał za sto lat" – mówił pan doktor, kucał, wyciągał rękę i wiewiórki same do niego przychodziły. Jakiś taki bardzo kochany był ten nasz doktor. Ale o tym żaden z panów przemawiających na jego pogrzebie nie powiedział.

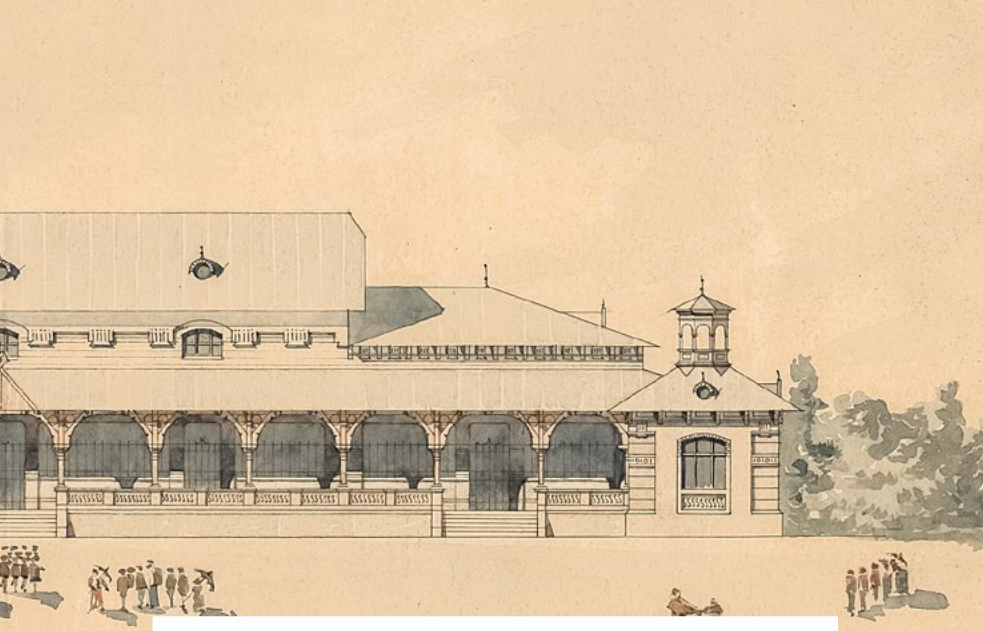


↑ Henryk Jordan, widokówka, przełom XIX i XX w. MWL CM UJ



Kondukt pogrzebowy ruszył dalej. Felek Fidziński prowadził wszystkie dzieci jordanowskie. Najpierw szedł on, potem zastępami dziewczynki, za nami zastępy chłopców. Felek był wysoki, a jeszcze dodatkowo trzymał ręce w górze, bo niósł flagę sportowców. Przez cały czas miałam przed sobą jego plecy. Od kilku lat Felek był dla nas wzorem, bardzo go wszystkie trzy podziwiałyśmy, zwłaszcza odkąd dowiedziałyśmy się, że udzielił pierwszej pomocy koledze, który zemdlał na ulicy. Felek w ogóle zawsze zachowywał zimną krew, był opanowany i spokojny. Mnie kiedyś pomógł z zasupłanym sznurowadłem. Już rozległ się dzwonek, wszyscy wyszli z szatni, a ja nie mogłam sobie poradzić z bucikami. Szarpałam wściekła i chybabym je urwała. Wtedy Felek, zamiast pobiec na swoją zbiórkę, kucnął przede mną i cały czas powtarzał: „Spokojnie, spokojnie, szarpanie nic tu nie pomoże". Miał rację. No i był świetnym sportowcem. Doktor Jordan nieraz go przy nas chwalił. Ale nawet wtedy Felek nic po sobie nie pokazywał.

Dopiero teraz, nad grobem pana doktora, kiedy chór śpiewał marsz żałobny, a czterej mężczyźni wkładali jego trumnę do dołu i kardynał Puzyna z księdzem biskupem Nowakiem święcili ziemię, którą mieli go zasypać, dopiero teraz zobaczyłam, że Felkowi drżą ramiona i trzęsą się całe plecy. Felek miał już szesnaście lat, ja chodziłam do czwartej klasy. Pomyślałam, że duzi chłopcy też mogą płakać i że to żaden wstyd. Ale nigdy, przenigdy później z Felkiem o tym nie rozmawiałam.



Ciekawa jestem, czy pan doktor kiedykolwiek płakał.

Jakoś tak kilka dni potem miałam okazję o to zapytać moją mamusię. Siedziałyśmy wieczorem w naszym maleńkim mieszkaniu. Mama dolała nafty i zapaliła lampę, przy której cerowała moje pończochy, a ja czytałam.

– Piłaś dzisiaj mleko? – zapytała.

– Nawet dwa kubki, bo Ala się rozchorowała i nie przyszła do parku. I pani mi dała za nią drugą bułkę i kazała zjeść – powiedziałam.

– To dobrze. Nie jesteś głodna?

Trochę byłam, ale nie chciałam mamie robić przykrości, więc powiedziałam, że wytrzymam do rana.

– Ciekawe, co teraz będzie z parkiem i z tym wszystkim, kto o to zadba – westchnęła mama, urywając nitkę.

– Pan Jordan był bogatym człowiekiem, prawda, mamusiu? – odważyłam się zapytać.

– No tak, dużo pracował, był mądry, wiele się uczył, żeby to osiągnąć…

– Ale czy był szczęśliwy? Myślisz, mamo, że on nigdy nie płakał?

Lampa przygasła i nie widziałam dokładnie twarzy mamy, ale jej głos stał się poważny.

– Płakał, płakał, córeczko.

Poczułam, że mama obejmuje mnie ramionami i mocno przytula. Chociaż byłam już duża, weszłam jej na kolana i położyłam głowę na ramieniu.

↑ Szkic pawilonu, który miał pomieścić salę gimnastyczną, kancelarię parku, szatnie, natryski i magazyn, wykonany przez architekta Jana Rzymkowskiego, 1898. ANK

– Za każdym razem, gdy w szpitalu umierało dziecko. Płakał, jakby to był jego synek, który był młodszy od ciebie, kiedy umarł. Tak, doktor płakał, a potem podnosił głowę i mówił, że dusza potrzebuje radości, że człowiek potrzebuje ruchu i zabawy. Mówił, że to jest taka potrzeba jak oddychanie i jedzenie. I że ruch na świeżym powietrzu, bieganie, granie, skakanie, jeżdżenie na rowerze latem i na łyżwach zimą jest podstawowym obowiązkiem dzieci i dorosłych. Że nie można tylko pracować i się męczyć. Że trzeba mieć przyjaciół i czerpać radość z życia. Naprawdę tak mówił! Że to jest nasz patriotyczny obowiązek, żebyśmy byli silni i szczęśliwi.

– A ty, mamusiu, jesteś szczęśliwa?

– Ja? – odpowiedziała mama pytaniem na pytanie. – Bardzo.

Z tymi przyjaciółmi to jednak doktor Jordan przesadził! Już nigdy nie odezwę się do Ali. Nigdy, nawet po śmierci. Zosia też okazała się zdrajczynią i w dodatku kłamczuchą. Dziękuję za takie przyjaciółki. Szczęśliwsza będę bez!

Zaczęło się od tego, że bardzo mi się spieszyło, więc podjechałam tramwajem z Rynku, przez Szewską i Podwale do parku Jordana za 10 halerzy. Byłam przed czwartą po południu i musiałam czekać na swój zastęp. Przebiegłam przez drewniany mostek nad wodą, który prowadził do bramy z napisem Miejski Park dr. Jordana, i wpadłam tam przed czasem, ale już się nie mogłam doczekać, żeby zobaczyć, który zastęp wygrał zawody



↑ Most na Rudawie z bramą wiodącą do Parku Jordana, po prawej stronie dom dozorcy. ANK



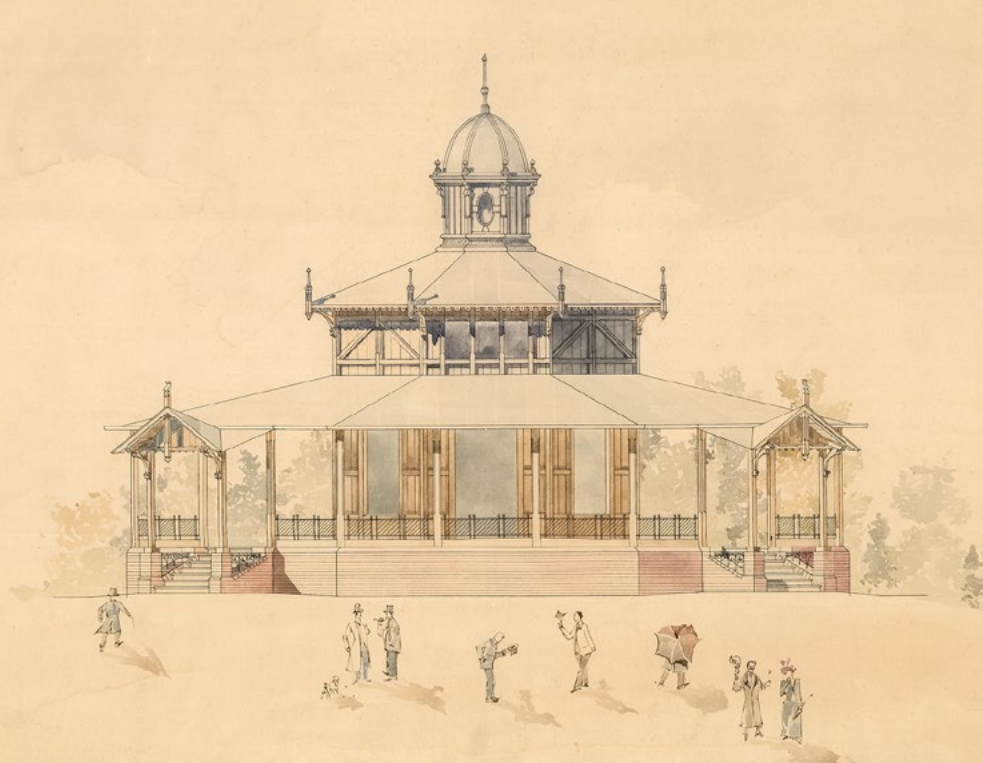
w tym tygodniu. Bardzo chciałam, żeby to był nasz. Co prawda miałyśmy kilka nieobecności, ale inne zastępy dziewczynek miały więcej. Żeby wygrać, trzeba było być punktualnym, nie opuszczać i mieć dobrą opinię od przodowników. Przyszłam do parku najszybciej, jak mogłam. Rozejrzałam się, mojego zastępu jeszcze nie było, weszłam więc sama do mleczarni pani Dobrzyńskiej.

Uwielbiam mleczarnię pani Dobrzyńskiej. Tam zawsze tak wspaniale pachnie chlebem i kawą z mlekiem. I panie są takie miłe! Dopytują o zdrowie mamusi i jak mi idzie w szkole. Niektóre dzieci za mleko i chleb muszą płacić, niektóre nie muszą. Ponieważ mój tatuś umarł, to panie nie biorą ode mnie pieniążków. Nikogo jeszcze nie było, więc zjadłam swój chleb i powolutku piłam mleko, rozmawiając z paniami. Powiedziałam, że Ali chyba nie będzie, bo choruje, i wtedy pani Dobrzyńska dała mi drugą pajdę chleba i zapytała, czy chcę jeszcze mleka. Jasne, że chciałam. I na to przyszła Ala. Panie się zdziwiły, a Ala zobaczyła, że przede mną stoją dwa kubki po mleku, i powiedziała, że wypiłam jej mleko i zjadłam jej chleb. To była nieprawda! Panie zaraz jej dały i mleka, i chleba, ale ona zaczęła burczeć, że jedni płacą i nie mają, a inni nie płacą, przychodzą wcześniej i zjadają wszystko bez myślenia o drugim człowieku. Ja jej tylko powiedziałam, że jest zarozumiała i że nic jej nie ubyło, a ona na to, że jestem egoistką! Panie z mleczarni kazały nam się przestać kłócić, więc przestałyśmy, ale ja się do tej Ali już nigdy nie odezwę. Nigdy.

↑ Przodownicy w parku z Henrykiem Jordanem (w górnym rzędzie trzeci z lewej) i kierownikiem parku Marianem Tokarskim (czwarty z lewej), fot. T. Jabłoński, 1896. ŚBC, domena publiczna

Ale najgorsze było później.

Chłopcy na dzwonek poszli na boisko do piłki nożnej. Wszystkich numerowanych boisk było dwanaście, a na tym trzynastym, które jako jedyne miało trawę, rozegrał się mecz z lwowiakami. Teraz jednak widziałam, że chłopcy idą w kierunku ósmego boiska. Czasem tam do nich zaglądał pan doktor, bo on uwielbiał piłkę nożną. Niestety, chłopaki nie za bardzo przestrzegali zasad i nieraz się zdarzyło, żeśmy z dziewczynkami słyszały, jak doktor krzyczy „Ręka, ręka!" albo „Faul, faul", ale nie wiem, czy to coś dawało. Felek był chorążym i obok przodownika prowadził swój zastęp. Słusznie został chorążym, bo w zeszłym roku, kiedy był pierwszy mecz piłki nożnej dzieci krakowskie z Parku Jordana kontra lwowiacy z Towarzystwa Zabaw Ruchowych, to Felek najgłośniej wspierał naszych chłopców. Przegraliśmy wtedy 0:4, ale doktor Jordan bardzo chwalił wszystkich zawodników i kibiców. Wcale nie krzyczał „faul" i „ręka". Mówił natomiast, że jeśli będziemy dobrze trenować, to w następnym roku mamy szansę wygrać. I jeszcze tak ładnie powiedział, że mecz dzieci krakowskich i dzieci lwowskich jest wspólnym sukcesem Polaków i ktokolwiek wygrał, wygrali Polacy. To sobie przypomniałam, gdy zobaczyłam, że chłopcy idą grać w piłkę nożną.

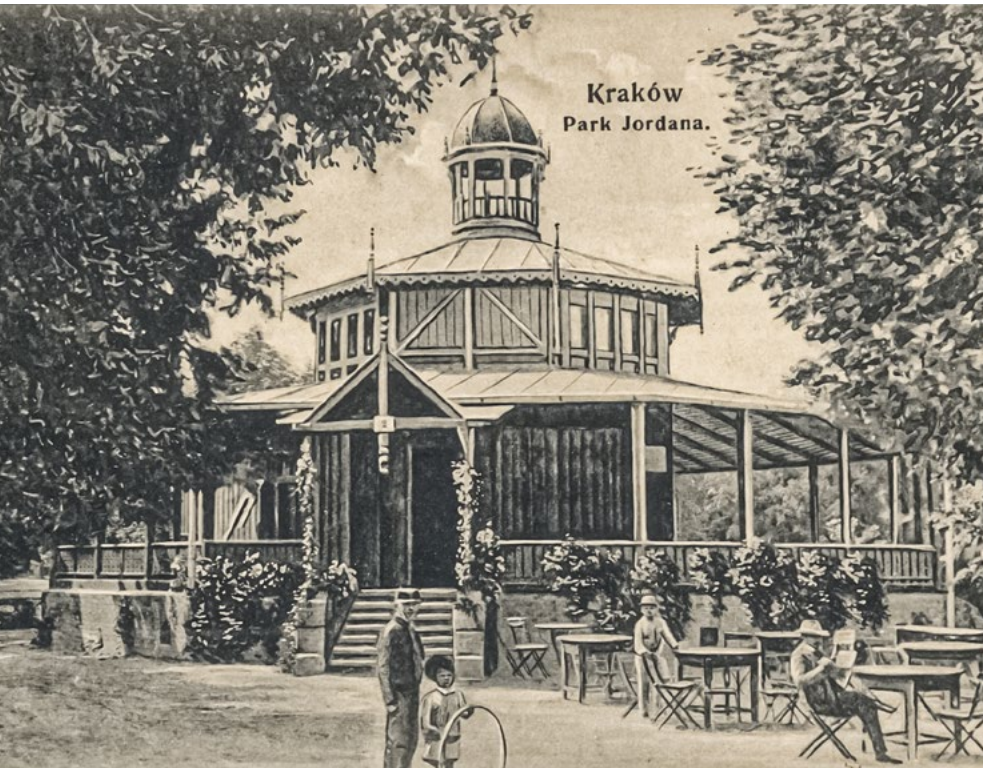


← Projekt pawilonu na mleczarnię w parku, wykonany przez architekta Jana Rzymkowskiego, 1897. ANK

No i, zagapiłam się, jak to ja. Tymczasem nasz przodownik, pan Kozłowski, już wyznaczył zabawę, pole i kurnik. Zosia zgłosiła się na kurę, chociaż to ja się chciałam zgłosić pierwsza. No niestety, zostałam jastrzębiem. Postanowiłam jak najszybciej wyłapać wszystkie kurczęta, ale miałam za daleko gniazdo i było to trudne. A na dodatek Zosia łapała mnie za ręce. Nie tylko osłaniała swoje pisklęta skrzydłami, ale dwa razy złapała mnie za ręce, a raz przytrzymała za mundurek. No i oczywiście, jak jej to powiedziałam, to się na mnie obraziła, nazwała kłamczuchą i do szatni szła w parze z Alą. A przecież to ona kłamała!

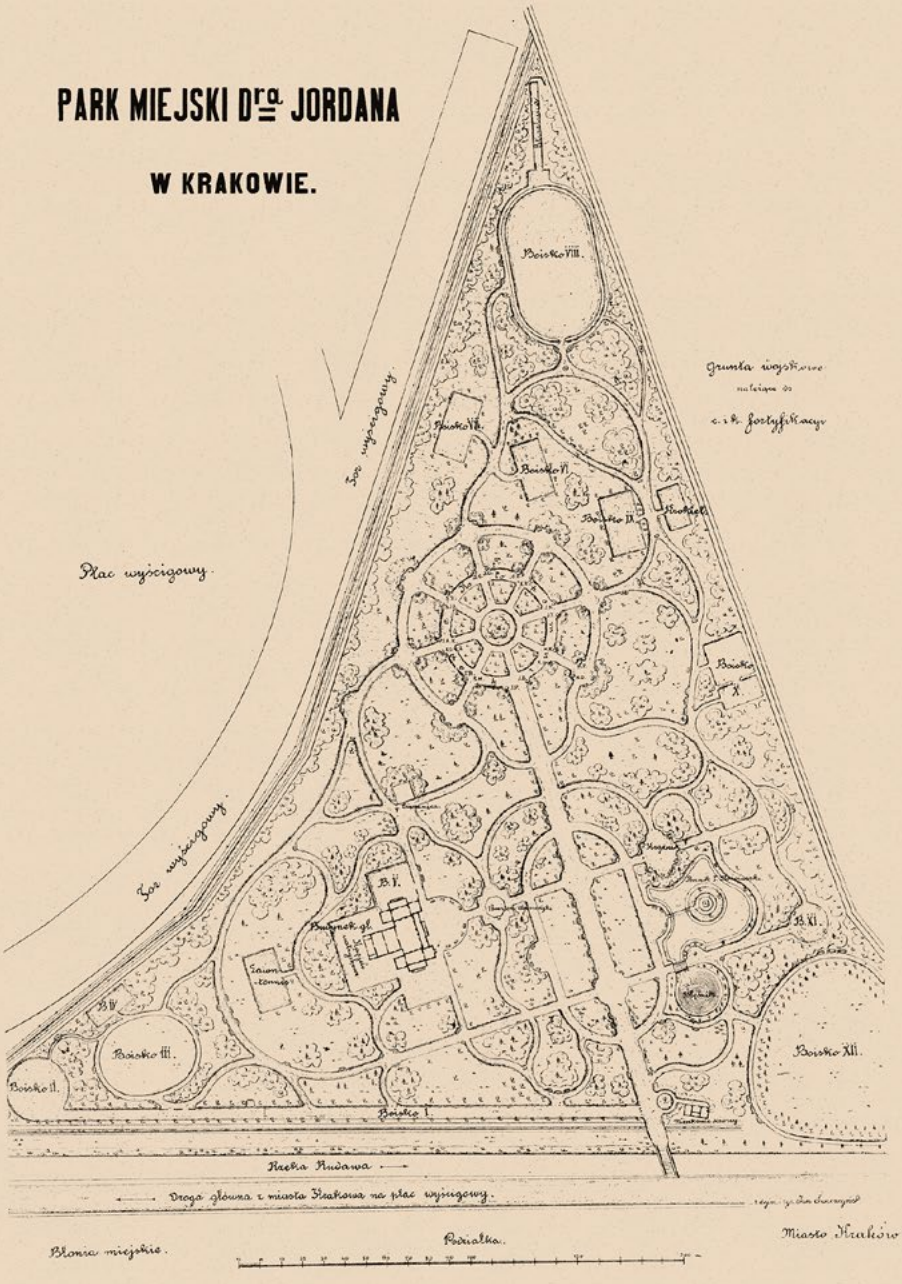
Potem miałyśmy jeszcze gimnastykę na przyrządach, którymi opiekował się pan Śliwa i trzeba było na nie bardzo uważać i mieć w poszanowaniu. Dziewczyny wisiały jak kiełbaski, rozmawiały sobie i się chichrały, a ja chodziłam po równoważni tam i z powrotem. W końcu mi to zbrzydło i zeskoczyłam. Alejką dalej maszerował zastęp starszych chłopców. Przechodzili ze strzelnicy na boisko i zaczęli się śmiać, że spadłam. A ja wcale nie spadłam. Zeskoczyłam, tylko tak niefortunnie, że się przewróciłam. Pan Kozłowski ostro powiedział im do słuchu, że kto to widział, żeby dżentelmeni dokuczali dziewczynkom, ale mnie nic nie mogło pocieszyć.

Mleczarnia Eweliny Dobrzyńskiej, → drewniany budynek w 1967 r. strawił pożar, pocz. XX w. ANK



PARK MIEJSKI Dra JORDANA

W KRAKOWIE.



Nawet spacer patriotyczny z tym nowym panem był okropny. Stanęliśmy przed białym marmurowym popiersiem jakiegoś hetmana i pan zaczął czytać z kartki. Tak bardzo wtedy zatęskniłam za tym, jak opowiadał doktor Jordan! A nie mogłam nawet szturchnąć Ali, żeby jej pokazać, że się nudzę, bo przecież przysięgłam sobie nigdy się do niej nie odezwać. Na dodatek świeciło słońce i grzało mnie w głowę, gdy zaś chciałam się schować w cieniu drzewa, pan powiedział, że jestem niegrzeczna i że mam się nie rozchodzić.

No i przez tę uwagę tego nowego pana nasz zastęp nie dostał nagrody!

Po powrocie do domu powiedziałam mamie, że nie pójdę więcej do parku, że nie ma tam dla mnie żadnej zabawy, że przyjaciółki okazały się fałszywe i że wolę umrzeć i mieć pogrzeb jak doktor Jordan, niż dalej tak żyć. A mama w ogóle się tym nie przejęła. Śmiała się i poszła do kuchni. Słyszałam, że tam sobie wesoło nuciła. Siedziałam nad kaligrafią i chciało mi się płakać. Dopiero kiedy mama zawołała mnie na naleśniki z konfiturą, poprawił mi się humor.

W kuchni na stoliku stały żonkile w dzbanuszku.

– Skąd mamy takie kwiatki? – zapytałam, ale mama chyba nie usłyszała pytania.

Następnego dnia też była piękna pogoda, lecz mnie to nie mogło cieszyć. Straciłam przyjaciółki i to było okropne. Z ponurą miną weszłam do mleczarni pani Dobrzyńskiej. W milczeniu wypiłam mleko i zjadłam chleb. Został kwadrans do zajęć. Szybko przebrałam się w mundurek i wyszłam przed pawilon. Na trawie wśród mleczy siedziały Ala, Zosia i Łusia. Mnie nie potrzebowały, więc odeszłam za akację, zerwałam listek i zaczęłam sobie wróżyć: kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje, w myśli, w mowie i w sercu, na ślubnym kobiercu. Wyszło mi raz, że nie dba, raz, że żartuje.

Chłopcy szli na zajęcia wojskowe, śpiewając równymi głosami:

„Przejdziem Litwę, przejdziem Wołyń, popasiem w Kijowie,
Zimą przy węgierskim winie staniemy w Krakowie.
Marsz, marsz Polonia,
Nasz dzielny narodzie,
Odpoczniemy po swej pracy
W ojczystej zagrodzie”.

← Plan parku, za: *Miejski park dra Jordana w Krakowie*, Kraków 1894. Polona, domena publiczna

Ładnie śpiewali, troszkę się zasłuchałam i nie zauważyłam, że od tyłu podeszły do mnie dziewczyny.

Zosia szturchnęła mnie łokciem i powiedziała:

– „Kto się gniewa, ten się gniewa, niech przywiąże nos do drzewa. Niech to drzewo dotąd nosi, aż się z nami nie przeprosi!"

Ala na te słowa włożyła mi na głowę piękny wianek z żółtych mleczy. Zresztą Zosia i Łusia też miały takie wianki.

– Przyjmujesz? – zapytała Ala.

– Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną – odpowiedziałam i rzuciłam się jej na szyję z radości.

– Łusia nas nauczyła pleść, Łusia nas nauczyła – podskakiwała Zosia, ciągnąc mnie za rękę, bo już dzwonek wzywał na zbiórkę.

– Widzę tu aż cztery Wandy – zażartował pan, gdy stanęłyśmy w szeregu z wiankami na głowach.

Najpierw bawiłyśmy się na krążniku, potem grałyśmy w pytkę. Stałyśmy w kole z rękami za plecami, Zosia miała pytkę, a ja byłam między Alą i Łusią, więc kiedy Zosia dała mi pytkę do ręki, musiałam gonić Alę.

– Masz w zamian za piękny wianek – powiedziałam, kiedy ją dogoniłam i dałam jej pytkę.

Łusia tak się z tego śmiała, że nie mogła biegać.

– Dzisiaj zrobimy dzień prac praktycznych – powiedział na to nasz pan. – Łusia będzie nauczycielką i pokaże wam, jak się robi wianki.



↑ Dziewczęta bawiące się na krążniku w parku, koniec XIX w. MWL CM UJ



Jejku, jak pięknie wyglądał nasz zastęp, kiedy wracałyśmy parami, wszystkie z wiankami na głowach i z pieśnią na ustach.

„Tam w ogródeczku lelija,
Za ogródeczkiem szałwia.
Tam panny siedziały,
Wianeczki wijały…”

Aż panie z mleczarni wyszły, a Felek Fidziński zdjął czapkę i się ukłonił, jak nas zobaczył.

– Oj, to się doktor Jordan cieszy, jak was widzi z nieba! – powiedział.

Wieczorem przyszłam do domu, otworzyłam tornister i powiedziałam do mamy:

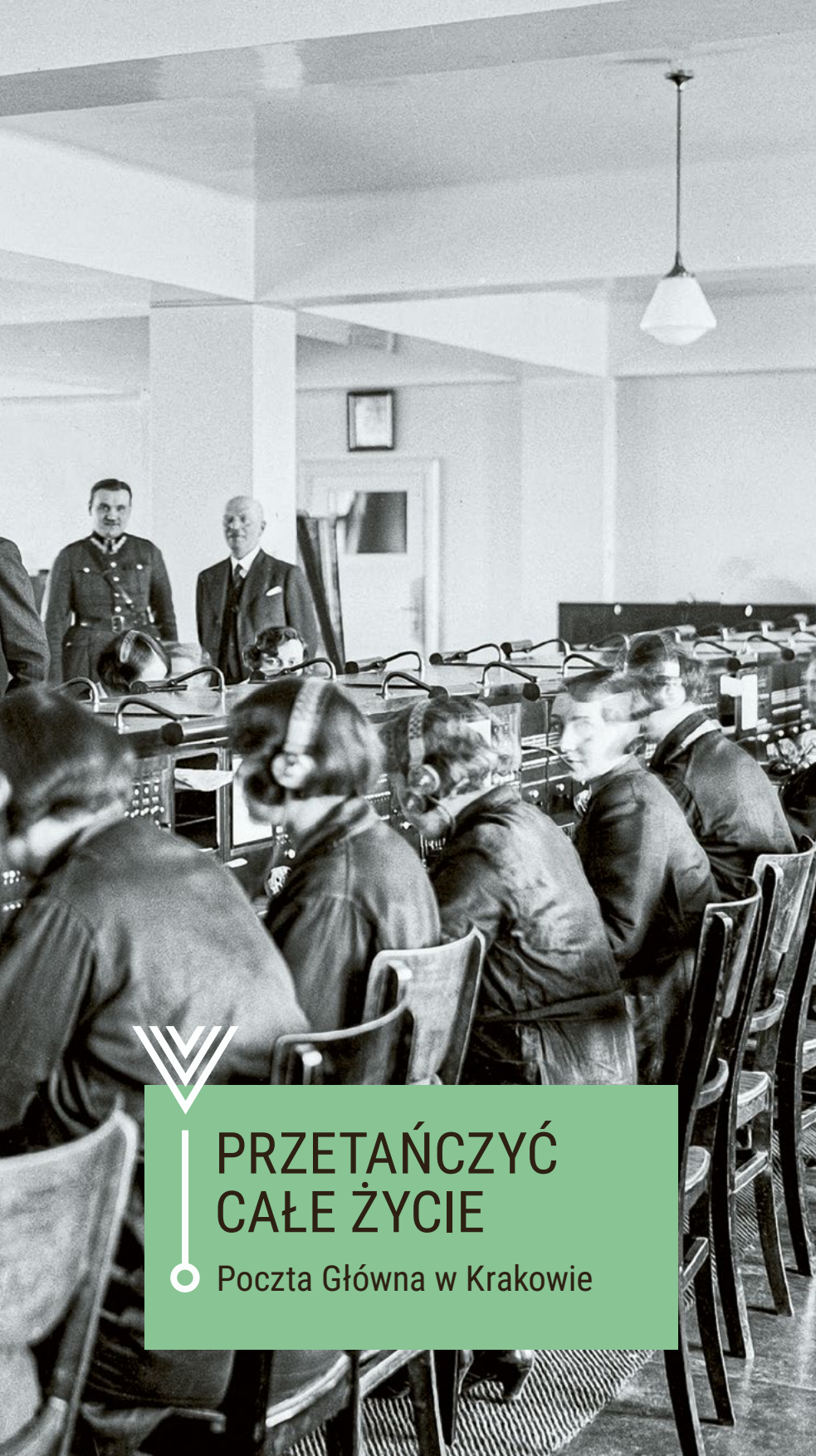
– Mam coś dla ciebie, mamusiu. Zamknij oczy.

I wtedy włożyłam jej wianek z mleczy na głowę. Był trochę pognieciony i zwiędnięty, ale mama powiedziała, że to nic, że jest najpiękniejszy, bo jest z kwiatków z parku doktora Jordana.

Jaki dobry był ten nasz doktor!

↑ Drewniana dzwonnica, z której rozlegał się sygnał wzywający dzieci na zajęcia, 1929. NAC

Centralka telefoniczna w gmachu Poczty Głównej w Krakowie, 1932.
NAC, domena publiczna



PRZETAŃCZYĆ CAŁE ŻYCIE

Poczta Główna w Krakowie

Och, Wiedeń, Wiedeń, Wiedeń. Jak piękny musi być Wiedeń o tej porze roku, kiedy wytworne panie w jedwabnych sukniach i eleganccy panowie we frakach podążają na rauty i bale! W salach tanecznych i na ulicach Wiednia – wszędzie słychać muzykę, a wiedeńczycy poruszają się ruchem wirowym i krążą, wirują, tańczą. Oni przez całe życie tylko tańczą.

Zapada mrok, Wiedeń rozświetla się tysiącem świateł, które drżą zwielokrotnione, odbite w taflach luster i…, ach, jaki piękny musi być Wiedeń o tej porze. Cesarz Franciszek Józef bierze w objęcia ukochaną Sissi, a ona robi obrót i tanecznym krokiem się oddala, ginie w labiryntach ogrodu. Wiedeń! Wiedeń o zmierzchu.

Takie historie czytałam w książkach, które nam pożyczał pan nauczyciel języka niemieckiego.

Myślałam, że prawdziwe życie możliwe jest tylko w Wiedniu, że tam można przetańczyć całe życie.

Aż pewnego razu w wakacje do Wadowic przyjechał koleją przyjaciel mojej ciotki. Z Wiednia, na całe lato.

Wieczorami towarzystwo spotykało się w ogrodzie u cioci, ja podawałam napoje, a przyjaciel z Wiednia opowiadał, jakie piękne to miasto, jak wspaniała muzyka, jak cudowne, jak romantyczne i zmysłowe są wiedeńskie tańce. Ciocia urządzała potańcówki, ale ja nie lubiłam tańczyć z chłopakami ze wsi. Ja chciałam tańczyć walca. Tak się złożyło, że gość cioci tańczył wspaniale i obiecał, że nauczy mnie walca wiedeńskiego. Natychmiast przystąpiliśmy do lekcji. Mężczyzna brał mnie w ramiona i prowadził, udzielając instrukcji szeptem, do ucha, bardzo dyskretnie.

Kiedy zostawałam sama w domu i nikt mnie nie widział, próbowałam powtarzać kroki walca, unosiłam lewą rękę, jakbym go obejmowała za szyję, prawą wystawiałam przed siebie i przeginałam się to w bok, to do tyłu, odrzucałam głowę omdlewającym ruchem, przymykałam oczy, tak jak lubił, i ruszałam w tan.

Przyjaciel cioci zapraszał mnie na lekcje do siebie, nastawiał gramofon i uczył kroków. Tak spędziłam całe wakacje, wakacje po ukończeniu Trywialnej Szkoły Panieńskiej w Wadowicach. Nauczyłam się walca, a przy okazji czegoś całkiem innego.

Wiedziałam, że w Wiedniu zostawił żonę, starą, tęgą kobietę w sukni zapiętej po szyję. Jej ojciec był dyrektorem banku i obracał wielkimi pieniędzmi. Wiedziałam. Ale mój luby mówił, że brzydzi się światem bankierów, że milszy mu swojski świat Wadowic i że gdyby mógł, rzuciłby swoje dotychczasowe życie i ożeniłby się z dziewczyną taką jak ja, młodą i piękną, która nadałaby sens jego życiu. Więc byłam pewna, że jak tylko nauczę się tańczyć tego walca, to on się ze mną ożeni i zabierze do Wiednia. Kiedy wyjechał, żeby ostatecznie rozmówić się z tą żoną, czekałam. Czekałam i wyobrażałam sobie, jak piękny musi być roztańczony, rozwirowany Wiedeń, Wiedeń w muzyce, Wiedeń w ruchu.

Czekałam najpierw na niego, a potem na kobiece sprawy. Ale się nie doczekałam, więc napisałam do niego list, w którym powiadomiłam, że nasza miłość zaowocowała. W odpowiedzi dostałam pocztówkę, którą w porę przejęłam od listonosza. Na awersie znajdowała się ilustracja wielkiego gmaszyska, na odwrocie drobnym drukiem, po niemiecku, że to budynek pocztowy projektu niejakiego Friedricha Setza. Zapamiętałam jego nazwisko, choć nie to było ważne, bo niżej mój ukochany napisał, że zaszła pomyłka i on nie ma zamiaru wykonywać żadnego ruchu w tej sprawie. „Żegnam" – napisał na koniec.



↑ Poczta Główna na widokówce, nakładem E.H., Kraków 1905–1920. Polona, domena publiczna

Przepłakałam sześć nocy. Siódmego dnia po sumie matka wzięła mnie na bok i zapytała, czemu mam takie czerwone oczy.

Tej nocy matka długo rozmawiała z ojcem, który zdenerwowany chodził po salonie i palił papierosy. Mama starała się go uspokoić. Potem przyszła do nas ciotka i wyszła dopiero po północy.

W poniedziałek rano ojciec odwiózł mnie zaprzęgiem na dworzec, wsadził w pociąg do Krakowa i zanim odjechałam, przez okno powiedział, że mam się nie pokazywać w domu. To były jego jedyne tego dnia i ostatnie słowa, jakie usłyszałam.

Pojechałam do dalszych krewnych na służbę z zamieszkaniem. Adres dostałam od ciotki, która u nich mieszkała kilka lat jako sierota po powstańcu. Ciotka nie najlepiej wspominała pobyt w Krakowie.

– Żeby mieszkać u krewnych, trzeba mieć dużo siły – powiedziała, po czym napisała do nich list z rekomendacją, zakleiła kopertę i podała adres.

Wysiadłam w Krakowie na dworcu. Wszyscy podróżni szli w stronę Rynku, więc i ja tam poszłam. Minęłam Bramę Floriańską i skierowałam się prosto na dwie wieże kościoła, który stał jakoś tak krzywo, jakby bokiem do innych kamienic. U nas by tak kościoła nie postawili, ksiądz proboszcz by do tego nie dopuścił – pomyślałam i zatęskniłam za Wadowicami.

Dopytałam dobrych ludzi, którędy na ulicę Starowiślną, ci wskazali kierunek i tak trafiłam do krewnych.

Ich mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Prowadziły doń drewniane schody, w oknach na klatce schodowej witraże, mosiężny dzwonek przy drzwiach. Otworzyła pokojówka.

Dygnęłam, jak mnie nauczono w domu, przedstawiłam się, wręczyłam list od ciotki i zapytałam, czy mogę wejść. Dziewczyna zamknęła mi drzwi przed nosem, ale zanim zdążyłam odejść, ponownie je otworzyła i kazała wejść do holu. Pan domu w kamizelce z guzikami zmierzył mnie wzrokiem.

– Jak się kobiet nie pilnuje, to się zaczynają lenić – powiedział i dodał: – Jestem twoim wujem i zamierzam cię przypilnować we wszystkim. – Po czym wskazał mi drzwi do saloniku, gdzie pani domu pilnowała korepetytorki, która odpytywała ich córkę z niemieckich słówek.



– Matylda pisze, że jesteś córką Walerego, że pochodzisz z dobrego domu i jesteś wyedukowana. Co umiesz? – odezwała się do mnie żona wuja.

– Znam niemiecki. – Dygnęłam.

– A umiesz cerować? Palić w piecu? Prasować? – zapytała. Potwierdziłam. W domu się nie przelewało, nie mieliśmy służby, wszystko trzeba było samemu robić.

I tak zamieszkałam w pokoju przy rodzinie. Nie wolno mi było korzystać z wygódki na piętrze, tylko z drewnianego wychodka na podwórzu, ale nie narzekałam. Bałam się tylko, że jak zacznę tyć, to się wyda. Jednak pani domu jakby się tym nie przejmowała. Patrzyła na mnie niechętnie, ale nic nie mówiła.

Do moich obowiązków należało codziennie rano przynieść węgiel, zapalić w piecu, zrobić zakupy. Po powrocie miałam wyszorować schody, dopiero wtedy zabierałam się za pranie i prasowanie.

Naprzeciwko kamienicy, w której mieszkałam, była Poczta Główna. Widziałam ją codziennie z okna w moim pokoju. Jaki to był wspaniały budynek! Ze Starowiślnej widać było tylko fragment budynku z okazałą wieżą przykrytą kopułą, u zbiegu ulic Wielopole i Kolejowej. Budowla coś mi przypominała, ale nie mogłam sobie przypomnieć co.

↑ Poczta Główna na widokówce, Wydawnictwo Salonu Malarzy Polskich, Kraków 1900. Polona, domena publiczna



Kiedy wstawałam rano i odsuwałam zasłonkę w oknie, zegar wskazywał godzinę szóstą. Patrząc w dół na ulicę, widziałam, jak poczmistrze i poczmistrzynie wchodzą bocznym wejściem do budynku. O ósmej stamtąd ruszały pojazdy poczty konnej. Jedne wozy przywoziły listy z urzędu pocztowego z dworca, inne wyjeżdżały, by wieźć korespondencję dalej w świat.

Pod wieczór młode kobiety, pewnie telegrafistki, kończyły pracę.

– Co tak, Franiu, patrzysz przez okno? – zapytała pewnego razu pani domu, wszedłszy znienacka do mojego pokoju.

– A nic, nic – zmieszałam się. – Ta poczta to monumentalny gmach. Taki… wiedeński.

Pani spojrzała na mnie poważnie.

– Interesuje cię architektura wiedeńska? – zapytała.

Czy mnie interesuje? – pomyślałam. Przecież całe moje nieszczęście przez to, że czytałam o Wiedniu, o tych budynkach i sztuce. I jeszcze ta pocztówka!

– Troszkę – powiedziałam i dygnęłam.

– Naszą pocztę zaprojektował sam Setz, ale przyjaciel mego męża, Tadeusz Stryjeński ze świętej pamięci Karolem Knausem ją wybudowali. Państwo Stryjeńscy będą u nas w czwartek na obiedzie.

↑ Plac pod budowę poczty, widoczne dorożki zakładu oczyszczania miasta, fot. I. Krieger, ok. 1890, za: *Album fotografii dawnego Krakowa z atelier Ignacego Kriegera*, Kraków 1989

Skinęłam głową i nic nie powiedziałam, bo co miałam powiedzieć. Więcej ziemniaków trzeba będzie obrać. Brzuch mnie trochę bolał, bo się tego dnia nadźwigałam. Przyjdą państwo Stryjeńscy i pewnie zauważą, że…

W nocy nie mogłam spać. A co będzie, jak wreszcie się wyda? Rano przejrzałam się w lustrze. Pod sukienką nie było jeszcze nic widać. Mocniej zawiązałam fartuch na brzuchu, zacisnęłam zęby i zeszłam do piwnicy.

Cały dzień byłam zajęta, po południu przyszło towarzystwo, panowie rozmawiali przy obiedzie o nowych projektach pana Stryjeńskiego, podczas kawy zeszło na pocztę, którą było widać z okien. Pan Stryjeński wspominał, że do pracy przy telegrafie potrzebne są panny umiejące pisać i czytać.

– Po co pannom pisać i czytać? Jak która ładna, to za mąż niech wyjdzie, panną być przestanie i przy telegrafie nie będzie musiała pracować. Czy to pannom potrzebne czytanie? – zażartował wuj. Towarzystwo się roześmiało, a ja pochwyciłam wzrok pani Stryjeńskiej i ze wstydu spuściłam oczy.

Tego dnia poszłam późno spać. Nie miałam nawet siły czytać.

Rano zobaczyłam plamkę krwi na prześcieradle. Zakryłam ją kapą i poszłam na strych zebrać pranie. Postanowiłam, że poproszę o wychodne w sobotę i się tym zajmę, ale do soboty nie dotrwałam. Pamiętam, że postawiłam kosz z bielizną na podłodze w przedpokoju i wtedy chyba zemdlałam. Ocknęłam się dopiero w szpitalu.

– Gdzie jestem? – zapytałam przechodzącą obok siostrę w czepku.

– W dobrych rękach. Doktor Jordan właśnie ma obchód – powiedziała i rzeczywiście, w tym momencie w drzwiach wieloosobowej sali pojawił się starszy brodaty mężczyzna w asyście młodych lekarzy.

– Niestety, już po wszystkim – powiedział. – Straciła pani dużo krwi. Teraz powinna pani jak najwięcej odpoczywać, my powiadomimy męża.

Odwróciłam głowę do ściany.

– Aha – rzekł krótko doktor i więcej do sprawy nie wracał.

Następnego dnia zostałam wypisana. Założyłam ubranie wyprane w szpitalnej pralni i poszłam na Starowiślną.

Drzwi otworzyła mi pokojówka i szybko je przede mną zamknęła. Po chwili na klatce schodowej stanęła żona mojego wuja.

– Niech Frania wejdzie po swoje rzeczy – powiedziała szeptem. – Frania zostać u nas dłużej nie może. My mamy córkę i musimy ją chronić przed zgorszeniem, sama to chyba Frania rozumie.

Rozumiałam.

Zabrałam swoje rzeczy. Od wuja dostałam dziesięć koron. Wzięłam te pieniądze i wyszłam.

Zapadał wczesny jesienny zmierzch. Mokre liście kasztanowców gorzko pachniały. Nagie, czarne gałęzie drzew poruszały się groźnie na wietrze.

Stałam na Plantach z pustą walizką, w ubraniu ze szpitala, ściskając dziesięć koron w garści. Z budynku poczty właśnie wychodziły telegrafistki. Szły zmęczone, ciężkim krokiem, a ja stałam i nagle, kiedy mnie mijały, wybuchnęłam płaczem. Nie wiem, czemu się tak rozpłakałam. Czy to przez tego mężczyznę, czy nad dolą kobiety, którą można z domu wyrzucić jak zużyte prześcieradło, na którym widać ślady krwi? Byłam kobietą bez domu i pracy. Byłam nikim.

Usiadłam na ławce i szlochałam.

Jedna z telegrafistek zatrzymała się i odwróciła w moją stronę. Miała ciemne oczy i orli nos, czarne włosy uczesane z przedziałkiem. Podeszła do mnie i spojrzała przenikliwie. Pod wpływem tego spojrzenia poczułam się jeszcze bardziej zagubiona.

– Płaczesz? – zapytała, choć przecież było widać. Nic nie odpowiedziałam.

Usiadła obok mnie. Objęła ramieniem.

– Nie płacz, dziewczyno. Nie jesteś sama.

Nic o mnie nie wiedziała, a powiedziała, że nie jestem sama. I mówiła dalej, że takich jak ja jest więcej, kobiet, którym jest ciężko, które mogą liczyć tylko na siebie. Kobiet, które podjęły decyzję, że chcą być samodzielne. Odważnych kobiet, które wiedzą, że mogą pracować i ich praca jest ważna, że mogą służyć swoją pracą sobie i innym. Kobiet, które się nie poddają.

– Wychowanie i przesądy zrobiły z nas lalki dbające tylko o błahostki. Zrzućmy te powierzchowne łachmany. Każda z nas jest ważna i potrzebna innym. Ty też – kontynuowała.

→ Sala telegrafów w budynku c.k. Poczty i Telegrafu w Krakowie, w głębi widoczne telegrafistki przy pracy. ANK

Podniosłam na nią wzrok, wierzchem dłoni otarłam łzy.

– Władysława – podała mi dłoń. – Dla przyjaciół Władzia Habichtówna – dodała.

– Frania – przedstawiłam się.

– Masz gdzie mieszkać? – zapytała. Pokręciłam głową. – Heniu – zawołała jedną z telegrafistek. – Heniu, twój problem sam się rozwiązał.

Okazało się, że Henia akurat szukała lokatorki do pokoju przy rodzinie. Dziesięć koron wystarczyło mi na tydzień zamieszkania z jedzeniem. Musiałam szybko znaleźć zatrudnienie. Od Habichtówny dowiedziałam się, jak dostać pracę manipulantki na Poczcie Głównej, we wszystkim innym pomogły mi koleżanki ze Stowarzyszenia Urzędniczek Pocztowych Galicyjskich. Obiecałam, że jak tylko zostanę pracownicą poczty, natychmiast się do nich zapiszę.

I tak późną jesienią 1906 roku po raz pierwszy przekroczyłam próg Poczty Głównej jako c.k. manipulantka pocztowa. Pod stopami miałam dębowe parkiety, nad głową wisiały lampy. Szłam szerokimi schodami do sali telegrafu, rozglądając się wokoło. Wszystko mi się tu podobało.



C.k. Urząd Pocztowy w Krakowie, pocztówka

Poczta Główna w Krakowie po przebudowie według projektu Fryderyka Tadaniera, 1931. NAC, domena publiczna

Długie drewniane stoły z toczonymi nogami, gięte krzesła. Na ścianach portrety księcia Józefa i Sissi. Och, Sissi. Uwielbiana przez wszystkich, biedna Sissi – pomyślałam i wzrok mi uciekł za okno. Po drugiej stronie stała kamienica wuja. Pokojówka akurat strzepywała na ulicę obrus. Zawsze tak robiła. Na głowy przechodniów spadały okruszki, resztki ze śniadania. Nagle zrobiło mi się smutno.

I to był chyba ostatni raz, kiedy wyglądałam przez okno w sali telegrafu.

Potem dostałam uniform i rozpoczęłam dwunastogodzinny dzień pracy. Ledwie nadążałam, tak szybko trzeba było wszystko robić. Kiedy wyszłam do wygódki, myślałam, że zemdleję, ale nie mogłam zemdleć, bo cały czas trzeba było odbierać sygnały, wysyłać depesze i tak w kółko. Gdzieś tam w Wiedniu, Pradze, Warszawie czekali ludzie, który mieli ważne sprawy, pilne interesy. Ani chwili wytchnienia.

Zaczynałam o ósmej rano, a o ósmej wieczorem kończyłam. Teraz, w listopadzie, była to już całkowita noc. Zdarzały się też dni, kiedy pracownice spędzały w budynku poczty i telegrafu nawet po szesnaście godzin. Nie były one dodatkowo płatne. Nasza pensja wystarczała na pokój i skromne jedzenie. Pod koniec tygodnia każdej z nas brakowało pieniędzy. Kiedy po pracy wychodziłyśmy z budynku poczty, było już ciemno. Czułam się tak zmęczona, że ledwie docierałam do pokoju, który dzieliłam z Henią.

Kiedy wyjechała do domu na pogrzeb ojca, byłam sama. Położyłam się w ubraniu na łóżku i zasnęłam. Obudziło mnie szarpanie za ramię i wyrzuty gospodyni, która weszła do mojego pokoju i teraz podniesionym głosem zwracała mi uwagę, że leżąc w ubraniu, niszczę pościel i kto za to zapłaci. Przeprosiłam i grzecznie przebrałam się w koszulę nocną. Kiedy się kładłam, na wszelki wypadek przekręciłam klucz w drzwiach.

Następnego dnia wstałam zmęczona, nie zdążyłam zjeść śniadania, wypiłam tylko trochę mleka i pobiegłam do pracy. Spóźniłam się cztery minuty. Dostałam ostrą reprymendę od kierownika zmiany, szybko zajęłam miejsce obok innych kobiet przy telegrafie. Kiedy o ósmej wieczorem chciałam wyjść razem z koleżankami, kierownik zatrzymał mnie i kazał zostać cztery

minuty dłużej. Wracałam więc sama ciemnymi, pustymi Plantami. Bałam się. Potwornie się bałam. Po powrocie weszłam do kuchni, żeby sobie zrobić herbatę, ale gospodyni nie pozwoliła mi skorzystać z gazu.

– To wszystko kosztuje, a kto za to zapłaci? Kobiecie nie wypada tak samej łazić po mieście – dodała. Chciało mi się płakać.

Pierwszego grudnia gospodyni czekała na mnie i na Henię w przedpokoju. Zatrzymała nas w drzwiach i powiedziała, że we dwie musimy więcej płacić, bo zużywamy wszystkiego za dużo. Henia nie chciała się na to zgodzić, ale ja pomyślałam, że mogłabym zrezygnować z kolacji i wtedy by mi wystarczyło i na pokój, i na życie. Gdzie teraz, w grudniu szukać innego lokum? Powiedziałam to Heni, ale kiedy to usłyszała, była tak zła, że aż na mnie nakrzyczała.

– Czyś ty zgłupiała, dziewczyno? Przecież czysta chciwość przemawia przez tę kobietę, która by z ciebie ostatnią koszulę zdarła, gdyby mogła. Co ją więcej kosztuje? Zimny pokój i miska wody w sobotę? Przecież to rozbój w biały dzień. Harujesz po dwanaście, a czasem i więcej godzin na dobę i żadnych urlopów. O dzień wolny z powodu śmierci ojca musisz prosić dwa razy, do tego zarabiasz dziesięć koron tygodniowo, a ona chce dwa razy po osiem koron za tę norę! To w ogóle nie ma sensu.

Musiałam Heni przyznać rację. Henryka była naprawdę bardzo odważną kobietą i udzielała się na wszystkich spotkaniach Stowarzyszenia Pocztowych Urzędniczek Galicyjskich. We wszystkim popierała też Władzię Habichtównę, która mówiła, że należy się opodatkować i z myślą o przyszłych pokoleniach Polek wspólnym wysiłkiem starać o dom dla kobiet pracujących. Tymczasem, chociaż wszystkie członkinie uznały, że szesnaście koron za pokój na tydzień to zdzierstwo, nie miałyśmy z Henią możliwości znaleźć w grudniu innego pokoju i musiałyśmy przystać na te nieludzkie warunki. Dopiero wiosną jedna z koleżanek oznajmiła, że wychodzi za mąż i zwalnia pokój niedaleko parku dra Jordana. W taki oto sposób znalazłyśmy miejsce tańsze i lepsze.

Zaraz potem cały Kraków obiegła wieść o śmierci doktora. Przypomniałam sobie wydarzenia sprzed roku, kiedy doktor Jordan był dla mnie taki wyrozumiały, i ścisnęło mi się serce.



Ilu jest takich jak on? Nic dziwnego, że na miejsce wiecznego spoczynku odprowadzały go tłumy krakowian. Z daleka zobaczyłam wuja z żoną obok Stryjeńskich w czarnych kapeluszach. Ukłoniłam im się, ale chyba mnie nie zauważyli. Dziewczynki i chłopcy, wychowanice i wychowankowie doktora Jordana, nieśli proporce i flagi. Patrzyłam na te dzieci i chciało mi się płakać. Obok mnie szła Jadwinia z obsługi weksli, objęła mnie mocno i poklepała po plecach.

– Doktor Jordan i dziecko, i kobietę traktował jak człowieka – powiedziała szeptem.

Wtedy już na dobre rozpłakałam się rzewnymi łzami.

– Cóż my jesteśmy winne, że nie mamy swoich praw i przywilejów? – zapytałam, wycierając nos. Dziewczyny z poczty tylko pokiwały głowami.

Gdybym jednak powiedziała, że praca c.k. manipulantki i telegrafistki poczty i telegrafu była całkowicie pozbawiona przyjemności, tobym skłamała.

Na piętrze działał klub pocztowca, czyli Klub c.k. Urzędników Poczty i Telegrafu w Krakowie. Można tam było w miłym towarzystwie wypić kawę i przeczytać wyłożoną na stoliku aktualną prasę. Odbywały się wieczorki, potańcówki, działał teatr amatorski. Na wszystkich próbach i spotkaniach był obecny gospodarz klubu, bardzo miły człowiek.

Już na pierwszym spotkaniu tanecznym okazało się, że tańczę najlepiej ze wszystkich, i zostałam okrzyknięta królową walca. Jak cudownie było wirować na scenie przy dźwiękach muzyki! Czułam się, jakbym była w Wiedniu, a nawet lepiej.

↑ Przedsionek w budynku c.k. Poczty i Telegrafu w Krakowie z widocznymi przy drzwiach popiersiami cesarza Franciszka Józefa i jego żony Elżbiety. ANK



Od tej pory stale chodziłam do klubu, żeby tańczyć. Poza tym regularnie bywałam na zebraniach Stowarzyszenia. Założyłyśmy Zawodowy Związek Galicyjskich Urzędniczek Pocztowych. Miesięczna składka wynosiła dwadzieścia halerzy, czyli tyle co litr mleka. Ja kupowałam mleko na Kleparzu za szesnaście halerzy, zaoszczędzone pieniądze mogłam przeznaczyć na związek. Wszystkie pieniądze szły na fundusz domu dla urzędniczek pocztowych, tak to sobie wymyśliłyśmy i tak miało być.

Henia wpadła na pomysł, że można w naszym klubie robić odczyty i spotkania dla publiczności, a zebrane sumy zasilą fundusz. Myśmy trochę w to powątpiewały, ale Henia jak to Henia, niczym się nie przejmowała i natychmiast przystąpiła do pracy. W środę po południu cała sala klubowa wypełniła się ludźmi. Kwota, która się wtedy pojawiła w naszej skarbonce, była imponująca. Posypały się kolejne pomysły. Ja zaproponowałam szybki kurs walca i, o dziwo, znaleźli się chętni. Raz w tygodniu zaczęli na naukę walca przychodzić krakowianie obojga płci, a ja pokazywałam im kroki, figury i zwroty.

Na poczcie zachodziły kolejne zmiany. Pojawiła się centrala telefoniczna na 3600 numerów. Teraz już chyba w każdym mieszkaniu w Krakowie był aparat telefoniczny! Numery były nawet czterocyfrowe!

W czerwcu nasza grupa taneczna postanowiła zrobić pokaz walca wiedeńskiego. Tego wieczoru gospodarz klubu włączył muzykę i cała sala zawirowała w tańcu. Bardzo to pięknie wyglądało. Mój Boże, jaka byłam wtedy szczęśliwa!

↑ Sala operacyjna w budynku c.k. Poczty i Telegrafu w Krakowie. ANK

Wreszcie udało nam się zebrać 10 tysięcy koron i w 1913 roku dziewczyny ze związku zwróciły się do władz miasta z prośbą o zgodę na wykupienie parceli budowlanej przy ulicy Sołtyka. Dokładnie opisały zamierzenie budowlane i cel przedsięwzięcia i dostały tę parcelę po znacznie obniżonej cenie. Zapłaciły za nią i jeszcze im zostały 2 tysiące koron. Tak się przy tym szczęśliwie złożyło, że z okazji czterdziestopięciolecia rządów cesarza Franciszka Józefa utworzono specjalny jubileuszowy fundusz budowlany przeznaczony dla towarzystw budowlanych. Koleżanki błyskawicznie napisały statut, przekształciły stowarzyszenie w towarzystwo budowlane i pojechały do Wiednia. Kiedy wróciły, Władzia Habichtówna opowiadała, jak rozmawiała z ministrem i jak go przekonała, że dom urzędniczek pocztowych jest w Krakowie niezbędnie potrzebny, skoro pracować na c.k. poczcie i telegrafie mogą jedynie panie niezamężne. No i mamy tę pożyczkę w pełnej wysokości 120 tysięcy koron. Niebagatelna kwota, ale najlepsze było jeszcze przed nami, bo Kasa Oszczędności Miasta Krakowa przyznała nam dodatkowo 75 tysięcy koron. Jeszcze w tym samym roku przystąpiono do budowy.

Trudno w to uwierzyć, ale już w następnym roku razem z Henią i Jadwinią przeniosłyśmy się do domu urzędniczek pocztowych przy Sołtyka. Dodać należy, że w domu tym miały zamieszkanie nie tylko manipulantki i telegrafistki, ale w ogóle wszelkie urzędniczki, emerytki oraz wdowy po urzędnikach. Te zajmowały niższe piętra.

Wreszcie miałam swój kąt, dostałyśmy podwyżkę, za dom płaciłam nie więcej niż dwadzieścia koron miesięcznie, miałam łazienkę z bieżącą wodą na piętrze i koleżanki po sąsiedzku. Co tydzień tańczyłam w naszym klubie.

Tego, jak się czuje człowiek, który wreszcie ma swój dom, a w nim własny pokój, nie zrozumie nikt, kto nie musiał mieszkać kątem u obcych ludzi, wysłuchiwać awantur i tłumaczyć się z każdej kropli wody. Tego nikt nie zrozumie, kto nie doświadczył doli kobiety wyrzuconej z domu. Doli kobiet, które nie mogą stanowić o sobie, uczyć się ani studiować, kobiet bez praw do godziwego wynagrodzenia, do leczenia, do urlopu. Kobiet, które nie mogą wybierać ani kandydować do władz krajowych.



Rok 1914. To był najszczęśliwszy rok w całym moim życiu. Potem…

A potem wybuchła straszna, straszna wojna zwana Wielką. W szpitalach polowych opatrywałyśmy rany legionistom. Potworne rany. Takie, o których nie da się spokojnie opowiadać. Poplamione krwią prześcieradła moczyły się w miskach i wisiały na sznurach. Darłyśmy je na bandaże, ale wciąż ich było za mało. Zakrwawione prześcieradła. Rdzawe plamy. Nie mogłam znieść tego widoku. Błogosławiłam fakt, że nie mam syna, który by teraz musiał walczyć na wojnie.

W dzień pracowałyśmy na poczcie, nieraz i po szesnaście, siedemnaście godzin, bo tam, gdzie jest wojna i ranni, kobiety muszą pomagać ludziom, a od naszej pracy, od jej szybkości zależało życie. Przyjmowałyśmy wieści z frontów i przekazywałyśmy je dalej, ustalałyśmy rozmieszczenie rannych w szpitalach i kierowałyśmy najbardziej potrzebujących tam, gdzie mogli otrzymać najlepszą pomoc. Ta wojna to było niewyobrażalne okrucieństwo.

A potem wojna się skończyła, świętowałyśmy odzyskanie niepodległości, ze ścian poczty zniknęły portrety Franciszka Józefa i Sissi, za to pojawił się polski orzeł. Ale zaraz zaczął się kryzys i ludzie wyszli na ulice i znowu trzeba było walczyć.

↑ Uroczystość otwarcia i poświęcenia Domu Urzędniczek Pocztowych przy ulicy Syrokomli 19 w Krakowie. Druga od lewej Władysława Habichtówna, w prawym rogu Alfred Spett, dyrektor Poczty, 1934. NAC

Pod koniec 1923 roku przeciwko nieludzkim warunkom pracy zaprotestowali kolejarze. Myśleli, że jak skończą się rządy zaborców, wszyscy poczują się u siebie, ale poczuli się oszukani. Nic im innego nie pozostało, jak tylko strajk. Do nich szybko dołączyłyśmy my, telegrafistki, telefonistki, urzędnicy i urzędniczki pocztowe, robotnicy. Straszyli, że nas zwolnią. Straszyli, że zostaniemy potraktowani jak dezerterzy. Kolejarzy straszyli sądami doraźnymi i rozstrzelaniem. Myśmy na to odpowiedzieli strajkiem generalnym, który został proklamowany w Krakowie 3 listopada i objął niemal wszystkie branże. Stanęły pociągi i tramwaje. Nie ukazywały się dzienniki, zamilkły telefony. Zamknięto sklepy. W mieście zgasły światła. Wydano zakaz zgromadzeń publicznych, ale myśmy się nie bali.

Nie mogłam w to uwierzyć – powiedziała Habichtówna – że nasz rząd wystawia polską policję przeciwko polskim robotnikom. To, co się działo, to było piekło. Po obu stronach ginęli



ludzie. Walki ustały, dopiero gdy otrzymaliśmy zapewnienie, że rząd anuluje zarządzenie o militaryzacji kolei i sądach doraźnych oraz uwzględni żądania ekonomiczne robotników.

Po tym wszystkim wróciliśmy do pracy, ale dawna radość i entuzjazm zniknęły jak Monarchia Austro-Węgierska z jej splendorem i przepychem.

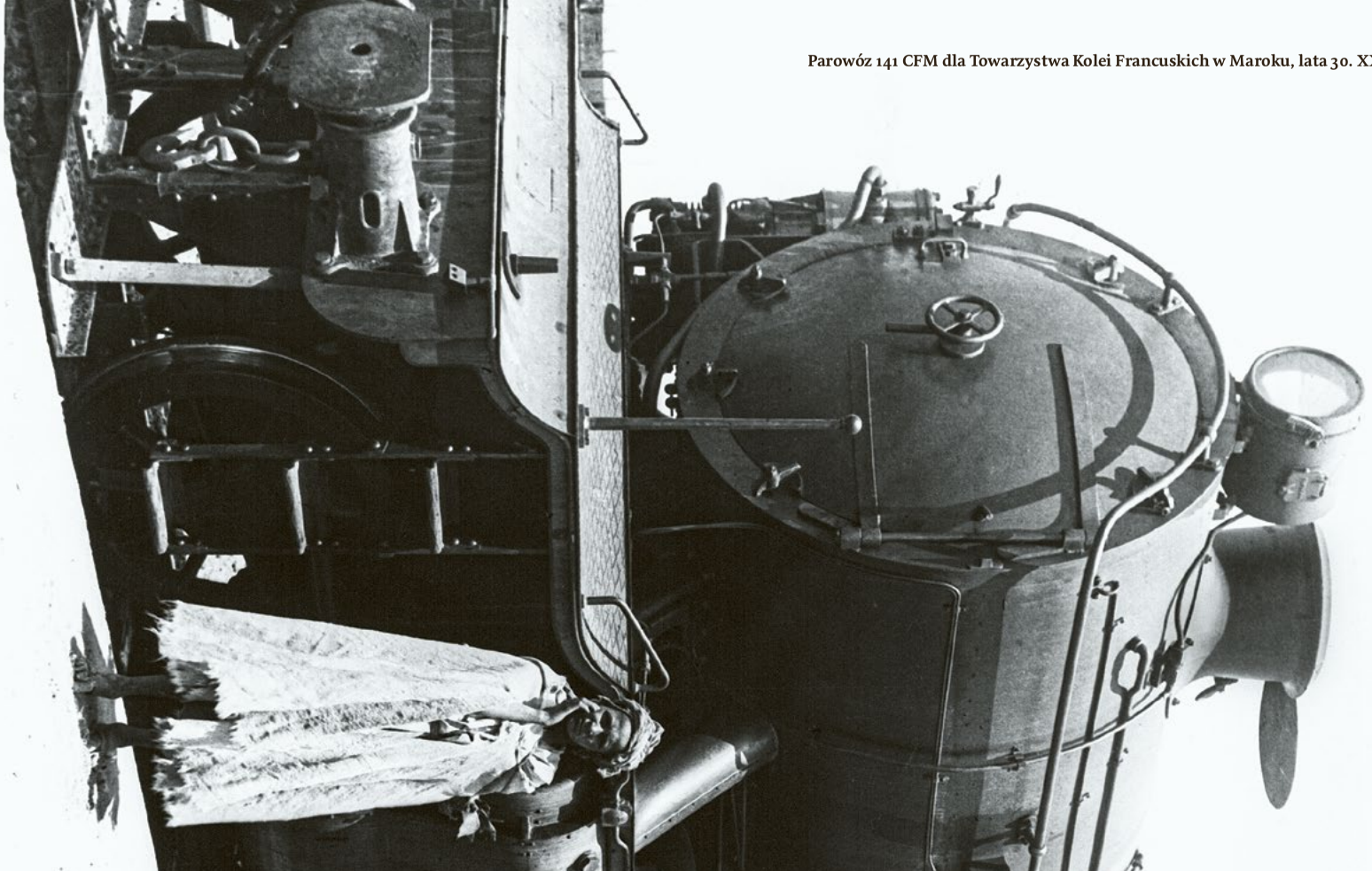
Ach, Wiedeń, Wiedeń, Wiedeń, jak pięknie się żyje w Wiedniu. Panowie we frakach, panie w jedwabnych sukniach! Oni nie cierpią, nie krwawią, nie głodują. Nie pracują i nie mają trosk. Tylko tańczą. Wirują w tańcu jak figurki z porcelany. Cesarz Józef trzyma Sissi w objęciach. W ruchu. W tańcu.

Nie, to tylko puste wyobrażenia byłej uczennicy Trywialnej Szkoły Panieńskiej w Wadowicach. Prawdziwe życie wygląda inaczej. Zupełnie inaczej wygląda świat.

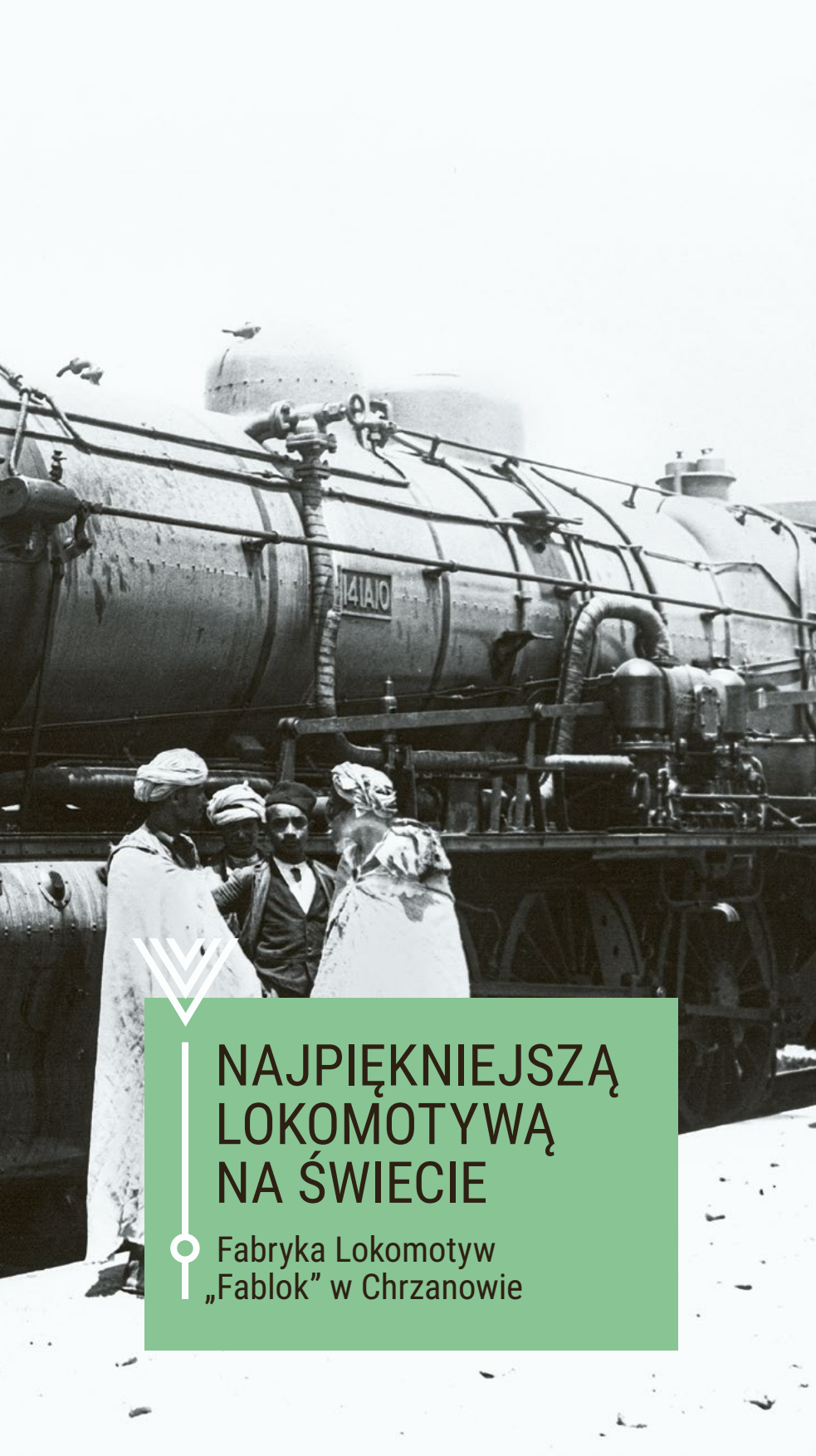
Na poczcie przepracowałam jeszcze wiele lat, ale walca nie zatańczyłam już nigdy.



Pocztówka-fotomontaż z Pocztą Główną w tle, Praga 1904. Ze zbiorów K. Jakubowskiego, domena publiczna

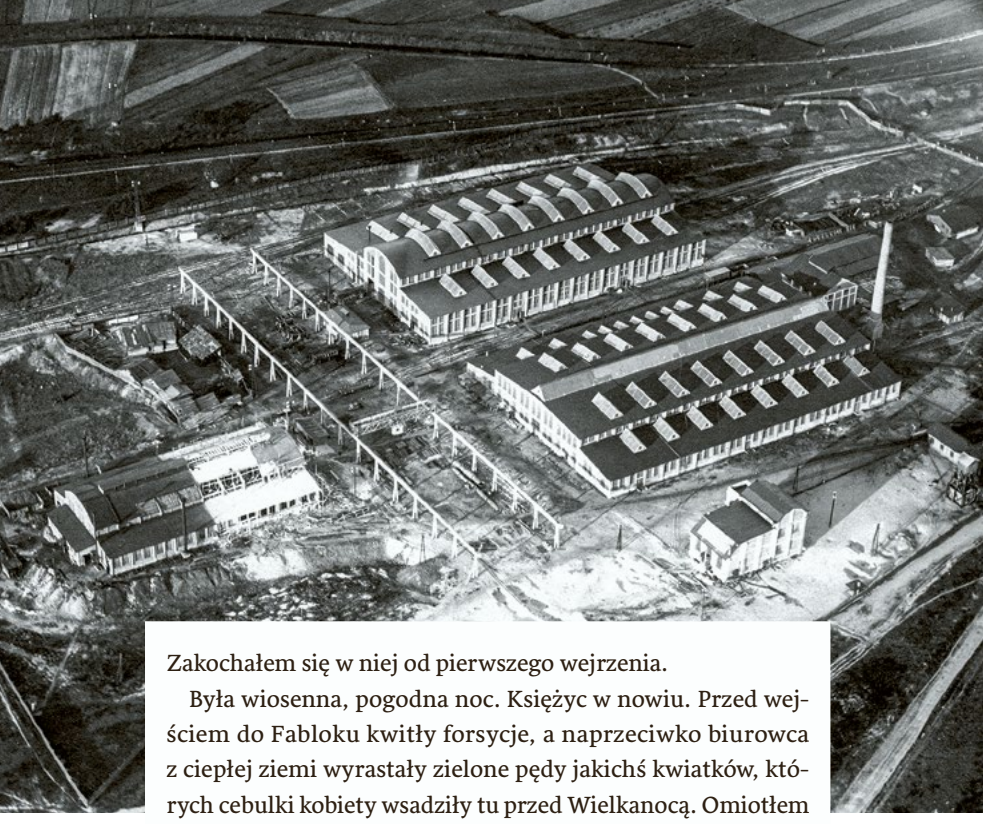


Parowóz 141 CFM dla Towarzystwa Kolei Francuskich w Maroku, lata 30. XX w. CAZCh



NAJPIĘKNIEJSZĄ LOKOMOTYWĄ NA ŚWIECIE

Fabryka Lokomotyw „Fablok” w Chrzanowie



Zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia.

Była wiosenna, pogodna noc. Księżyc w nowiu. Przed wejściem do Fabloku kwitły forsycje, a naprzeciwko biurowca z ciepłej ziemi wyrastały zielone pędy jakichś kwiatków, których cebulki kobiety wsadziły tu przed Wielkanocą. Omiotłem skrawek zieleni światłem latarki i obszedłem budynek dookoła. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że w oknie budynku, który tymczasowo pełnił funkcję biurowca, pali się światło. Ktoś nie zgasił lampy.

Byłem już w ostatniej klasie i w soboty pomagałem ojcu na portierni. Mój tato był nocnym stróżem w Fabloku, od dwudziestej drugiej do szóstej rano co godzinę brał latarkę i obchodził warsztat mechaniczny i montażowy, kuźnię, kotłownię centralnego ogrzewania, magazyn główny, skład surowych materiałów, elektrownię, warsztat reparacyjny i garaż. Do jego obowiązków należało sprawdzanie, czy ktoś niepowołany nie kreci się wokół magazynów. Kiedy byłem młodszy, chodziłem razem z nim. Czułem się wtedy bardzo dorosły. Całe dzieciństwo spędziłem z tatą w Fabloku, znałem tu każdy kąt. Wszyscy pracownicy czochrali mi czuprynę i pytali, kiedy do nich przyjdę na praktyki.

Teraz byłem w klasie maturalnej i ojciec pozwalał mi samodzielnie obchodzić teren.

Fablok nocą wyglądał niesamowicie: cichy, pusty, tajemniczy. Za każdym budynkiem kładły się głębokie cienie. Zaglądałem

↑ Fablok z lotu ptaka, 1922–1931. NAC, domena publiczna



przez okna do środka, świeciłem latarką na wielkie stalowe koła, przekładnie i osie. Elementy lokomotyw w żółtym świetle latarki wyglądały jak wykonane ze szczerego złota. Ja jednak wiedziałem, że złoto jest za miękkie, że parowóz musi być wykonany z najlepszej stali i że wszystkie części, które są wypuszczane z produkcji, sprawdza się kilka razy pod każdym względem, bo najmniejszy błąd, wewnętrzne pęknięcie, niedoskonałość, uszczerbek może spowodować katastrofę kolejową i kosztować życie wielu ludzi. To mi wytłumaczył tato, kiedy jeszcze byłem mały i chodziłem z nim za rączkę, a on podsadzał mnie, żebym mógł wszystko sam zobaczyć. Nie mogłem się doczekać, kiedy wybudują biurowiec z prawdziwego zdarzenia, bo miała w nim być winda na dokumenty. Opowiadał mi o niej inżynier Baranowski, kierownik biura technicznego. Bardzo byłem jej ciekaw.

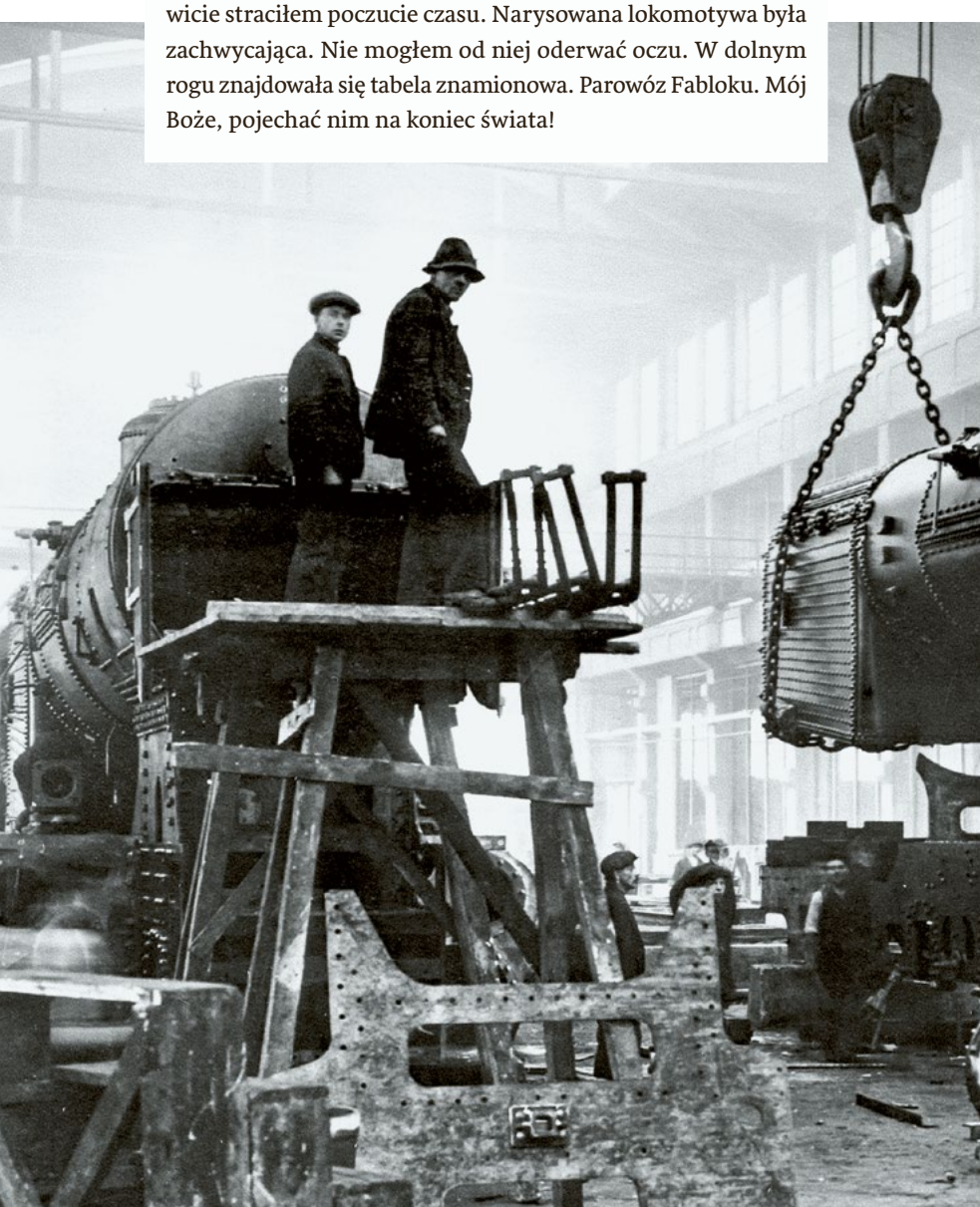
Inżynier Baranowski zaglądał czasem do mojego taty na portiernię, częstował go papierosami. Dla mnie miał karmelki. Brał mnie pod brodę i mówił: „Jak urośniesz, przyjdź do mnie do biura. Jeśli lubisz lokomotywy, pokażę ci, jak się je projektuje. Potrzebujemy takich bystrych chłopaczków jak ty". Tak mówił i się śmiał, a ja marzyłem, aby zostać projektantem, jak on.

Zza chmur wyjrzał żółty rąbek księżyca. W oknie nadal się świeciło, prostokątne światło odznaczało się na czarnej, świeżo przekopanej ziemi na klombie. Sięgnąłem więc po pęk kluczy spięty wielkim stalowym kółkiem, otworzyłem drzwi i wszedłem do budynku.

↑ Bocznica z gotowymi parowozami. W tle hala montażowa z umieszczoną datą budowy 1921, 1927–1931. NAC, domena publiczna

Wewnątrz było ciemno i cicho. Miękki dywan w długim korytarzu tłumił moje kroki. Przed jednym z gabinetów stały fotele i popielniczka. Rozglądałem się uważnie, aż dostrzegłem delikatną smugę światła wydobywającą się spod drzwi z tabliczką „Biuro konstrukcyjne". Nacisnąłem klamkę i wszedłem.

W pokoju był tylko ogromny stół przysunięty do wielkiego okna. Na nim leżał szeroki arkusz papieru. W zasadzie powinienem był tylko zgasić feralną lampę, cicho zamknąć za sobą drzwi i wrócić na portiernię. Ale podszedłem do stołu i spojrzałem na naszkicowany ołówkiem projekt. Stałem i patrzyłem, całkowicie straciłem poczucie czasu. Narysowana lokomotywa była zachwycająca. Nie mogłem od niej oderwać oczu. W dolnym rogu znajdowała się tabela znamionowa. Parowóz Fabloku. Mój Boże, pojechać nim na koniec świata!



Patrzyłem na potężne koła, osie, przekładnie, otwory wentylacyjne. Znałem wszystkie elementy lokomotywy, rozpoznawałem je na rysunku i potrafiłem nazwać, bo przecież wielokrotnie przysłuchiwałem się rozmowom na hali montażowej. Patrzyłem na rysunek i myślałem, że ta lokomotywa jest wyjątkowa, najpiękniejsza, jaką kiedykolwiek widziałem. Poniżej na tym samym arkuszu widniał rozrysowany układ hamulcowy. Każdy szczegół podpisany. I wtedy zrozumiałem, że to nie jest zwykła lokomotywa, która wytoczy się na tory i pociągnie za sobą wagony do Warszawy albo Trzebini – to jest obietnica podróży, przeczucie dalekich krajów. Wyciągnąłem przed siebie dłoń, lecz nie śmiałem splamić kartki dotykiem brudnych paluchów. Tylko stałem i patrzyłem. I zakochałem się w niej bez pamięci.



Montaż parowozów – opuszczanie kotła parowego na ostoję za pomocą dźwigu, 1922–1925. NAC, domena publiczna



– Co tak długo – zganił mnie tato, kiedy wróciłem do portierni.

– Ktoś nie zgasił światła w pokoju konstruktorów – powiedziałem.

– Pewnie Baranowski – odrzekł ojciec, gasząc papierosa. – Wychodził z pracy później niż zwykle. Mówił mi, że w maju ma do nas dojść nowy inżynier z Warszawy, Zembrzuski. Był dzisiaj na rozmowach. To pewnie dlatego.

„Pewnie tak" – pomyślałem.

Usiadłem na krześle obok ojca, ale przed oczami wciąż miałem sylwetkę najpiękniejszej lokomotywy na świecie. Czułem, że palą mnie policzki.

Rano wróciłem do domu. Mieszkaliśmy w jednym z wielorodzinnych robotniczych domów Kolonii Rospontowa. Tato pochodził spoza Chrzanowa i musiałby daleko dojeżdżać do pracy, dlatego dostaliśmy pracownicze mieszkanie z dużą, jasną kuchnią i umywalką w przedpokoju. Ubikacja była wspólna dla czterech mieszkań. Czasem w soboty chodziliśmy się kąpać do łaźni fabrycznej, w której były prysznice, a nawet wanny. Tego dnia była sobota kąpielowa, mama przygotowywała ręczniki i mydło. Rozbolała mnie głowa. Zrobiłem sobie śniadanie, ale nie byłem głodny. Chciałem, żeby ten tydzień skończył się jak najszybciej, żebym mógł ponownie stanąć przed pokojem inżyniera. Wiedziałem, że moja lokomotywa będzie mogła mieć jeszcze więcej szczegółów i detali, że może dorysują jej jakieś strzałki i wykresy, że może pokolorują jej koła, że ją udoskonalą i że od

↑ Fablokowski dom robotniczy, za: *Wydawnictwo Pamiątkowe Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce*, Kraków 1932. Polona, domena publiczna

teraz już codziennie będą ją dopracowywać, ulepszać. Oczyma wyobraźni widziałem czerwone i czarne elementy. Chciałem móc asystować przy jej wyłanianiu się. Chciałem być przy niej.

– Ej, czyś ty aby nie chory? – zaniepokoiła się mama i położyła mi chłodną dłoń na czole.

Jej dotyk przyniósł ulgę, aż mi się zakręciło w głowie i musiałem się przytrzymać krzesła, żeby nie upaść.

– Jezus Maria – szepnęła. – Kładź się do łóżka, trzeba po doktora – powiedziała cicho.

Zrozumiałem, że nie żartuje, i grzecznie usiadłem na łóżku. A potem zapadłem się w otchłań i chyba straciłem przytomność, bo kiedy ponownie otworzyłem oczy, w pokoju było ciemno, przez zaciągnięte zasłony nie przedostawał się ani jeden promień wiosennego słońca, pachniało gorzkim lekarstwem, a na krzesełku obok mojego łóżka siedział doktór Radecki i przyglądał mi się znad okularów. Twarz miał starą i pomarszczoną, a czoło ściągnięte.

– I jak się czujesz, mój chłopcze?

Już miałem uprzejmie odpowiedzieć, że dobrze, ale wstrząsnął mną zimny dreszcz i cały się w jednej chwili rozdygotałem. Zęby zaczęły mi szczękać i nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

– Zapalenie płuc – orzekł doktor i wlał mi coś ohydnego do ust.

Miałem czterdzieści jeden stopni gorączki, przez trzy dni trząsłem się jak galareta. Czwartego zacząłem się pocić i było mi na zmianę zimno i gorąco. Doktor przychodził codziennie i codziennie mówił, że to przesilenie. Piątego dnia przyszedł i zapytał mnie:

– A co to za lokomotywa, o której majaczyłeś przez sen?

Zawstydzony odwróciłem głowę do ściany.

Spędziłem w łóżku trzy tygodnie, dopiero potem mogłem wrócić do szkoły. Dowiedziałem się, że pani Morawska, żona dyrektora fabryki, co niedzielę dawała za mnie na mszę, żebym wyzdrowiał. Wyzdrowiałem, ale miałem poważne zaległości z matematyki i fizyki i obawiałem się, jak się okazało słusznie, czy zdam maturę.

Na Fabrycznej pachniały bzy, dzieciaki chodziły się pluskać nad Chechło. Chłopaki po lekcjach biegli na boisko albo do klubu sportowego, ja blady wlokłem się noga za nogą do domu.

Chciałem pomagać tacie na portierni, ale doktor Radecki kategorycznie mi tego zabronił. Twierdził, że jestem za słaby i taki wysiłek może się skończyć zapaścią.

Uczyłem się, ale prawdę mówiąc, zamiast myśleć o trygonometrii i obliczaniu prędkości jednostajnie przyspieszonej, w roztargnieniu rysowałem zapamiętane fragmenty parowozu. Przy takim podejściu nawet przyszłoroczna matura wyglądała kiepsko. Byłem załamany.

Tymczasem nadeszło lato, które postanowiłem spędzić z książkami.

W piątek wieczorem ubłagałem mamę, żeby pozwoliła mi pójść do Fabloku. Obiecałem, że wezmę książkę do fizyki i będę się tam uczył. I że wrócę przed północą.

Zaopatrzony w kanapki, podręcznik i zeszyt znalazłem się na portierni. Przed dziesiątą z biurowca wyszli inżynier Kazimierz Baranowski, kierownik biura technicznego, i młodziutki inżynier Kazimierz Zembrzuski, w maju przysłany do nas z Politechniki Warszawskiej. Inżynierowie zazwyczaj pracowali do szesnastej, nie dłużej, ale dzisiaj najwyraźniej mieli jakąś ważną naradę, zapewne w związku ze zleceniem udoskonalenia parowozów na eksport.

– Czego się uczysz, młody człowieku? – zagadnął mnie inżynier Baranowski, częstując mojego ojca papierosem. Zrobiło mi się wstyd, bo w otwartym zeszycie do fizyki na marginesach miałem swoje nieudolne rysunki parowozów.

– Matematyki i fizyki – westchnąłem, szybko zamykając zeszyt i wówczas odezwał się inżynier Zembrzuski, który całkiem poważnie zaproponował, żebym w poniedziałek w południe przyszedł do jego pokoju.

– Jeśli się sprawdzisz jako łącznik z modelarnią, podszkolę cię z tego – postukał palcem w mój podręcznik – tak, że maturę za rok zdasz śpiewająco.

– Inżynier ma niemałe doświadczenie, udzielał korepetycji w Warszawie. Prawda, panie kolego? – Kierownik poparł młodego inżyniera.

– Prawdę mówiąc, tak. I dawało mi to wiele satysfakcji. Uważam, że warto indywidualnie pracować z ambitnym człowiekiem – odrzekł inżynier Zembrzuski, patrząc na mnie uważnie.



– Lepszego nauczyciela nie mogłeś sobie, mój chłopcze, wymarzyć – dodał pan Baranowski. Ojciec nie miał już nic do powiedzenia.

I tak na całe lato trafiłem pod skrzydła inżyniera Zembrzuskiego i codziennie od ósmej do czternastej biegałem po Fabloku z różnymi pytaniami i informacjami z biura konstrukcyjnego. Byłem potrzebny inżynierowi, który po pierwsze lubił pracować sam, w skupieniu i nie chciał się rozpraszać przenoszeniem informacji i mniej ważnych dokumentów, a po drugie jeszcze nie wszystkich tu znał. Nadawałem się do tej roli znakomicie, o co tylko mnie inżynier poprosił, robiłem z łatwością. Natomiast po południu inżynier Zembrzuski zadawał mi tyle obliczeń do wykonania, że ledwie się z tym wyrabiałem do wieczora.

Zespół Zembrzuskiego opracowywał akurat projekt parowozu dla pociągów pośpiesznych. Chodziło o znalezienie odpowiedniego kształtu i napędu, który zapewniałby bezpieczne osiągnięcie dużej prędkości. Prawdziwym wyzwaniem dla zespołu inżynierów było obliczenie osprzętu koła z jego układem hamulcowym. W Fabloku pracowaliśmy nad projektem parowozu dla kolei bułgarskich. Latem 1930 roku zakład dostał zlecenie na produkcję dziesięciu takich lokomotyw, wszystkim bardzo zależało, żeby nasze rozwiązania były lepsze od niemieckich.

↑ Półrama parowozu bułgarskiego podczas cięcia, za: *Wydawnictwo Pamiątkowe Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce*, dz. cyt. Polona, domena publiczna

– Obliczam teraz siłę tarcia mechanizmu hamującego. Jeśli się pomylę, cała robota naszego biura pójdzie na marne – mówił do mnie, a ja czułem się częścią zespołu.

No, nie mógł się pomylić. A ja obok uczyłem się do matury. Inżynier sprawdzał po mnie każde zadanie i z uśmiechem oddawał mi kartki bez jednej poprawki.

– Widzisz, jak chcesz, to potrafisz – mówił i więcej to dla mnie znaczyło niż najlepsze oceny w szkole.

Pod okiem inżyniera matematyka i fizyka szły mi coraz lepiej.

– A jakie ty masz plany na przyszłość? – pewnego dnia zapytał mnie inżynier Zembrzuski.

– Chciałbym zdać maturę – wyjąkałem niepewnie.

– Ja się pytam poważnie. Maturę zdasz celująco, ale co dalej? Myślałeś o studiach w przyszłym roku? – zapytał.

Poczułem, jak rumieniec oblewa mi twarz. O studiach nie miałem co marzyć. Nie mogłem nawet prosić ojca o pieniądze na wyjazd do Warszawy. Zresztą, kto to widział, żeby chłopak z Chrzanowa, syn stróża z Fabloku pchał się do wielkiego świata! Co prawda w rodzinie taty krążyły legendy o niejakim Karolu z Płazy niedaleko Chrzanowa, który jako biedny sierota pracował gdzieś w warsztacie ślusarskim. A potem został wielkim architektem, postawił nawet najgłówniejszą pocztę w całym Krakowie, tak mi mówił tato. No, w każdym razie jemu się udało. Ale ja? Inżynier Zembrzuski pytał mnie, czy chciałbym studiować. Co miałem mu powiedzieć?

– Chyba… nie ma o czym mówić. – Słowa nie chciały mi przejść przez ściśnięte gardło.

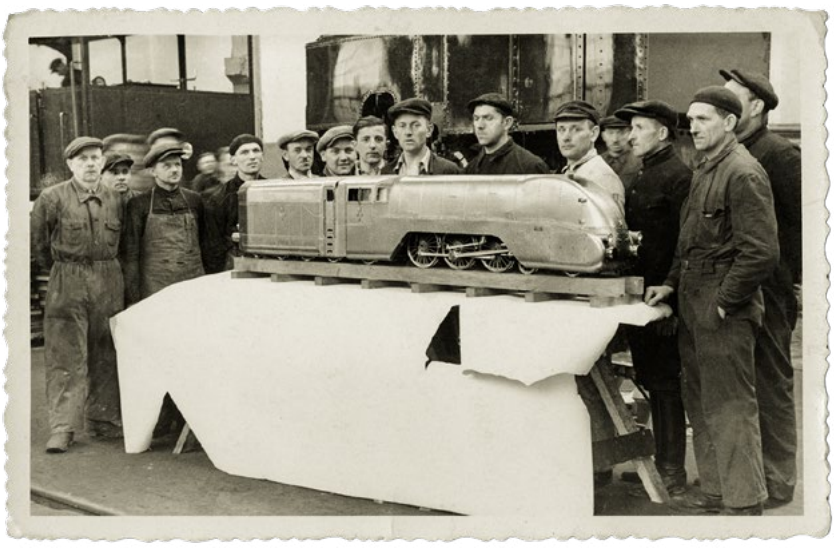
Zembrzuski spojrzał na mnie przenikliwie i powiedział:

– Przez ten rok mógłbyś praktykować u mnie.

Serce podskoczyło mi z radości. O takiej propozycji nawet nie marzyłem.

Pierwszego września 1930 roku z ministerstwa przyszło potwierdzenie, że lokomotywa o układzie osi 1-4-1, której pierwszy całościowy rysunek widziałem tamtej kwietniowej nocy, wchodzi do produkcji z przeznaczeniem na eksport do Maroka.

Po zdanej maturze zostałem oficjalnie przyjęty do zespołu inżyniera Kazimierza Zembrzuskiego. Wcześniej pomagałem mu tylko w zamian za korepetycje. Co prawda, do moich zadań,



jak poprzednio, należało przede wszystkim przenoszenie papierów i informacji do rąk właściwych pracowników Fabloku i nie było to nic poważnego, każdy mógłby to robić, ale ja mimo tego czułem się ważny. Na moich oczach powstawał pierwszy prawdziwy egzemplarz parowozu! Wkrótce byliśmy po prototypach i testach.

Niemal całą jesień i zimę spędziłem w kuźni, bo na tym etapie właśnie tam odbywała się zasadnicza część pracy i inżynier prosił o raporty. Dużo się działo! Widziałem, jak powstają koła, osie, ramy i kotły. Kierownikiem montażu lokomotyw i tenderów był majster Iwanek, bardzo dobry, doświadczony pracownik, jeden z pierwszych zatrudnionych w Fabloku. To on pokazał mi stosowany z powodzeniem przez inżyniera Marjana Symonowicza sposób pomiarów i kontroli montażu. Pamiętam zdziwienie Zembrzuskiego, kiedy odkrył, że do precyzyjnego mierzenia służą w Fabloku struny fortepianowe. Tak, majster Iwanek rozciągnął w poprzek długie struny i na nich odważnikami zaznaczał odległości każdego montowanego elementu. Było to rozwiązanie dokładne i tanie. Inżynier był zachwycony.

Mniej więcej w tym czasie, w związku z produkcją lokomotywy dla Maroka, czyli dla Towarzystwa Kolei Francuskich, do Chrzanowa przyjechała delegacja francuska z inżynierem Nininem na czele. Miał skontrolować odbierane parowozy. Podobno jemu też pomysł ze strunami bardzo przypadł do gustu.

↑ Pracownicy Fabloku przy modelu lokomotywy PM36-1 w otulinie aerodynamicznej, ok. 1937. CAZCh

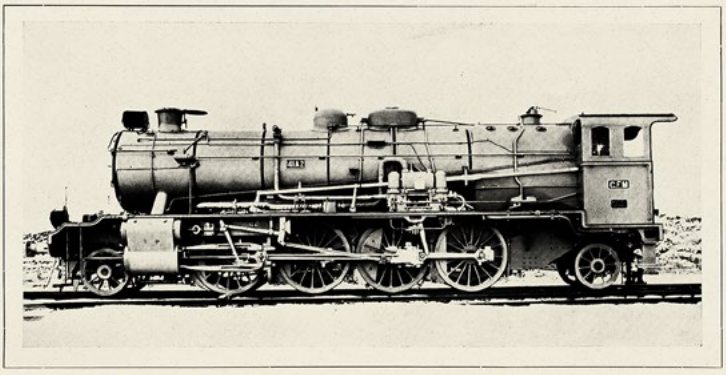


W tym samym czasie moja mama podjęła pracę w restauracji jedynego w Chrzanowie hotelu Michalika. Co prawda inżynierostwo mieszkali już wtedy przy Kościuszki, ale żona pana Zembrzuskiego, pani Jadwiga, zaprzyjaźniła się z moją mamą i stale zamawiała u niej obiady i ciasta. Tak minęły jesień i zima.

Wiosną wpadałem do warsztatu, żeby nie przegapić momentu, kiedy będą lakierowane koła. Bardzo mi zależało, żeby były czarno-czerwone. Latem byłem stałym gościem wydziału mechanicznego. Przyglądałem się, jak inżynier Zembrzuski kontroluje każdy element, który schodził z linii produkcyjnej, jak rozmawia z mechanikami, jak zadaje pytania i uważnie słucha odpowiedzi. W innych fabrykach raczej nie było praktykowane, żeby inżynierowie przychodzili do mechaników patrzeć, jak się wykonuje poszczególne podzespoły, ale w Fabloku zarówno inżynier Paczoski, konstruktor lokomotyw wąskotorowych, jak i Kazimierz Zembrzuski bywali tu przy wszystkich ważnych momentach powstawania pociągów.

Najważniejszym elementem było zawsze ważenie lokomotywy. Mogło się bowiem okazać, a podobno za granicą zdarzało się tak nader często, że ostateczna waga lokomotywy przekraczała założenia i trzeba było od nowa przeliczać nacisk na osie, a nierzadko nawet wprowadzać poprawki. Wszyscy czuliśmy więc zdenerwowanie, gdy nadszedł ten dzień. Nie muszę chyba mówić, jak byłem szczęśliwy, kiedy okazało się, że ostateczny rezultat różnił się od obliczeń konstrukcyjnych o mniej niż 2 procent. To był prawdziwy sukces.

↑ Warsztat mechaniczny, lata 30. XX w. (?) CAZCh



– No, spisałeś się, chłopcze – na koniec pochwalił mnie inżynier Zembrzuski i był to największy komplement, jaki w życiu usłyszałem.

Tak więc w lutym 1932 roku wszyscy wyszliśmy popatrzeć, jak halę montażową opuszcza pięćsetna lokomotywa wyprodukowana w Fabloku. Najpiękniejsza na świecie pięćsetka!

Potem nastąpiła jazda próbna, do której oczywiście nie zostałem dopuszczony. Bardzo mi było przykro z tego powodu. Siedziałem smutny w domu i grzebałem widelcem w talerzu, czego moja mama bardzo nie lubiła. Odkąd pracowała w hotelu u Michalika, przynosiła naprawdę dobre obiady. I zawsze znała najnowsze plotki z całego Chrzanowa.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że jeden inżynier od was z Fabloku chciał, żeby Zembrzuski uczył jego syna fizyki? – zwróciła się do taty, robiąc znaczącą pauzę. – No to pani Jadzia mi dzisiaj powiedziała, że jej mąż odmówił. Ten inżynier przestał się do nich odzywać, no, obraził się śmiertelnie. Podobno nawet nie chce grać w brydża z Zembrzuskim. Ale Jadzia mówiła, że Kazimierz zdania nie zmieni. „Ma chłopak ojca, który jest inżynierem, niech mu pomoże. Co innego pomagać komuś zdolnemu, ambitnemu! Takiemu, który dostrzega piękno w rysunku technicznym, potrafi się zachwycić projektem, który robi to z pasji. Ja za lenia pracował nie będę" – tak podobno powiedział. Awantura na cały Chrzanów – mówiła moja mama.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Zdolny? Ambitny? I co z tego! Pewne sprawy były poza moim zasięgiem. Księżyc świecił

↑ Lokomotywa o numerze fabrycznym 500 wyprodukowana dla Towarzystwa Kolei Francuskich w Maroku. CAZCh



przez okno, a mnie w uszach brzmiały słowa Zembrzuskiego: ja za lenia pracował nie będę. Postanowiłem jeszcze mocniej przyłożyć się do pracy. A było co robić w Fabloku!

Ostatnie parowozy dla Maroka właśnie schodziły z linii produkcyjnej i przyszedł czas, aby pożegnać delegację francuską. Inżynier Ninin otrzymał na pamiątkę złotą papierośnicę wykonaną w naszych zakładach. Były przemówienia i kwiaty, a moja mama upiekła tort. Wieczorem starsi wybrali się na piknik z ogniskiem i tańcami. Ja oczywiście nie byłem zaproszony, ale moi rodzice wrócili bardzo późno i następnego dnia spali do południa. Tego dnia tato poprosił mnie, żebym go zastąpił na portierni. Dobrze, że to była niedziela.

W następnym tygodniu lokomotywy przeznaczone dla francuskich linii kolejowych w Maroku miał do Gdyni osobiście eskortować kierownik biura fabrykacyjnego, prokurent Dąbrowski, który poprosił dyrekcję o pomocnika.

– Żeby miał kto zadbać o bilety i bagaż, kiedy ja będę zajęty w Gdyni – uzasadniał w rozmowie z panem Zdzisławem Rytlem z naszego biura. Panowie wychodzili właśnie z Fabloku i mijali portiernię mojego taty, do którego wstąpiłem na chwilę.

– A gdybyśmy wystawili dokument podróży na chłopaka od nas? Zna lokomotywę od podszewki, mógłby pojechać – usłyszałem, jak proponował inżynier Rytel, i serce podskoczyło mi z radości.

Nigdy wcześniej nie byłem nad morzem, o porcie w Gdyni tylko słyszałem, gdy inżynier Baranowski rozmawiał z moim ojcem kilka lat temu, kiedy do Chrzanowa przyjechał sam prezydent Mościcki. Tato podkreślał, że nasz Fablok, założony w 1919 roku, był jednak starszy od gdyńskiego portu. No a teraz pięćsetna lokomotywa miała zostać załadowana na statek w Gdyni, żeby drogą morską trafić do Kolei Francuskich w Maroku. To było coś. To naprawdę było coś, o czym marzyłem.

Dwa dni później w najlepszym maturalnym garniturze stałem na nabrzeżu i zadzierałem głowę. Wiał wiatr od morza, fale rozbijały się o falochron, a białe mewy krążyły i krzyczały wysoko w chmurach. Wielki dźwig podniósł fablokowską lokomotywę, jakby była zabawką i powoli opuszczał ją na pokład kontenerowca. Prokurent Dąbrowski załatwiał formalności

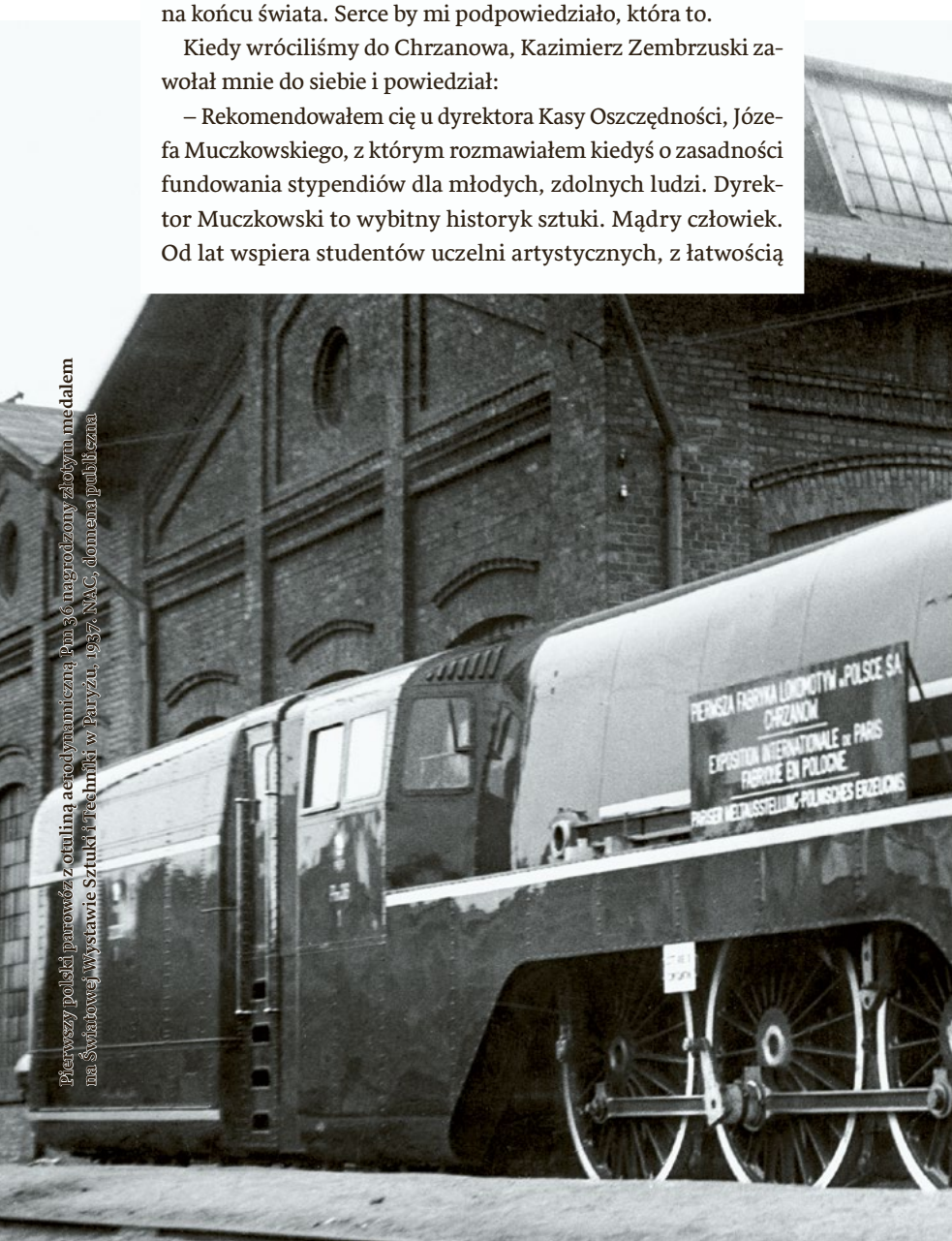
← Kazimierz Zembrzuski na balkonie swojego mieszkania w Chrzanowie, lata 30. XX w. Ze zbiorów rodziny Zembrzuskich

w kapitanacie, ja zaś jedną dłonią przytrzymywałem kapelusz, żeby mi go nie zwiał wiatr, drugą ściskałem małą podróżną walizkę, którą pożyczył mi inżynier Zembrzuski. Za niespełna godzinę moja pięćsetka miała opuścić stały ląd i wyruszyć w podróż do portu w Oranie. Kto tam na nią czekał?

Ze wzruszeniem pożegnałem najpiękniejszą lokomotywę na świecie. Była to pięćsetna lokomotywa Fabloku, ale dla mnie pierwsza i pod wieloma względami jedyna. Rozpoznałbym ją na końcu świata. Serce by mi podpowiedziało, która to.

Kiedy wróciliśmy do Chrzanowa, Kazimierz Zembrzuski zawołał mnie do siebie i powiedział:

– Rekomendowałem cię u dyrektora Kasy Oszczędności, Józefa Muczkowskiego, z którym rozmawiałem kiedyś o zasadności fundowania stypendiów dla młodych, zdolnych ludzi. Dyrektor Muczkowski to wybitny historyk sztuki. Mądry człowiek. Od lat wspiera studentów uczelni artystycznych, z łatwością



Pierwszy polski parowóz z otuliną aerodynamiczną Pm 36 nagrodzony złotym medalem na Światowej Wystawie Sztuki i Techniki w Paryżu, 1937. NAC, domena publiczna

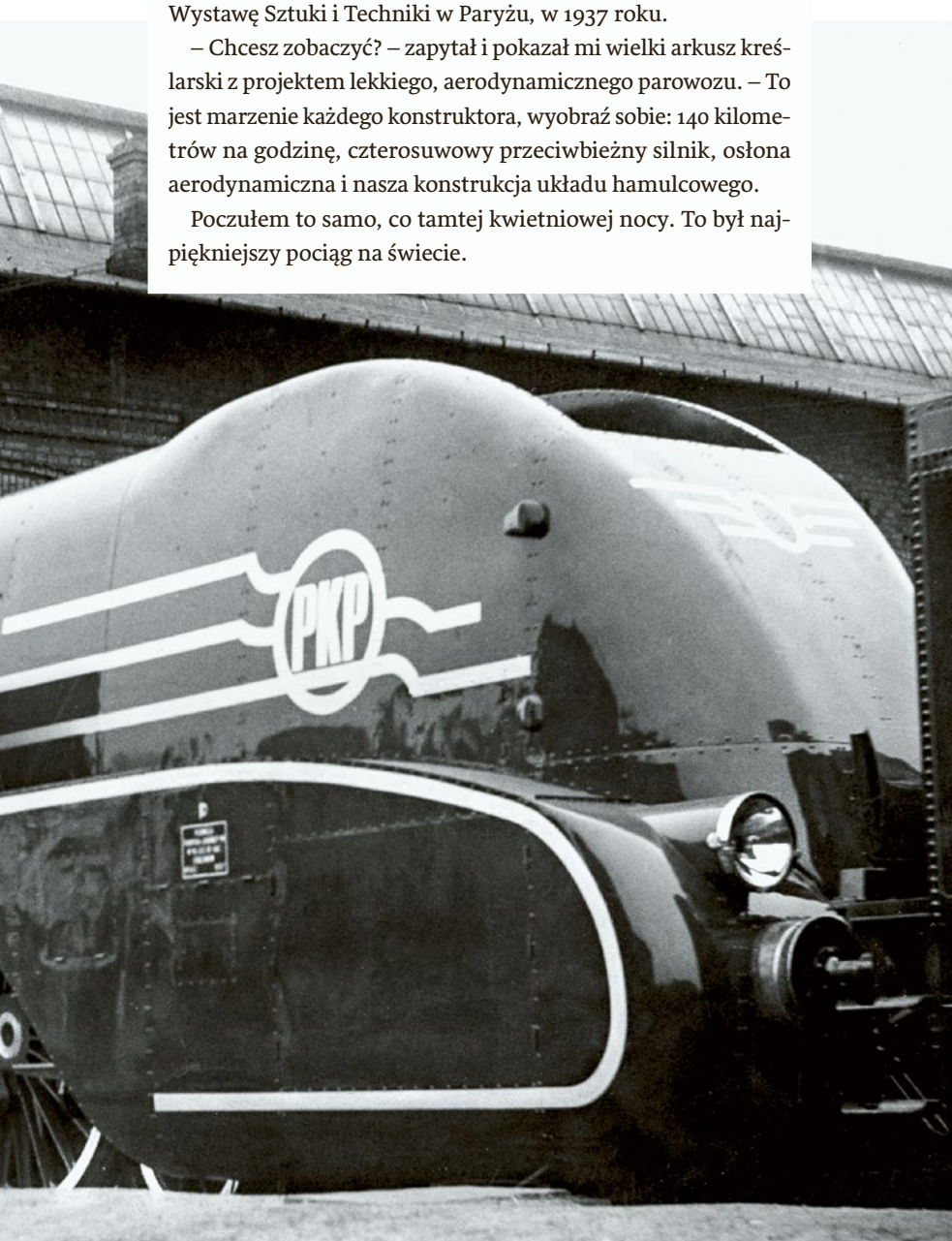
przekonałem go, że praca dobrego konstruktora jest bliska działalności artystycznej i że Polska potrzebuje wykształconych ludzi. I wiesz co? Ufundował stypendium. Zgadnij, kto je dostał.

Usiadłem z wrażenia. Nie mogłem wydusić z siebie ani słowa.

Kiedy latem 1936 roku, po zaliczonej sesji egzaminacyjnej, przyjechałem z Warszawy do Chrzanowa na wakacje, odwiedziłem inżyniera Zembrzuskiego. Wtedy powiedział mi, że pracuje nad projektem lokomotywy przeznaczonej na Światową Wystawę Sztuki i Techniki w Paryżu, w 1937 roku.

– Chcesz zobaczyć? – zapytał i pokazał mi wielki arkusz kreślarski z projektem lekkiego, aerodynamicznego parowozu. – To jest marzenie każdego konstruktora, wyobraź sobie: 140 kilometrów na godzinę, czterosuwowy przeciwbieżny silnik, osłona aerodynamiczna i nasza konstrukcja układu hamulcowego.

Poczułem to samo, co tamtej kwietniowej nocy. To był najpiękniejszy pociąg na świecie.



Przed budynkiem stacji kolejowej w Regulicach, międzywojnie. LKDR (ze zbiorów W. Bigosińskiego z Alwerni), domena publiczna



POJECHAĆ DO WARSZAWY

Droga żelazna nr 103 – stacja w Regulicach



Tatuś zawsze powtarzał, że gdyby miał syna, miałby komu przekazać stację, bo dziewucha przecież dróżnikiem nie zostanie. A mama mówiła, że jak przyjdzie czas, to żadnej z nas trzech nie wyda za kolejarza, tylko za garncarza albo pszczelarza, żeby i fach miał, i w chałupie więcej siedział.

– Co to za mąż, co go w nocy nie ma? – pytała mamusia, a wtedy tato brał czapkę z daszkiem, taką kolejarską, i wychodził. No to ja szybko, hyc przez próg i za nim na stację. Od małego z tatusiem chodziłam kolejować.

Myśmy wtedy mieszkali w porządnym, murowanym budynku stacyjnym ze spadzistym dachem, zupełnie innym niż domy w Regulicach. Budynek stacji było widać z daleka, kiedy szło się drogą od wsi. Z tej strony wchodziło się do nas, z drugiej, od peronów, była poczekalnia dla podróżnych i pokój dyżurnego. Na piętrze znajdowało się duże mieszkanie, podwójne okna, woda w kranie i ubikacja. Niektóre koleżanki przychodziły do mnie popatrzeć, bo u nich, tak samo jak w chałupie babci Frani i dziadka Antoniego, wodę nosiło się ze studni. Choć trzeba powiedzieć wyraźnie, że woda ze studni w Regulicach była najlepsza na świecie!

↑ Stacja kolejowa w Regulicach, międzywojnie. LKDR (ze zbiorów W. Bigosińskiego z Alwerni), domena publiczna



Tato pracował na stacji we dnie i w nocy, bo na kolei nie ma przerwy. W nocy musiał wychodzić z lampą naftową i świecić pociągom, które przejeżdżały przez Regulice, żeby wiedziały, kiedy mają zwolnić. Kiedy pracował w dzień, podsypywał żwiru i ziemi pod pokłady, wycinał gałęzie. Zdarzało się zimą, że ściągał z torów powalone wichurą lub śniegiem drzewa. Nieraz musiał wyciągać drezynę, żeby podjechać do takiej zwałki. Najbardziej lubiłam oczywiście, jak mnie sadzał obok siebie i mówił:

– No, trzymaj się, dziewczyno, jedziemy na koniec świata.

I jechaliśmy! Tato na słuch wiedział, gdzie tory wymagają naprawy. Oliwił przekładnie i zawory, a potem wracaliśmy. Boże, jak ja uwielbiałam te przejażdżki drezyną. Tato sapał w drodze powrotnej pod górkę, a ja się śmiałam, że zaraz zamieni się w lokomotywę i zacznie gwizdać. I wtedy tatuś zaczynał gwizdać! To było takie śmieszne.

W jednym był jednak zawsze poważny. Żarty się kończyły, jeśli chodziło o bezpieczeństwo na stacji, pilnował tego bezwzględnie.

↑ Widok na Alwernię z Kwaczały. Widoczna linia kolejowa nr 103, fot. A. Wisłocki, przed 1914. Polona, domena publiczna



Praca na kolei to była ciężka robota, ale ja we wszystkim mu pomagałam. Nosiłam wodę w wiadrach, zamiatałam perony, zdarzyło się nawet, że sprzedałam dwa bilety na pociąg do Skawiec. Miałam wtedy siedem lat i byłam dumna, że umiem liczyć.

– Byłby z ciebie dróżnik jak się patrzy! – Tatuś czasem sobie ze mnie żartował, ale ja naprawdę byłabym dobrym dróżnikiem, gdybym tylko mogła nim zostać! Tak mnie ciągnęło do kolei od małego! Tak mi się ten świat podobał! Z trzech córek tatusia tylko ja miałam takie marzenia.

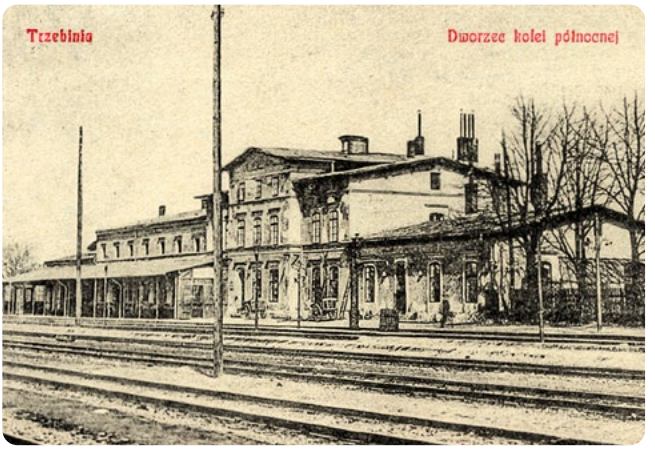
Tereska była starsza ode mnie o dziesięć lat i rzeczywiście wyszła za mąż za Wojtka, który oprócz tego, że był garncarzem, służył w straży pożarnej, a kto służył w straży, ten w Regulicach był bohaterem. Mamie się taki zięć bardzo podobał. Pamiętam, że byłam akurat po pierwszej komunii świętej, kiedy zdarzył się taki pożar, że kilka chałup spłonęło doszczętnie. Wtedy ksiądz proboszcz Sidziński z ambony wezwał reguliczan, żeby założyli straż ogniową. Tak powiedział: „Reguliczanie, załóżcie we wsi

↑ Bilety będące w obrocie w różnych latach na pobliskich stacjach. LKDR, domena publiczna

straż ogniową!". No i założyli. Zaraz się do nich młodzi zapisali, Wojtek też. Kiedy Tereska wyszła za mąż za tego Wojtka, zamieszkała na północy Regulic, w Oblaszkach. W szkole ksiądz Sidziński mówił, że przysiółek Oblaszki kiedyś nazywał się Oblężki, bo był oblężony przez Szwedów, którzy w Regulicach i na zamku Tenczyn u hrabiów Potockich w Rudnie szukali skarbów. Ale znaleźli tylko gliniane garnki i beczki z kapustą! Zresztą od tamtej pory Regulice są znane z wyrobu naczyń. Na przykład teść Tereski robił beczki, a Wojtek garnki. Tereska natomiast miała rękę do handlu, podobno jak była mała, ciągle bawiła się w sklep, a gdy skończyła trzynaście lat, zaczęła się ze wszystkimi swoimi koleżankami wymieniać na wstążki i korale. Kiedy tylko się rodzice zgodzili, wyszła za Wojtka, w jego chałupie otworzyła sklep i zaczęła na całą okolicę sprzedawać te garnki i beczki, tylko beczek szło mniej i więcej zarabiała na garnkach. Tak przynajmniej mówiła Danusi.

Danusia, średnia siostra, od początku była bardzo pracowita, potrafiła szyć, haftowała piękne obrusy, robiła koronki i w ogóle miała dryg w palcach. A jakie bukiety układała! Razu pewnego przyuważyła ją pani Thetschlowa, która akurat zajechała po miód do naszego dziadziusia. Zobaczyła jej obrusy i serwety i bardzo się nimi zainteresowała. Nasza Danusia jeszcze długo opowiadała, że pani Thetschlowa przyjechała do nas samochodem i że to było wspaniałe, gdy drogą przez Regulice przejechał automobil kierowany przez kobietę. Babcia wzruszała ramionami, a tatuś się uśmiechał. Nic dziwnego, że kiedy tylko Danusia skończyła szkołę, poszła do dworu do Jaszczurowej. Tam się serdecznie zaprzyjaźniła z dziewczyną z Marcówki i nieraz obie do nas przyjeżdżały po miód, bo dziadziuś Antoni był pszczelarzem słynnym na całą okolicę. Jego pszczoły były bardzo złośliwe, nikt oprócz niego nie mógł do uli podchodzić, ale też nikt nie miał słodszego miodu w całych Regulicach! Z samego Krakowa ludzie do nas przyjeżdżali – po garnki do Tereski i po miód do dziadziusia. Zimą dziadziuś Antoni rzeźbił w lipowym drewnie. Stały potem jego świątki rzędem w oknie, żeby „złe uroki odganiać", tak mówiła babcia Frania. Niestety, na Wielkiej Wojnie stracił cztery palce w lewej ręce i nie mógł już rzeźbić. Zajmował się tylko tymi swoimi pszczołami.





I tak, Tereska lubiła pieniądze, Danusia pracowita jak pszczółka kochała robótki ręczne i kwiatki, a ja marzyłam, żeby pojechać pociągiem w daleki świat. Mogłam całymi dniami siedzieć z tatusiem na stacji i rozmawiać z nim o tym, gdzie można dojechać pociągiem.

– Do Sierszy, do Skawiec, do Bolechowic, do Alwerni, do Wadowic, do Trzebini, do Bielska, do Krakowa – wymieniał.

– I dokąd jeszcze? – nie dawałam mu spokoju.

– Do Chrzanowa, a stamtąd dalej i dalej, nawet do Warszawy.

– A ty byłeś w Warszawie? – zapytałam.

– Nie. Nigdy – odpowiedział tatuś.

Tak bardzo chciałam wtedy pojechać pociągiem do Warszawy!

↑ Pocztówki ze stacją kolejową w Trzebini, ok. 1900. Bazakolejowa.pl, domena publiczna

Tatuś został dróżnikiem dawno, dawno temu, zanim się urodziła Tereska, nawet zanim się ożenił z naszą mamusią. Chyba nawet poznał mamusię dopiero wtedy, gdy był już dróżnikiem, bo nieraz powtarzał, że gdyby w Regulicach nie było stacji, byłby jeszcze kawalerem.

Proboszczem był wtedy w Regulicach ksiądz Sablik, który w miejsce starego kościółka wybudował nowy – kościół św. Wawrzyńca. To było rok przed przybyciem tatusia do Regulic. No i właśnie ksiądz Sablik wystawił tatusiowi świadectwo moralności. To świadectwo oprawione w ramkę wisiało u nas na ścianie obok krzyża.





↑ Pocztówki ze stacją kolejową w Chrzanowie i Wadowicach, ok. 1900. Bazakolejowa.pl, domena publiczna

– Dzięki temu dostałem pracę na stacji – powiedział kiedyś tatuś, a mama dodała:

– I przez tom musiała za mąż za ciebie wyjść!

– Źleś zrobiła? – zapytał wtedy tato, a mama nic nie powiedziała, tylko się skrzywiła.

Mnie się wydaje, że babcia nie była zadowolona, że mama wyszła za mąż za „człowieka ze świata", a nie za któregoś z naszych regulickich chłopaków. Mama była piękną dziewczyną i wielu się starało o jej rękę, a ona przebierała w nich jak w ulęgałkach. Najbardziej podobała się dwóm chłopakom: synowi kowala, Józkowi, i synowi zduna, Maćkowi. Chodzili, prosili, jednak ona nie chciała wybrać. Raz się podobno nawet o nią pobili! W końcu dziadziuś powiedział, że mundur kolejarza gwarantuje honor i niezłomny charakter i że jak panna sama nie wie, czego chce, to on jej pokaże! „Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta" – powiedział.

Nie bez znaczenia było zdanie księdza proboszcza, który tak samo dziadziusiowi doradzał. I w taki oto sposób tatuś dostał pracę na stacji i przestał być kawalerem.

Tereska urodziła się równo rok po tym, jak przez Regulice przejechał pierwszy pociąg. Oficjalne otwarcie linii kolejowej nr 103 odbyło się 15 sierpnia 1899 roku. Z tej okazji co roku 15 sierpnia tatuś i dziadek świętowali kolejną rocznicę „naszej sto trójki".

– Było to wydarzenie stulecia – tak mówił tatuś.

– Sam biskup Puzyna przyjechał pobłogosławić tory – dodawał dziadek Antoni i wtedy obaj stukali się szklaneczkami.

– Ale panu Bogu się to wcale nie podobało! Potop na nich zesłał, żeby im te pociągi podmył – gderała babcia.

– Głupia jesteś, to był cud, że dali radę tory naprawić, chociaż diabeł im szyki mieszał. W dwa tygodnie naprawili! Drezynami jeździli, aż furczało! Cud! Nasza kolej to jest cud na świecie! Pociągi to jest przyszłość narodu, a ty jesteś głupia, że tego nie rozumiesz.

– Powiedział ten, któremu brakuje rozumu! Powtarzam wyraźnie: pociągi to samo nieszczęście. Kto tego nie rozumie, ten jest osioł i basta! Obcy przyjeżdżają, nasi wyjeżdżają, co w tym dobrego? Tylko wojna i polityka. – Babcia miała swoje zdanie.



Nr. 227. Lwów, Czwartek dnia 17. Sierpnia 1899. Rok XVII.

Prenumerata.
We Lwowie:
Miesięcznie 1 zł. 20 ct.
Kwartalnie 3 „ 60 „
Półrocznie 7 „ 20 „
Za nadsyłaniem do domu 20 ct. miesięcznie.
Numer 5 ct.
Na prowincyi:
Miesięcznie 1 zł. 60 ct.
Kwartalnie 4 „ 20 „
Półrocznie 9 „ 60 „
Za granicą:
Miesięcznie 2 zł. — ct.

KURJER LWOWSKI

Wychodzi codziennie, nie wyłączając niedziel i świąt, o godz. 8. rano.

Ogłoszenia.
Zwyczajne ogłoszenia za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 10 ct.
Nadesłane: za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i innych prywatne wiadomości po kronikowe jeden wiersz 50 ct.
Rękopisów nie zwraca się.

Właściciele: Rewakowicz Henryk i Spółka.

Styczeń katolickie: Dziś: Liberata. Jutro: Helony. Pojutrze: Hoginy panny
Grecko-katolickie: Eutychia: Proch. Hosp. Dometya.
REDAKCYA ul. Lindego l. 8, I. piętro. Telefon Nr. 888 i 629. ADMINISTRACYA I EXPEDYCYA przy ulicy Chorążczyzny l. 5. Telefon Nr. 114.
KALENDARZ MYŚLIWSKI. Wiosna zalewa nas kurw trzaskiem, jaskrem, prosporkiem, dzikiem gołębiem, drogiem, pardwy, płaskiem wodzie i błotem.
Wschód słońca o 5 g. 4 m. Zachód słońca o 7 g. 1 m. Barometr 770. Pogoda.

Kolej lokalna Trzebinia-Skawce.

D. 15. bm. oddaną została do publicznego użytku kolej lokalna, prowadząca z Sierszy na Trzebinię, Wadowice do Skawic. Linja ta jest trzecią koleją lokalną, przychodzącą do skutku dzięki poparciu finansowemu kraju, której budowę prowadziło kraj. biuro kolejowe. Kolej Trzebinia-Skawce przecina ruchliwą pod względem przemysłu i górnictwa okolicę kraju, domagającą się rozwoju i łączy tak kopalnie węgla w Sierszy, jak i wiele innych zakładów przemysłowych, umożebiając w ten sposób skuteczną walkę konkurencyjną krajowych produktów, w szczególności węgla z zagranicą. Prócz tego linja ta jest najkrótszem połączeniem między górnym Śląskiem i Królestwem polskiem a stokami zachodnimi Karpat, przez co wywóz drzewa zyskuje krótszą, a tem samem i tańszą drogę.

Długość całej linji wynosi 60 095 kilometrów, a szczególną cechą charakterystyczną jej jest to, że przecina 4 główne linje kolejowe, a mianowicie: w Trzebini linję kolei północnej Wiedeń-Kraków, w Spytkowicach linję kolei państwowych Oświęcim-Podgórze, w Wadowicach znowu linję kolei północnej. Biała, Kalwarja, na koniec łączy się w Skawcach z linją kolei państwowych Sucha Skawina. Budowa wykonana wedle typów wypracowanych w krajowem biurze kolejowem i zasługuje na uwagę w szczególności pod względem objektów, których jest 162 z tych objektów jest 106 krytych lub sklepionych a 56 o konstrukcji żelaznej. Most na Wiśle o 4 otworach po 50 metrów jest bardzo piękny, również na szczególniejszą uwagę zasługują oba mosty na Skawie, z których jeden pod Mucharzem o 2 otworach po 55 metrów, a drugi pod Wołalkami o 2 otworach po 50 metrów i pięciu otworach po 10 metrów; te ostatnie 5 otworów stanowią prowizoryczną konstrukcję, którą musiano przyjąć dla nieuregulowanego koryta Skawy. Kolej północną przecina kolej Trzebinia-Skawce w Trzebini mostem ukośnym o rozpiętości 24 metrów.

Do konstrukcji żelaznych użyto ogółem 1300 ton żelaza.

Zadaniem krajowej ekoji kolejowej jest budować koleje lokalne jak najtaniej; podobnie i w niniejszym wypadku koszta budowy zostały odpowiednio zredukowane i wynoszą imienną kwotę 2,700 000 złr.; prócz tego nabyło towarzystwo tej kolei, kolej górniczą, prowadzącą ze Sierszy do Trzebini, oddając tą równocześnie dla ruchu publicznego, za złr. 250.000. płatnych akcjami pierwszeństwa, tak, że obecnie cały kapitał zakładowy wynosi 2.950.000 złr. w. a.

Kraj udzielił finansowego poparcia, gwarantując dochód potrzebny na oprocentowanie i umorzenie po życzki pierwszeństwa w sumie 1.660 000 złr., zaciągniętej w Banku krajowym w kolejowych obligacjach tegoż banku.

Koncesja na kolej Trzebinia-Skawce udzieloną została pierwotnie p. Juljuszowi Sieglerowi d'Ebenwald i przeszła następnie na towarzystwo akcyjne: „Kolej lokalna Trzebinia-Skawce z siedzibą w Krakowie. Wielką zasługę w przyjściu do skutku tej kolei, ma tet obok krajowego biura kolejowego p. Siegler, który jest właściwym inicjatorem tej drogi żelaznej.

Przy budowie zajęte były wyłącznie siły krajowe, jak również i dostawę potrzebnych materjałów i urządzeń objęły firmy krajowe z wyjątkiem konstrukcyj żelaznych, syzn i zwrotnic, dla których fabryk nie mamy w kraju i o których dostawę udawać się musimy do Śląska lub Morawy. Sanocka fabryka wagonów dostarczyła wozów służbowych i ciężarowych.

Budowę kolei wykonała w przedsiębiorstwie spółka inżynierów Olewiński i Bogucki, wykupno gruntów przeprowadził dr. Tadeusz Starzewski, notarjusz w Wadowicach.

Prowadzenie ruchu obejmie dyrekcja kolei państw. w Krakowie, której życzliwość dla tej nowej lokalnej kolei przejawiała się od samego początku jej budowy.

– Co ty się możesz znać na wojnie albo na polityce, jakżeś z Regulic nosa nie wyściubiła? – pytał dziadek Antoni, dolewając do szklaneczek tacie i sobie.

– Nie wyściubiłam, dlatego mam dziesięć palców i jestem cała i zdrowa. – Babcia nie spuszczała z tonu. – I dość już wam nalewki.

– Raz w roku każdy człowiek może poświętować – odezwał się niespodziewanie ksiądz proboszcz, który przechodził drogą i przez płot przysłuchiwał się rozmowie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, zapraszamy w niskie progi. – Babcia zmieniła ton i zaraz na stole w ogrodzie pojawiła się cała uczta, razem z kiełbasą, świeżym chlebem i miodem.

↑ Pierwsza strona „Kurjera Lwowskiego" informująca o inauguracji linii kolejowej nr 103 z Trzebini do Skawiec (przez Regulice), później do Wadowic, 1899. LKDR, domena publiczna

Bardzo dobrze wspominam 15 sierpnia jako rocznicę przejazdu pierwszego pociągu przez stację w Regulicach. Tatuś go wtedy przepuszczał! Cała wieś przyszła popatrzeć. Tak wspominali dorośli, ja się tylko przysłuchiwałam.

Tatuś opowiadał, że wcześniej pracował na stacji w Chrzanowie, ale nie był dróżnikiem, tylko pomocnikiem na kolei.

– Najcięższa robota na kolei jest lepsza niż dojenie krowy – mówił, i miał rację.

Na stacji zawsze się działo coś ciekawego, a u babci i dziadka tylko zwykła praca. Latem babcia prosiła, żebym przychodziła im pomóc. Rano doiła krowę i kazała mi cedzić mleko, w południe dziadek kosił łąkę, potem trzeba było grabić siano. Wieczorem zbierałam pranie przed rosą i jeszcze musiałam wyszorować podłogę. Tęsknie słuchałam gwizdu pociągów, które przed Regulicami dawały sygnał dźwiękowy, a potem z wolna wtaczały się na stację tatusia. To było wtedy, kiedy więcej jeździło składów towarowych, a osobowych tylko kilka na dzień.



Panorama Skawiec z widoczną linią kolejową nr 103 i mostem na rzece Skawie, międzywojnie. NAC, domena publiczna

W sierpniu pociągiem z Chrzanowa przyjeżdżała do sąsiadki mojej babci, pani Kowalowej, tej, której syn smalił cholewki do mamusi, a potem się ożenił z córką kościelnego, więc do tej pani Kowalowej przyjeżdżała z Chrzanowa córka z synem kilka lat starszym ode mnie. W niedzielę widziałam go w kościele na sumie, siedział w ławce z kuzynami. Nosił granatowy sweterek z tarczą chrzanowskiej szkoły. W tygodniu przychodził do nas po mleko, czasem kupował miód od mojego dziadka. On też musiał pomagać swojej babci. Karmił kury, zwoził siano z pola, obrywał papierówki. Spadami karmił naszą krowę, w zamian babcia dawała mu mleko. W sobotę, jeśli było bardzo gorąco i wszystko już było zrobione w chałupie i w obejściu, nasze babcie wysyłały nas nad Regulkę, żebyśmy się popluskali w potoku. On chodził z kuzynami, ja po drodze zabierałam koleżanki. Moje siostry już miały co innego na głowie. Tereska była w ciąży z drugim dzieckiem, Danusia szykowała się do ślubu z pszczelarzem z Jaszczurowej. A myśmy chodzili całą zgrają nad Regulkę!



Wnuk pani Kowalowej dobrze pływał i był wysportowany. Podobał mi się ten chłopak, ale najbardziej podobała mi się jego czapka, trochę podobna do czapki kolejarskiej, z miękkim daszkiem. Próbowałam mu ją ściągnąć z głowy, ale był wyższy i tylko się śmiał.

Przed wyjazdem do Chrzanowa podszedł do mnie na stacji i włożył mi ją na głowę, była za duża i spadła mi na oczy.

– Gdy trochę urośniesz, dam ci tę czapkę, Irenko. Może za rok? – powiedział, zarzucił rzemień torby na ramię i wsiadł ze swoją mamą do pociągu do Chrzanowa. Mój tatuś dał znak i pociąg powolutku ruszył przed siebie.

Niestety, w następne wakacje nie przyjechał. Czekałam na stacji, liczyłam pociągi, ludzie przyjeżdżali i odjeżdżali, ale nie było charakterystycznego granatowego sweterka ani czapki z daszkiem.

Pani Kowalowa przyszła pod koniec sierpnia do mojej babci i powiedziała, że jej córka dostała pracę w restauracji w Chrzanowie, a wnuk ciężko zachorował na płuca.

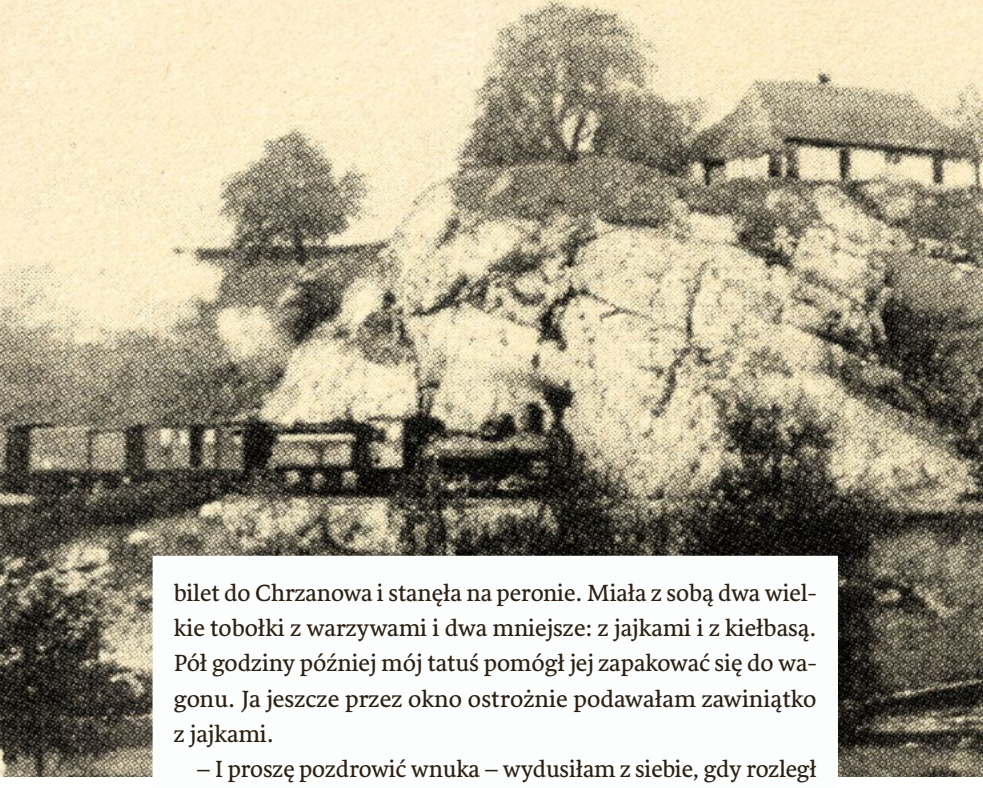
– No i nie przyjechali, sama zostałam w Regulicach. Tobie dobrze, że masz dzieci blisko – wzdychała, wyjadając z koszyczka borówki, które miały być na pierogi.

– Tak po mojemu, to przez tę kolej same nieszczęścia! Zlikwidować, tory rozkręcić i spokój będzie – odpowiedziała moja babcia.

– Co ty gadasz, kobieto! – ofuknęła ją sąsiadka. – Tylu naszych teraz pracuje w kamieniołomach, melafiry ładują do Krakowa, jak ty sobie wyobrażasz taki transport bez kolei? A węgiel? A drzewo? Patrz, ile tego przelatuje codziennie przez naszą stację! Nie mówiąc o tym, że w przyszłym miesiącu jadę sama pociągiem do Chrzanowa, zięć po mnie wyjdzie na dworzec… – zaczęła z dumą w głosie pani Kowalowa, ale babcia Frania jej przerwała:

– A ja się nigdzie nie wybieram, niech sobie wariaci jeżdżą. Ja się tylko modlę, żeby tę kolej jak najszybciej zamknęli. – Tak powiedziała i zabrała pani Kowalowej koszyczek z borówkami sprzed nosa.

I rzeczywiście, pod koniec września pani Kowalowa pojawiła się na stacji trzydzieści minut przed odjazdem pociągu, kupiła



bilet do Chrzanowa i stanęła na peronie. Miała z sobą dwa wielkie tobołki z warzywami i dwa mniejsze: z jajkami i z kiełbasą. Pół godziny później mój tatuś pomógł jej zapakować się do wagonu. Ja jeszcze przez okno ostrożnie podawałam zawiniątko z jajkami.

– I proszę pozdrowić wnuka – wydusiłam z siebie, gdy rozległ się sygnał odjazdu.

Po chwili pani Kowalowa udała się w swoją pierwszą podróż koleją. Chyba się bała, bo trzy razy przeżegnała się krzyżem. Nie wiem, czy przekazała moje pozdrowienia.

Wróciła po tygodniu i wszystkim naokoło opowiadała, jak cudownie jest w Fabloku i jakim wielkim i nowoczesnym miastem jest Chrzanów, do którego przyjeżdżają ludzie z całego świata, nawet z Francji!

Od tej pory pani Kowalowa podróżowała pociągami nie tylko do Chrzanowa, ale i do Kalwarii i do Krakowa. Raz wybrała się w góry i bardzo jej się tam podobało. Czas mijał, połączeń przybywało, na stacji było coraz więcej obowiązków.

Tymczasem Teresce lada dzień miało urodzić się czwarte dziecko, mama bez przerwy była u nich na Oblaszkach, tatuś został zawiadowcą stacji, a babcia powiedziała, że po wakacjach trzeba będzie rozejrzeć się za jakimś dobrym mężem dla mnie. Nie chciałam wychodzić za mąż, wolałam sprzedawać bilety za tatusia, ale nawet nie miałam w czym iść do ludzi. Powyrastałam ze wszystkich sukienek, bluzeczki i sweterki zrobiły się na mnie za małe i musiałam prosić Danusię, żeby mi w wolnej chwili coś uszyła. No i uszyła mi taką sukienkę z materiału od

↑ Przejeżdżający pod skałą w okolicach Regulic pociąg, ok. 1921. LKDR (ze zbiorów W. Bigosińskiego z Alwerni), domena publiczna

pani Thetschlowej z Jaszczurowej, że jak poszłam w niej na zakończenie ostatniej klasy, to nikt nie miał ładniejszej. Codziennie przez całe wakacje zakładałam ją tylko na stację, a potem zdejmowałam i wieszałam do szafy, żeby się nie zniszczyła. Tak mijały wakacje.

Aż pod koniec sierpnia patrzę, wysiada z pociągu chłopak w czapce z daszkiem, skórzany worek ma przewieszony przez plecy. Podchodzi i pyta, czy go pamiętam. No jak bym go miała nie pamiętać, skoro mi tę czapkę obiecał? Roześmiał się i powiedział, że mi ładniej w warkoczach niż w kaszkiecie, ale jeśli bardzo chcę, to mi tę czapkę odda, jak będzie wyjeżdżał.

– Przyjechałem tylko na trzy dni zobaczyć, co tam u babci. Potem jadę do Warszawy, będę się uczył konstruować parowozy dla Fabloku – powiedział i na samą myśl o lokomotywach uśmiechnął się tak jakoś promiennie, że wszystko wokół niego aż pojaśniało.

– Ty też lubisz pociągi? – zapytałam.

– Kocham – odpowiedział, patrząc mi prosto w oczy. – Jak zechcesz, możemy po południu pójść nad Regulkę, to ci opowiem, co teraz inżynier Zembrzuski projektuje w Fabloku. Chcesz?

Jasne, że chciałam, ale po pierwsze obiecałam tacie, że będę na stacji do końca, do odjazdu ostatniego składu, po drugie nad Regulką kąpały się dzieciaki, w tym starsze dzieci Tereski. Gdyby mnie zobaczyły na spacerze z kawalerem, cała wieś by o niczym innym nie mówiła. Wahałam się, co powiedzieć, a on to chyba źle zrozumiał.

– Irenko, ja ci w niczym nie chcę przeszkadzać, jeśli jesteś z kimś innym umówiona, to nie musisz się mną przejmować – tak powiedział i jakoś zmarkotniał.

– Nie, nie – zaprzeczyłam gwałtownie. – Tylko może jutro byśmy poszli nie nad Regulkę, ale tutaj, do źródełka? Poniżej nasypu kolejowego, wiesz gdzie?

– Tam gdzie figura Matki Boskiej w skale? – zapytał, a kiedy potaknęłam, tak się ucieszył, że aż mnie ścisnął za rękę. – Zatem do jutra, Irenko!

Te trzy dni przeleciały szybciej niż luxtorpeda przez Regulice, a potem kolejne miesiące ciągnęły się jak skład towarowy z węglem.

→ Fragment torów kolejowych z widocznym przestawieniem zwrotnicy, lata 30. XX w. NAC, domena publiczna

Przyjechał dopiero w grudniu, na Boże Narodzenie, ale za to przywiózł mojemu tacie dobrą nalewkę, mamie warszawską chustkę, a mnie pierścionek.

Babci się to nie podobało.

– I kolejną dziewczynę nam z Regulic zabierze – gderała. – Wszystko przez te pociągi, diabli nadali!

A ja tak się cieszyłam, że pojadę w świat! Że spełnią się moje marzenia!





Jaszczurowskie dzieci bawią się kolejką służącą do przewożenia lodu z jeziora do piwnicy lodowej browaru, lata 30. XX w. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



BY WRESZCIE POWRÓCIĆ DO DOMU

Pałac Thetschlów w Jaszczurowej



Moja babka wiedziała, co się wydarzy, zanim to się stało, i nieraz mówiła, że coś będzie, i tak było.

– Wiedziałam, że pani Helena Thetschlowa nie doczeka Polski, ale kiedy jej powiedziałam: „Pani Heleno, niech się pani nie gniewa, ale pani nie doczeka wolnej Polski", to pani Thetschlowa się nie rozgniewała, tylko zapytała, czy Polska się doczeka wolności, a gdy odrzekłam, że tak, że zanim się skończy Wielka Wojna, polska sprawa będzie przesądzona, to się tylko uśmiechnęła, wyciągnęła haftowaną makatkę w białe i czerwone róże i mi dała. Taka była ta Helena Thetschlowa. No i umarła w piętnastym.

↑ Helena z Ganów Thetschlowa, fot. H. Schreinzer, gabinet portretów w Bielsku, lata 80. XIX w. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

Moja babka leżała w łóżku i kaszlała, a starsza pani Maria Thetschlowa, synowa tej Heleny, oklepywała ją po plecach, chociaż to niewiele dawało, bo babka już wtedy kaszlała krwią. Za oknem szalała burza śnieżna, a na świecie toczyła się druga wojna światowa.

Na początku lutego 1943 roku nad Marcówką wisiały ciężkie chmury. Od trzech dni śnieg sypał z góry, z dołu i z boku. Marcówka była wtedy najwyżej położonym przysiółkiem Zembrzyc i jak zawiało drogę, to człowiek był jak odcięty od świata. Dla jednych to było przekleństwo, dla innych wręcz przeciwnie. Jedno było pewne, że podczas tej burzy lepiej nie wychodzić z chałupy.

– Kto by się w taką pogodę pchał na świat, temu żadne przeszkody nie staną na drodze – zakaszlała babka i wtedy młodsza pani Maria powiedziała:

– Zaczęło się – i złapała się za brzuch.

– Bartusiu – zwróciła się starsza pani Maria do mojego ojca, a on bez słowa wstał i wyszedł. Pan Franciszek, mąż pani Marii, i pan Jurek, ich jedyny syn, zrobili to samo.

Nie było mężczyzn całą noc, a była to noc tak straszna, że będę ją pamiętała całe życie. Na zewnątrz wył wiatr, a w chałupie krzyczała młodsza pani Maria, bo dziecko nie chciało się urodzić i dobrze, że była z nami starsza pani Maria, bo ona sama urodziła pięcioro dzieci i jeszcze przed wojną chodziła pomagać kobietom przy porodach. Nie przejmowała się, że jest wielką panią ze dworu w Jaszczurowej, tylko jak która dziewczyna miała ciężki poród, to ona brała swoją torbę i jechała nieraz nawet kilkanaście kilometrów. No, mówiąc wprost, miała doświadczenie w tych sprawach i jak jej synowa powiedziała, że się zaczęło, to doskonale wiedziała, co ma robić.

No i w taką noc, straszną zimową noc urodziła się nasza panienka Marysia. Maleńka taka i słaba. Wyglądała jak kociątko i pierwsze, co sobie pomyślałam, to że nie przeżyje. Ale ona najpierw rozdarła się na całe gardło, a potem przyssała się do młodszej pani Marii.

– W czepku urodzona – powiedziała moja babka i wtedy było już wiadomo, że ta dziewczynka przeżyje i że się z niej doczekamy wielkiej pociechy.

To był czterdziesty trzeci rok, we dworze w Jaszczurowej panoszyli się Niemcy i wszyscy w Zembrzycach wiedzieli, że Thetschlom grozi kara śmierci, bo najpierw pan Franciszek Thetschel odmówił podpisania volkslisty, a potem pan Jurek, czyli młody pan Thetschel, uciekł z niemieckiej niewoli i do końca wojny działał na fałszywych papierach.

– I przez te papiery mało co nie wpadł – powiedział jego ojciec ochrypłym głosem.

– Ale nie wpadł – dogadała mu pani Thetschlowa. – A ty nie kracz, bo jeszcze się Marysia przestraszy i straci pokarm.

Pan Franciszek spojrzał na synową, na wnuczkę i nic już nie powiedział.

To był prawdziwy cud, że młodzi państwo Thetschlowie, pan Jurek z panią Marią, znaleźli nas w Marcówce. Chodzili po domach i pytali ludzi, gdzie się ukrywa Franciszek Thetschel z żoną, ale ludzie wiedzieli, że mają nie mówić i nikt im nie powiedział. A młodsza pani Maria była już wtedy w dziewiątym miesiącu i nie chciała rodzić z dala od rodziny. Więc przyjechali i pytali, i kiedy już całkiem stracili nadzieję, a pan Jurek zaczął



↓ Maria Thetschlowa z córką Marysią zwaną Muką w Marcówce, 1944. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

szukać noclegu w Zembrzycach, wtedy na drodze, ot, tak po prostu, spotkał swoją siostrę, Zosię. Szła przez Marcówkę i niosła jedzenie, bo u nas było bardzo biednie i czasem naprawdę nie było co jeść. I to Zosia przyprowadziła Jurka i młodszą panią Marię i to dzięki niej u nas w chałupie urodziła się nasza panienka Marysia.

– Skoro jej niestraszna zawierucha, bieda, wszy i gruźlica, to ona niczego się nie ulęknie. Zobaczycie, będzie skakała przez płotki i przeskoczy każdy płot – tak powiedziała moja babka, siedząc w kącie i kaszląc w szmatkę.

No wygód u nas nie było. Była za to babka chora na suchoty, leżała w łóżku, bo odjęli jej nogę.

– Odjęli mi nogę, ale nie rozum. Marcówka leży na końcu świata, tu Thetschlów Niemcy nie znajdą, bezpiecznie doczekacie końca wojny. Ale do dworu na długo nie wrócicie. Może ona – babka wskazała palcem na dziewczynkę zawiniętą w szary koc, którą do piersi tuliła jej matka – może ona odzyska wasz dwór, ale wy nie. – Tak mówiła moja babka, która wiedziała więcej niż my.



Marysia z babcią i dziadkiem przed domem w Marcówce, 1944. ↓
Ze zbiorów rodziny Thetschlów



No i rzeczywiście, Niemcy ich nie złapali i nasza panienka Marysia bezpiecznie doczekała końca wojny.

Po wojnie starszy pan Thetschel dostał świadectwo moralności z gminy w Mucharzu, bo przez całą wojnę zachowywał się jak Polak, choć miał takie nazwisko i Niemcy mu wszystko obiecywali, żeby do nich przystał. Ale pan Franciszek nie chciał i niczego nie podpisał. Zresztą, gdyby podpisał, pani Maria chybaby go z domu wyrzuciła, bo trzymała dom żelazną ręką. Kiedyś powiedziała, że dopóki ona mieszka w Jaszczurowej, żadnego Niemca za próg dworu nie wpuści. I nie wpuściła! Nawet jak w trzydziestym dziewiątym przyjechał ich austriacki przyjaciel Prokesch w mundurze niemieckim, to mu nie otworzyła. Musiał iść do folwarku, prosić o ubranie i dopiero po cywilnemu mógł wejść do dworu. Taka była starsza pani Maria Thetschlowa. Thetschlowie wcale nie pochodzili z Polski, tylko gdzieś ze świata. Mówiło się, że uciekli z Anglii, bo ich tam anglikanie gnębili za wiarę, ale może przyjechali do Galicji w interesach, bo mój dziadek pamiętał, że jego ojciec pracował w fabryce sukna w Bielsku u Braci Thetschlów. Coś się tam jednak podziało, bo tę fabrykę sprzedali i za te pieniądze Franciszek Thetschel, mąż pani Heleny, kupił Jaszczurową, dwór z folwarkiem, browar, karczmę, stajnie, stodoły, las i park. Ten park to była duma Jaszczurowej. Takiego pięknego parku to chyba w samym Wiedniu nie mieli. Pan Thetschel zresztą już wcześniej dobrze znał i dwór, i folwark, i wieś, i okolicę, bo był rządcą u Knesków. I to od nich kupił Jaszczurową.

↑ Widok od strony parku na pałac i pensjonat, międzywojnie. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



Pani Helena zresztą jakiś czas później postawiła nowy dwór, piętrowy, z mansardą i wieżyczką. A w miejsce starego urządziła pensjonat. O, Panie, jaki to był dwór, no prawdziwy pałac! Na parterze był salon, jadalnia, biblioteka i gabinet pana Thetschla z osobnym wejściem z boku dla interesantów. Niżej kuchnia, piwniczka, spiżarnia i centralne ogrzewanie. Bo dwór miał centralne ogrzewanie od początku! Na piętrze były sypialnie, a w mansardzie pokoiki panienek. Służba nie spała we dworze, wszyscy byli dochodzący.

Moja babcia jako młoda panienka pomagała u pani Heleny Thetschlowej i nieraz wspominała, jakie tam były porządki.

– A w Jaszczurowej mieli takie krowy – mówiła moja babka, pokasłując – że świętej pamięci pani Helena Thetschlowa dostawała za nie światowe nagrody! Dyplomy! Wszyscy przyjeżdżali krowy w Jaszczurowej oglądać! I konie. Te konie z Jaszczurowej to była miłość wszystkich kawalerzystów, specjalnie dla kawalerii hodowane. – Tak mówiła moja babka, która wszystko doskonale pamiętała, bo płuca co prawda miała słabe, ale pamięć dobrą.

Bo też Jaszczurowa to było wzorcowe gospodarstwo. W folwarcznych stajniach każdy koń miał swój boks, okienko i poidło. Podłogi w stajniach i oborach były ze szlifowanego kamienia, a takie czyściutkie, mówiła moja babka, że można było z nich jeść. Stajenny codziennie zmieniał siano. Pod oborą biegł wodociąg do młyna, a we dworze Thetschlowie mieli nawet prąd i łazienki z bieżącą wodą. Ten prąd był z elektrowni dworskiej, która została urządzona w budynku starego młyna. Woda płynęła ze

↑ Pałac w Jaszczurowej wybudowany ok. 1907 roku.
Ze zbiorów rodziny Thetschlów



stawu taką młynówką wprost na młyńskie koło i tak to siłami natury powstawał prąd, który szedł potem kablami wszędzie, gdzie był potrzebny. O tym prądzie we dworze opowiadała mi babka. Bo to był cud.

– Najpiękniejszy był jednak sad – mówiła. – W sadzie pracował taki chłopak z Marcówki, wysoki, uśmiechnięty. Jak on się uśmiechnął, to aż się jaśniej robiło na świecie. Jabłka przynosił z sadu do kuchni, bo był silny i uprzejmy. I tak sobie zamarzyłam, żeby specjalnie dla mnie wybrał najczerwieńsze jabłko Mohringera, truskawkowe w smaku, z aromatem ananasowym, bo ja raz jadłam ananasy we dworze. Pani Thetschlowa sprowadzała ananasy w syropie i podawała gościom w salaterkach udekorowane listkami mięty. Mięta rosła w ogrodzie, a ogród sąsiadował z sadem. I wiesz – powiedziała moja babka, uśmiechając się do wspomnienia – że jak ja rwałam tę miętę, to on mi przez płot podał soczystą mohringerę? „Spróbuj, czy dobre w tym roku jabłka wyhodowałem", powiedział. A ja mu na to:

↑ Przed pensjonatem w Jaszczurowej. Od lewej Luta na Stokrotce, Dzina na Hanusi, pośrodku nierozpoznany kapitan na Paszy, lata 20. XX wieku. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

„Pachną ananasowo". Rok później mieliśmy ślub w folwarku, sam pan Thetschel twojego ojca do chrztu trzymał. I ja im wtedy powiedziałam, że jak będzie trzeba, to my im też zginąć nie damy. Wszyscy się śmiali, bo w czym może dziewczyna z Marcówki pomóc państwu ze dworu, ale ja się nie śmiałam.

Tak w lutym czterdziestego trzeciego opowiadała mi moja babka, która w dwunastym pracowała u pani Heleny Thetschlowej i znała przeszłość i przyszłość.



Maria z Chlebusów Thetschlowa z mężem Franciszkiem, fot. St. Stadler, zakład fotograficzny przy ul. Szewskiej 27 w Krakowie, 1920. Ze zbiorów rodziny Thetschlów ↓



– Pani Helena we dworze kazała na parterze zrobić pokoik tylko dla książek. Bo światło tam było dobre do czytania, tak mówiła, pięć okien w półkolu, ciężko je było myć, ale widok był stamtąd naprawdę ładny, na park. Chciałam to pani Helenie powiedzieć, ale pani Helena akurat miała głowę zajętą przygotowaniami do ślubu, bo jej starszy syn Franciszek (też Franciszek, po ojcu) szczęśliwie się żenił z panną Marią. Pani Maria była z bardzo wykształconej i artystycznej rodziny i lubiła malarstwo i książki, znała się na wielu rzeczach. Kiedyś kazała mi odkurzać te książki i wtedy nagle pomyślałam, że przyjdzie czas, że wszystkie one będą leżały w błocie, porozrzucane po całym parku i że nikt ich nie będzie chciał. Pani się na mnie zezłościła, jak jej to powiedziałam, ale co ja poradzę, że wiem, co się stanie? Będą leżały pod parkanem.

Pod parkanem w kwietniu rósł czosnek niedźwiedzi. Ten, co z niego pani Maria robiła zielony sos do mięsa, jak wracała z polowania albo z wycieczki górskiej. Bo nasza pani Maria uwielbiała górskie wycieczki i często organizowała wyprawy z całym towarzystwem albo z samym panem Thetschlem. Zdarzało się, że pani Maria brała tylko koleżanki, wkładały spodnie i buty i szły na Magurę albo na Leskowiec. To chyba nawet ona z koleżankami wpadła na pomysł, żeby na Leskowcu zrobić schronisko. A jak pani Maria wpadła na pomysł, to było wiadomo, że się uda. Pani Maria jednym słowem to była pani

↑ Na górskiej wyprawie w Tatrach, pierwszy od lewej Józef Chlebus, obok żona Wanda, trzeci od prawej Franciszek Thetschel, piąta Maria Thetschlowa, dwie osoby po prawej to Zofia z Thetschlów z mężem Wojciechem Cybulskim, poł. lat 30. XX w. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



pełną gębą. Jak trzeba było zaprowadzić porządek, to nie pan Franciszek, tylko pani Maria szła do folwarku czy do browaru, bo ona umiała z ludźmi rozmawiać i wszyscy się jej słuchali. Pan Franciszek tylko przyjmował karbowego albo innych interesantów, ci wchodzili bocznym wejściem, wprost do gabinetu pana Thetschla, żeby nie przez jadalnię i salon, wiadomo. Lubił grać w karty, układać pasjansa, piwo po południu na werandzie wypić z gośćmi, dzieci go uwielbiały. Ale dworem tak naprawdę zajmowała się starsza pani Maria. Ona miała oko na służbę i na letników. A tych bywało w Jaszczurowej zawsze pełno. Pani Maria wszystkich kwaterowała w pensjonacie, który powstał tuż obok pałacu w przebudowanym dworze po Kneskach. Miał piętro, dwie klatki schodowe i trzydzieści wygodnie urządzonych pokoi. W każdym była umywalka i piec, tak że goście przyjeżdżali nawet zimą. Pani Maria uwielbiała zimowe polowania na zające i dziki. I sylwestry, i bale karnawałowe. A imieniny jakie urządzała!

I cztery córki wychowała, Mariannę, Irenę, którą nazywaliśmy Lutą, Aleksandrę i Zofię. A na końcu jeszcze się państwu Thetschlom urodził synek, Jurek. Wszyscy na niego czekali, bo ordynacja w Jaszczurowej była taka, że syn dziedziczył dwór. Kiedy się urodził, proboszcz kazał pięć razy uderzyć w dzwon, na znak, że po czterech córkach przyszedł na świat syn.

Córki wszystkie poszły na naukę do Szarotki, do Zakopanego, tylko na wakacje i święta zjeżdżały koleją do Jaszczurowej.

↑ Franciszek i Maria Thetschlowie z dziećmi, fot. R. Lüdtke, zakład fotograficzny „Helios" w Bielsku, ok. 1921. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

Już tydzień wcześniej szykowało się pokoiki na poddaszu dla naszych panienek. Ja najbardziej kochałam Zosię, bo chociaż to była trzpiotka i miała szalone pomysły, to wiedziałam, że w razie czego będzie można na nią liczyć. No i naszego Jurka pani Maria też na ludzi wyprowadziła, choć on się nie garnął do nauki. Ja od razu wiedziałam, że on się nie nadaje do nauki tylko do koni i do kawalerii. Zresztą trudno było się nie zorientować, bo jak miał kilka latek to już go ciągnęło do oficerów, którzy zawsze chętnie zjeżdżali do Jaszczurowej. Kogo tam nie było: sam generał Maczek z panem Franciszkiem palił fajkę. I Oskar Frank, bardzo przystojny oficer. A gdzie byli żołnierze i konie, tam był nasz Jureczek. Oprócz kawalerzystów zjeżdżali też artyści. I Jan Styka przyjeżdżał, a za nim cały tłum malarzy, bo każdy chciał być blisko mistrza.

Ja też jako młoda panienka przed wojną zaczęłam pomagać we dworze. Babka mnie poleciła, a pani Maria serdecznie przyjęła. Bo jak zjeżdżali letnicy, to każde ręce były potrzebne. Nieraz było i ze dwadzieścia dorosłych plus piętnaścioro dzieci.

Już tydzień wcześniej było wiadomo, że przyjadą koleją na stację do Skawiec czy do Mucharza, bo Skawce były najbliżej, gdy się jechało z Wiednia, a Mucharz był po drodze na Śląsk. Za czasów mojej babki starszy pan Franciszek wysyłał bryczkę z końmi, ale w latach trzydziestych państwo Thetschlowie



← Franciszek Thetschel (w kapeluszu) z siostrą Heleną (na siedzeniu przed nim) w autobusie z Zakopanego do Morskiego Oka, lata 30. XX wieku. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

mieli samochód, Fiata. Pierwsza za kierownicą usiadła oczywiście pani Maria, bo to była taka kobieta, która i na polowania chodziła, i w brydża grywała, i na obrazach się znała, i jeszcze umiała prowadzić samochód. I ona nieraz tym fiatem jeździła po znamienitszych gości na stację do Skawiec. A oni zjeżdżali pociągiem z całego świata: z Wiednia, z Monachium, z Paryża i Karlsbadu. No i z Zakopanego, ze Lwowa, z Krakowa też, jasne. Jan Styka przyjeżdżał z Italii. Bo Jaszczurowa leżała bardzo blisko kolei i wygodnie im było przyjeżdżać.

W Jaszczurowej we dworze bywali bracia Estreicherowie, jeden z nich chyba nawet kochał się w naszej Luteczce. Edward Szczeklik, specjalista od spraw sercowych – dziewczyny żartowały, że jak kto ma złamane serduszko, to musi się zapisać na wizytę do doktora Szczeklika. Kto tam jeszcze był? Tadeusz Dziurzyński, bardzo porządny człowiek. Obaj Aleksandrowiczowie, jeden się nawet z naszą panienką Lutą ożenił, ale coś nieudane to było małżeństwo. Pani generałowa Maczkowa była co roku na całe lato i zimą na sylwestra zawsze. A tak w ogóle to była bardzo miła i uprzejma pani. Znała się na malarstwie i na architekturze. Pamiętam, że lubiła siedzieć na ławce przed fontanną. Kiedyś mnie zawołała, jak szłam z ponczem do pawilonu koło kortów, ale wcale nic nie chciała pić, tylko kazała mi usiąść obok siebie. „Patrz, cyprysy rosną precyzyjnie po bokach dworu



Jaszczurowskie towarzystwo w jednym z pałacowych salonów, w tle obraz → autorstwa Jana Styki, ok. 1917. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



i gdy się tu siedzi, widać to dokładnie. Spójrz, jak pięknie te dwa drzewa podkreślają ów romantyczny mansardowy dach z facjatkami oraz półkoliście zwieńczony fronton nad balkonem". Zapamiętałam to, bo jak później brat naszej pani Marii, Józef Chlebus, szukał pleneru, on często malował dwór z wszystkich stron, to mu pokazałam ten widok i powiedziałam: „Niech pan doceni ten półkolisty fronton nad balkonem okolony z dwóch stron cyprysami", chociaż nie wiedziałam, co to jest fronton. Ale on od tej pory zaczął do mnie mówić „proszę pani". „Pani Stasiu", tak do mnie mówił. A kiedy wybuchła wojna, on się zaangażował w jakąś działalność konspiracyjną, za którą poszedł do Auschwitz, potem wywieźli go do Mauthausen i później zamordowali w Melku. A to był taki piękny mężczyzna, szczupły, drobnej budowy, z wąsem. Zawsze uśmiechnięty, zawsze zadowolony. Pamiętam, jak malował swój autoportret w trzydziestym szóstym. Siedział przed lustrem w holu i malował.

↑ Brat Marii Thetschlowej, Józef Chlebus w swojej pracowni w Katowicach, lata 30. XX w. Ze zbiorów rodziny Thetschlów

Przyniosłam mu deser, a on się uśmiechnął i ja wtedy dygnęłam i powiedziałam, żeby ten uśmiech namalował, bo mu z nim do twarzy. „Jak sobie pani Stasia życzy" – powiedział. Tak wtedy powiedział.

Kiedy rozmowa schodziła na pana Chlebusa, babka odwracała się do ściany i udawała, że śpi. Pewnie już wtedy wiedziała, co się stanie. Sama zresztą umarła niedługo po tym.

Wiosną czterdziestego piątego, jak Niemcy uciekli, kazaliśmy posłać po panienkę Zosię, bośmy się bali, że Ruscy przyjdą i dwór rozgrabią. Dopóki tam urzędował Friedrich Fabritius, a Jaszczurowa była letniskiem Hitlerjugend, nic się nie dało zrobić. Niemcy wyjeżdżając, zabrali część rzeczy, ale wiadomo było, że Ruscy wszystko zniszczą. Chcieli zresztą z końmi wchodzić do dworu. Dobrze, że Zosia Thetschlówna przyjechała, bo udało się ich przekierować do folwarku i browaru. Popili się i poszli spać.

W kwietniu Thetschlowie odzyskali dwór, a w lipcu przyszło wywłaszczenie i znowu go stracili. Dywany, lampy, serwis. Wszystko przepadło. Ktoś w bibliotece szukał skarbów po pani Helenie. Pozrywał tapety, rozpruł fotele. Książki potem do jesieni leżały porozrzucane w parku. Pod parkanem, tam gdzie rósł najlepszy czosnek niedźwiedzi i kwitła koniczyna. Tam w błocie leżały książki z biblioteki pani Heleny Thetschlowej. Ale ani ona, ani moja babcia tego nie doczekały.

Thetschlowie po wojnie musieli wyjechać na ziemie odzyskane, bo prawo było takie, że właściciele nie mogli mieszkać w województwie, z którego pochodzą, jakby koniecznie trzeba było nie tylko przesadzić stare drzewa, ale jeszcze odciąć je od korzeni. Wrócili kilka lat później, tylko że we dworze zrobiono już wtedy posterunek milicji, a potem dom dziecka i starsza pani Maria powiedziała, że nie chce na to patrzeć. Mieszkała w Zembrzycach z panem Franciszkiem, a pan Jurek z żoną i naszą Marysią przyjeżdżał na wszystkie ferie i święta. Zresztą znowu wszyscy zaczęli zjeżdżać do pani Marii, bo ona tak przyciągała do siebie ludzi.

– Nie żal pani Jaszczurowej? – zapytałam kiedyś, gdy pomagałam pani Marii w kuchni.

– Dopóki człowiek żyje, nie ma czego żałować – odpowiedziała, a ja to sobie zapamiętałam.



Pani Thetschlowa mieszkała w Zembrzycach, piekła ciasta i woziła je do Krakowa, do bufetu w teatrze. Jeden krytyk teatralny napisał w gazecie, że co prawda sztuka kiepska, ale warto było pójść do teatru, bo ciasto orzechowe pani Thetschlowej było wyśmienite. Reżyser się wtedy na tego krytyka obraził i była wielka awantura w Krakowie, a pani Maria tylko się z tego śmiała. „Oj, artyści, jak ja ich znam" – mówiła.

A potem spadła na nas straszna wiadomość, że pan Jurek zginął w Gdańsku, ratując tonącą kobietę. Pani Maria sprowadziła jego ciało w żelaznej trumnie do Jaszczurowej, bo nikt sobie nie wyobrażał, że pan Jurek mógłby nie być pochowany w kaplicy kolatorskiej Thetschlów. Wszyscy tam byli pochowani. To i on…

Młodsza pani Maria nadal przyjeżdżała do Zembrzyc, a nasza panienka Marysia z każdym rokiem coraz bardziej przypominała swoją babkę. Silna, wysportowana, odważna. Pamiętam, jak w Zembrzycach dzieci spędzały wakacje. To było w pięćdziesiątym szóstym, olimpiada letnia w Melbourne. Wujek Marysi wpadł na pomysł, że zrobi dzieciom olimpiadę. Poszli całą bandą na łąki nad Skawę. Szczęście, że poszli, bośmy w kuchni miały trochę spokoju i mogłyśmy przygotować obiad. No i dzieciaki się wyszalały. Był skok wzwyż przez sznurek, pchnięcie kamieniem w dal, bieg na 60 metrów… Taką wtedy mieli fantazję. Wrócili pod wieczór spoceni i szczęśliwi, a nasza

↑ Maria i Franciszek Thetschlowie w domu w Marcówce, 1944. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



Marysia wygrała. Wszystkie konkurencje wygrała. Zaraz potem zapisała się do klubu i zaczęła trenować skok w dal, jak Elżbieta Krzesińska, i bieg przez płotki. Zdobywała złote medale i raz nawet ustanowiła rekord Polski wśród młodych zawodniczek. Taka była ta nasza Marysia. Nic dla niej nie było za trudne.

Potem na krótko straciłam ją z oczu. Starsza pani Maria zginęła w wypadku samochodowym, potrącił ją kierowca na przejściu dla pieszych. Nasza Marysia była już zresztą po studiach, wyszła za mąż za geografa, bardzo przyzwoitego człowieka. Widziałam go tylko kilka razy, ale wyglądało, że to była wielka miłość.

Jeszcze jak pani Maria żyła i zjeżdżały do Zembrzyc jej córki, nieraz słyszałam, jak wspominały Jaszczurową i dwór. Tyle opowiadały o panu Franciszku i pani Helenie, o jej pomysłach i planach, jakby to było wczoraj! I o gościach Jaszczurowej, polowaniach, wycieczkach i sukcesach pani Marii. Wyciągały zdjęcia, listy, dyplomy. A nasza Marysia siedziała i słuchała. Minę miała tajemniczą, ale widać było po niej, że wdała się duchem w swoje przodkinie. Co ona tam sobie myślała? Jakie plany snuła?

No ale jak się urodziła w czasie burzy śnieżnej, to co jej się mogło nie udać?

↑ Marysia Thetschel podczas zawodów w Skarżysku, 1959. Ze zbiorów rodziny Thetschlów



Rowerzyści przed schroniskiem na Markowych Szczawinach, 1928. Ze zbiorów rodziny Kapłonów, domena publiczna



PO DŁUGIEJ WĘDRÓWCE

Muzeum Turystyki Górskiej
na Markowych Szczawinach
w Zawoi



A niech im się tam zdaje, że pierwsi wleźli na Babią, a niech tam ją sobie zdobywają! Wielkie mi mecyje! Wytyczanie drogi, znakowanie szlaków, cała ta szopka z budowaniem schronów! Boki zrywać! A oni tacy przy tym ważni, tacy zdobywcy, tacy bohaterzy! Końmi do granicy lasu, no naprawdę, jakby człowiek własnych nóg nie miał. Gdyby którąś z nas zapytali, nieważne, czy mnie, czy ciotki, przecież byśmy im pokazały, którędy się chodzi na Diablak, ale nie: oni pierwsi, oni jedyni! A niech im tam będzie! Niech sobie walczą z Górą, jakby było z czym walczyć. Przecież każda kobieta wie, że z Babią się nie walczy, bo nikt z nią nie wygra. Jak ona nie zechce, to nie ma mocnych.

↑ Palatyn Węgier, arcyksiążę Józef Antoni Jan Habsburg, za: S. Lestyán, *József Nádor. Egy alkató élet irásban és képben, 1776–1847*, Budapest 1943, s. 6. MEK, domena publiczna

A wystarczy w niebo spojrzeć, na Bronie się ładnie pokłonić i wszystkie swoje skarby Diablak otwiera przed każdą z nas. Przed każdą. I moja babka, i babka mojej babki, i tej babki babka, i wszystkie ciotki – my wiemy, po co się chodzi na Diablak. A te chłopy takie głupie! Nic nie wiedzą. Ale niech im tam. Niech sobie idą, niech sobie budują, skoro muszą. Cesarze!

Ludzie we wsi jeszcze pamiętają, jak sto lat temu przyjechał do wsi wielki pan, palatyn Węgier, feldmarszałek austriackiej armii, arcyksiążę! Cesarz pełną gębą, no, prawie. Cały swój kraj chciał zobaczyć z góry, więc się wybrał na Babią, bo króluje w okolicy, a stoi na granicach jego włości. Przyjechał z dworzanami, służbą, wszyscy mu czapkowali! Tak to moja babka opowiadała. Baby mówiły, że „świty miał sto tysięcy, a pieniędzy jeszcze więcy". No, jak kto bogaty, to wszystko może. Taki to ciągle w ruchu, co przyjedzie, to wyjedzie. I czego on się o świecie dowie, jak niczemu się uważnie nie przyjrzy, liźnie tylko, a nie posmakuje i już pędzi dalej. W górę na Babią i już z Babiej. Co on tam z góry zobaczył? Nic. Niby bogaty, a biedny.

Z księciem ruszył cały orszak, kapela przygrywała, żeby mu było weselej. Kilku górali szło przed nim i torowało drogę, wiadomo. Na górze dla palatyna postawiono schron ze świerkowych okrąglaków, żeby w razie niepogody arcyksięciu głowa nie zmokła. Śmiały się z niego baby we wsi, że przecież człowiek się na deszczu nie roztopi, ale co pan każe, sługa musi, więc już zawczasu górale zwieźli całe drewno na ten schron. Wozami do linii lasu, dalej przez kosówki na własnych grzbietach. Niby nic, ale co się nadźwigali, to ich. Arcyksiążę Józef Antoni Habsburg postał na górze i tak jak wszedł, tak wrócił.

Ludzie potem jeszcze długo wspominali to palatyńskie wyjście na Babią, tak jakby to było co ważnego. A przecież normalna sprawa! Kobiety ze wsi kilka razy w roku chodzą na Babią i nikt im schronów nie buduje. Jak nas zmoczy, to ziół szkoda i mokre wracamy do wsi. Byle nie grzmiało! Od stuleci przecież zbieramy zioła wysoko i nie są to żadne mecyje. Ot, wychodzimy przed świtem, żeby jak tylko rosa zejdzie, być na górze. Wiadomo, że liście i kwiaty zbiera się suche, a te z Babiej najlepsze. Kto by tam o tym gadał. No, ale palatyn ważny człowiek, ważne wydarzenie. Przyjechał, wlazł, pojechał.



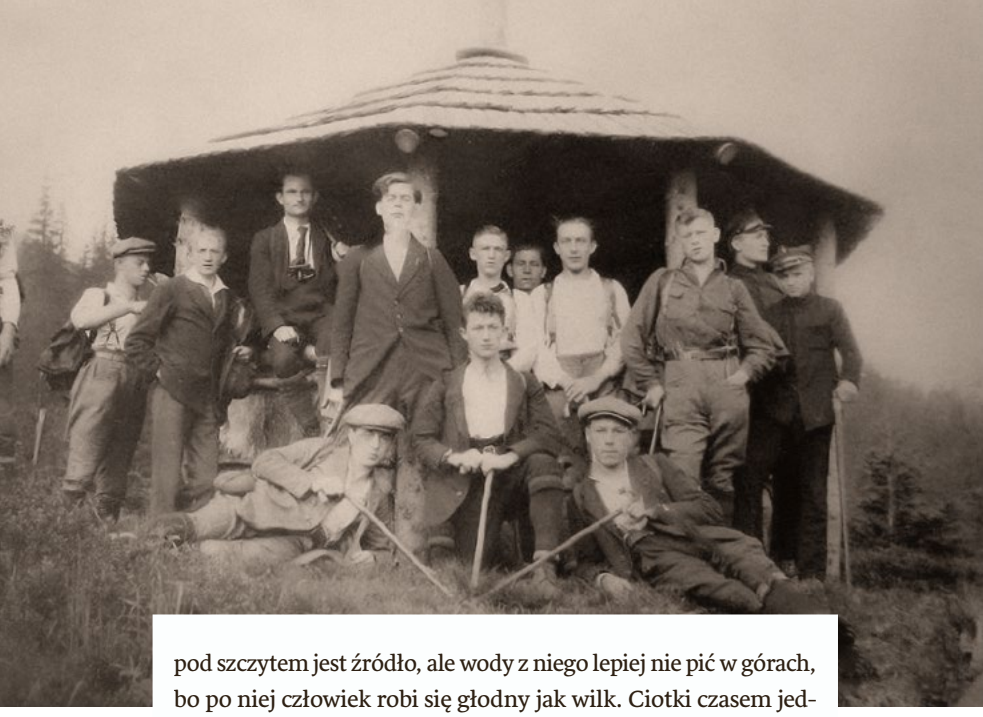
Siedemdziesiąt lat później miastowi jeszcze mu kazali postawić obelisk na górze, na pamiątkę tego wejścia. W trzy wozy wieźli to ze Słonej Wody, stromizną taką, że aż strach. Na jednym wozie jechał obelisk, na drugim cokół, na trzecim narzędzia. Dziadek, jako że był z niego chłop na schwał, też ten obelisk stawiał, żeby na następny dzień panowie w płaszczach i kapeluszach mieli co odsłaniać. Odsłonili, pogadali i poszli. Stoi ten kamień jeszcze na górze. Pewnie, że stoi.

Po wizycie palatyna, ale to było dużo później, postawili cztery ściany i dach tam, gdzie był drewniany schron dla arcyksięcia. Ludzie na to mówili Losertówka albo kapliczka, ale myśmy wiedziały, że tam żadnego boga nie ma. Co by jednak nie powiedzieć, Losertówka nieraz nam przed deszczem uratowała zebrane rośliny. Lepiej przecież do domu donieść suche niż mokre.

Pamiętam, że jak byłam mała, ciotki mnie brały na Babią w noc świętojańską albo na dożynki jesienią. Mówiły, że wtedy moc ziół jest najsilniejsza. Akurat im się nadawała taka dziewuszka ze zgrabnymi paluszkami do zbierania płatków drobnych roślinek porastających pnie drzew albo kamienie. Na górze ziele było najlepsze. Zbierałam je czasem z tego palatyńskiego kamienia. Jak się deszcz zaczynał, to hyc do Losertówki. Zacisznie tam było, przyjemnie.

Jesienią chodziłyśmy na Babią przy świetle księżyca, żeby ze słońcem już tam być. W górę się szło cichutko, bez hałasu. Czasem któraś ciotka pobrzękiwała kanką na Głodną Wodę. Na górze, tuż

↑ Wycieczka na Babią Górę Józefa Kubali i jego córki Zofii. Widoczny obelisk postawiony na cześć Józefa Habsburga, 1897. Ze zbiorów rodziny Frankowskich, domena publiczna



pod szczytem jest źródło, ale wody z niego lepiej nie pić w górach, bo po niej człowiek robi się głodny jak wilk. Ciotki czasem jednak zabierały ją do domu, bo była dobra na żołądek. Dopiero gdy już szłyśmy z powrotem z pełnymi chustami, workami i kanką z wodą, dopiero wtedy, na drodze do wsi, ciotki zaczynały rozmawiać. O wszystkim. Śmiały się i żartowały, ale z czego, tego nie wolno było mówić nikomu, nawet księdzu na spowiedzi.

– To żadnego chłopa nie interesuje, o czym sobie kobiety, wracając z Babiej, gadają – rzekła mi jeden jedyny raz mama i ja to sobie na całe życie zapamiętałam. Kobiety mają swoje ważne sprawy, mężczyźni swoje. Co komu do tego?

Przekonałam się, że mężczyźni chcą mieć wszystko szybko i natychmiast, ale rychła to jest śmierć, a żeby coś naprawdę poznać, trzeba czasu. Żyje się, rośnie i dojrzewa długo i powoli. Trzeba niejedną zimę przeżyć w górach, żeby móc cokolwiek o Babiej powiedzieć. A tak wskoczyć i zeskoczyć, rabanu narobić i polecieć dalej – czy to warto?

Mama mi opowiadała, że jak była mała, do wsi zjechała rodzina profesora Steczkowskiego z Krakowa. Przyjechał z żoną i z córkami. Mama zapamiętała Marysię, bo to była bardzo wyedukowana panienka, zawsze z notatnikiem, coś sobie w nim pisała. Taka już na wydaniu, ale i tak nigdy nie wyszła za mąż.

– Na co komu kobieta, która pisze i czyta? Mało to roboty w domu, żeby czas marnować nad książkami? Kto gotować nie umie, z książek się gotowania nie nauczy – mówiła babka.

↑ Jedna z grup wycieczkowych na Babiej Górze chroniąca się pod prowizoryczną altaną, 1929. Fotopolska.eu, domena publiczna



No i taka prawda. Profesorówna zawsze tylko przy mamusi i przy tatusiu, jak ci jej pomarli, poszła do klasztoru. Szczęście chociaż, że życie Bogu ofiarowała, tyle dobrego.

No i ta Marysia weszła na Babią i wróciła zachwycona.

– To jest nasz patriotyczny obowiązek – mówiła. – Każdy Polak powinien poznać piękno tych gór.

– A czemuż to nie Słowak albo Madziar? Czemuż to inni nie mieliby poznawać ziemi, na której żyją razem? – zapytała babka, która jako żywo czuła się góralką z Zawoi, a jej świekra była góralką cieszyńską i obie się tak samo dobrze dogadywały z Czechami, Słowakami i Polakami jak z Żydami, Węgrami i Austriakami. Na to profesorówna nic się nie odezwała, obróciła się na pięcie i więcej do nas nie przyjechała. Trudno.

Nie wiem, czemu sobie zapamiętałam tę opowieść mojej mamy i pytanie babki. Pewnie, że każdy z nas jest sobą. Mój pradziadek był z Cieszyna, ojciec z Orawy, mąż, świeć Panie nad jego duszą, był Niemcem w czwartym pokoleniu z Zawoi. Jego kuzyn, Jan Zosiak, gajowy z orawskiej Półgóry był obywatelem Węgier, a mówił, że czuje się Polakiem. Bywał u niego Wilhelm Schlesinger, Niemiec, którego ten Zosiak prowadzał po górach. W bardzo dobrej komitywie. A na przykład jedna moja ciotka, Boglárka, to Węgierka, a ciotka Eszter – Żydówka. Niech mi kto powie: kto tu w Zawoi nie jest u siebie? Wszyscy żyjemy w cieniu Babiej Góry.

↑ Mokry Staw pod Babią Górą, pocztówka wydana w Zawoi nakładem E. Wolskiego, 1913. Polona, domena publiczna
→ Hugo Zapałowicz, koniec XIX w. COTG PTTK, domena publiczna

No i teraz tak. Co roku przyjeżdżał do nas taki uczony, pół Polak, pół Słoweniec z domieszką francuską. Nazywał się Zapałowicz, Hugo Zapałowicz. Chodził na Babią, badał rośliny, brał próbki ziemi. Korzenie wyciągał, łodygi, liście, kwiaty, owoce, nasiona. Potem je rysował, notował, znosił do chałupy i pytał, co do czego, jak się co nazywa, ale i tak miał na wszystko swoje nazwy. Tyle tylko, że był mądry, nie latał z piórkiem jak inni, tylko powoli, uważnie przyglądał się światu. Zanim wyszedł w góry, patrzył w niebo, na niepogodę uważał, ludzi pytał o drogę. W końcu go ciotki raz i drugi zabrały na górę i coś mu tam pokazały. Bardzo serdecznie się od tej pory do nich odnosił. Mnie też zresztą pytał i o mchy, i o porosty, i o grzyby. Bo na tym, można tak powiedzieć, znałam się od dziecka. Ja mu pokazałam, co wiedziałam, on mi powiedział, co wiedział, i tak się zaczęła nasza znajomość. We wszystkie pory roku przyjeżdżał, zostawał miesiąc albo dłużej, wyjeżdżał i wracał. Spał w naszej chałupie, jadł nasze jedzenie, z naszymi chodził na Diablak.

Później go wzięli do wojska. Raz przyjechał w mundurze austriackiego majora. Nie było mu w nim do twarzy.





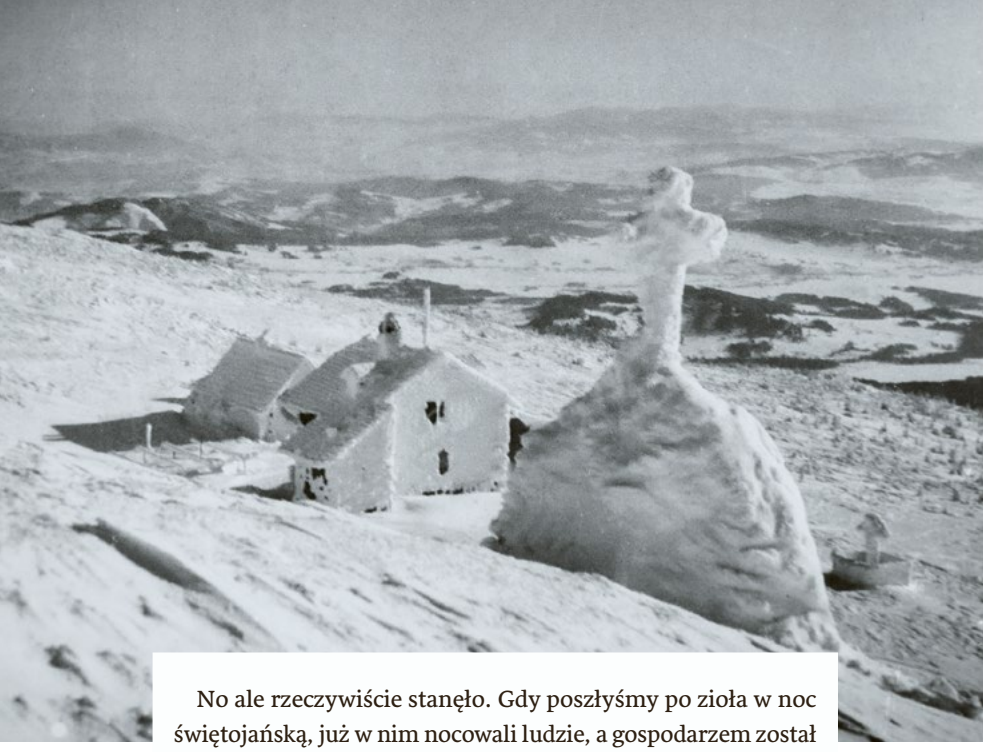
– Pan Zapałowicz raczej mi wygląda na podróżnika niż na żołnierza – powiedziałam, bo taka była prawda.

– I wolałbym pojechać w podróż dookoła świata badać rośliny w górach, a potem wrócić tu do was, do Zawoi, niż służyć w wojsku – stwierdził.

Mój mąż od dawna nie żył, kiedy Hugo Zapałowicz po skończonej służbie, w 1905 roku wrócił do Zawoi i tu się osiedlił.

A wtedy już na Babiej zaczęli się pojawiać letnicy z miasta. Tak się działo w Tatrach i Pieninach, w końcu przyszła pora na Beskidy i naszą Babią Górę. Działało tu już u nas jedno takie turystyczne towarzystwo, Beskidenverein, do którego zapisała się cała niemiecka rodzina mojego męża z Polakiem, Janem Zosiakiem z Półgóry, na czele. Ci z Beskidenvereinu latem wydeptali szlaki, oznaczyli je sobie na kolorowo, w zimie ich widywałam na nartach. Jan Zosiak przyjechał kiedyś do Zawoi i opowiadał, że jego znajomy Niemiec, ten Schlesinger, który chodził po górach, wymyślił i narysował schronisko, jak to mówił, dla turystów i turystek. No może to i racja, że w górach się taki dom przyda? Nieraz przecież nas Losertówka uratowała, choć to raptem cztery ściany przykryte byle czym. Kiedy się nazbiera ziół, trzeba z nimi jak najszybciej wrócić do domu, porozkładać, porozwieszać, ale gdy zacznie lać, lepiej się z ziołami schować pod dachem. Jak mi ten Zosiak z Półgóry opowiadał, że schronisko ma stanąć poniżej Głodnej Wody, tylko łapałam się za głowę.

↑ Fragment pocztówki ze zdjęciem schroniska na Markowych Szczawinach, Bielsko, lata 30. XX w. Polona, domena publiczna



No ale rzeczywiście stanęło. Gdy poszłyśmy po zioła w noc świętojańską, już w nim nocowali ludzie, a gospodarzem został nie kto inny, tylko Janek Zosiak. Nabrałyśmy wody ze źródła, popatrzyłyśmy sobie wkoło i poszłyśmy swoją drogą, bo słońce dopiero wstawało i w tak zwanym Domu Schlesingera wszyscy pewnie jeszcze spali.

Trzeba powiedzieć, że to był bardzo ładny dom z dużą werandą zwróconą w stronę Tatr. Janek mi później opowiadał, że na parterze jest ogromna jadalnia, kuchnia, w pokojach może spać nawet dwadzieścia osób, a jeden pokój przeznaczony jest tylko dla kobiet. Janek dla siebie wybudował osobny domek, hodował krowę i kury i bardzo sobie dobrze tam gospodarzył.

I o tym wszystkim opowiedziałam Hugonowi Zapałowiczowi, gdy mnie odwiedził jesienią. Jemu jednak się to nie spodobało. Zaczął chodzić po wsi i rozpowiadać, że w polskich Beskidach mają być polscy turyści i że trzeba wybudować polskie schronisko. Mówił, że polskie Towarzystwo Tatrzańskie jest starsze od niemieckiego Beskidenvereinu.

– A czy to ważne, kto co kiedy zakładał? – zapytałam i machnęłam tylko ręką. Sam Zapałowicz wcześniej objaśniał, że ci tatrzańscy wywodzili się z Towarzystwa Karpackiego i jakby się tak licytować, to Towarzystwo Tatrzańskie założyli Austriacy z Węgrami, Polakami, Słowakami i Żydami! Jeden Bóg wie, do kogo należą góry.

↑ Schronisko Beskidenverein na Babiej Górze, fot. Z. Łachecki, lata 30. XX w. Polona, domena publiczna



Schronisko Beskidenverein na południowych stokach Babiej Góry, 1925. NAC





Ale ten Zapałowicz nie dawał spokoju. Pytał mnie, czy nie wiem, kto ma we wsi ziemię na Babiej, no to mu powiedziałam, że Marki mają spory kawał pod Broną. Myśmy te Markowe łąki nazywały Szczawinami. Prawdę mówiąc, oni wcale nie chcieli tego gruntu sprzedawać, więc Zapałowicz zaczął rozpowiadać, że Niemcy planują pobudować drugie schronisko, co było prawdą, bo rzeczywiście Zosiakowa się chwaliła, że mają oblężenie turystów w Domu Schlesingera. Mówiła, że w pierwszym roku w takiej księdze, którą nazywali z niemiecka Gedenkbuch, wpisało się prawie czterystu gości, ale ja jej nie wierzę. Tak czy inaczej, Hugo Zapałowicz zrobił „poczęstunek" i przekonał do sprzedaży wszystkich, co mieli choćby kawałek ziemi, który by się nadawał pod to schronisko. Wójt Zawoi, Wojtek od Włosiaków, młodszy kolega mojego męża, był bardzo za tym pomysłem. W ogóle Zapałowicza dużo ludzi poparło i zaraz zabrał się za budowę. Wziął sobie do tej roboty Klimka Trybałę. Mówiłam Zapałowiczowi, że Klimek to nie jest dobry cieśla, że opinię ma w okolicy jak najgorszą, ale co zrobisz? Cenę dał najniższą i Towarzystwo Tatrzańskie jego wybrało do roboty. Zapałowicz pieniędzy miał niewiele, a mimo tego udało mu się dokończyć budowę. Tak mu na tym zależało. O wszystko walczył, o każdego halerza, o każdy okrąglak. Miał szczęście, bo go wsparła Dyrekcja dóbr arcyksięcia Stefana i dostał drewno po bardzo

↑ Schronisko na Markowych Szczawinach, fot. P. Galas, 1907. COTG PTTK, domena publiczna

niskiej cenie. Nikt takich cen nie miał. Zapałowicz stawał na głowie, żeby pobudować to schronisko. Prosił Towarzystwo Tatrzańskie o 1000 koron, to mu obiecali 600, a czy dali, tego nie wiem. Chyba dali, bo ostatecznie na Markowych stanęła mała i dość zgrabna chata z rzeźbioną werandą i stryszkiem.

Józka Gancarczyka z Zawoi zrobili gospodarzem. Nie powiem, to był dobry człowiek, ale łeb do takiego interesu to miała Gancarczykowa, która umiała i ugotować, i chatę oporządzić. Mówiła, że roczną wypłatę mieli z czystej sprzedaży potraw, kawy i herbaty, wyszynku wina i noclegów. Zresztą moim zdaniem po tym, jak Zapałowicz wyjechał, a Gancarczykowa więcej w Zawoi siedziała, to i schronisko zaczęło podupadać. Na remonty nie było, dach przeciekał. Wiem, bo tamtędy mi przecież zawsze droga wypadała, przez lata się na ten dom Zapałowicza napatrzyłam.

Potem jeszcze schroniskiem się interesował sam prezes Mączyński z Żywca. Lubiłam go, bo serce miał do tej chaty, dwa razy ją rozbudowywał, naprawił piec. Siadałam sobie na ławce na werandzie i patrzyłam, jak idą roboty.

I teraz, na stare lata lubię sobie na tej ławeczce przysiąść. Siedzę, patrzę na góry i widzę, że się ludzie w chacie zmieniają, jak figurki w szopce w kościele. Był Zapałowicz, nie ma Zapałowicza, był Mączyński, nie ma Mączyńskiego. Jest Midowicz, za chwilę i jego nie będzie. Tego Midowicza sobie zapamiętałam, bo linię telefoniczną postanowił dociągnąć do Markowych Szczawin, taki obrotny! Przyniósł mi kubek kawy, przysiadł obok i zaczął się żalić, że Dyrekcja Poczt linię obiecała, wszystko było uzgodnione, ale wielcy z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego chyba woli do tego nie mają, bo zwlekają i zwlekają, kolejny miesiąc mija, rok trzydziesty trzeci zaraz się skończy, a tu cisza. A przecież pod śniegiem telefonu zakładać nie będą.

– Jeszcze ze trzy lata sobie poczekacie na ten telefon – powiedziałam i coś mnie tknęło, że ja już tego nie doczekam, ale tego Midowiczowi nie powiedziałam. Nie wszystko się chłopom mówi. Nie wszystko trzeba.

Bardzo mnie nogi bolały i coraz ciężej mi było na Babią włazić. Samej to zresztą i smutno było chodzić po zioła. Dobrze, że po drodze była ta chata. Chata Zapałowicza.

Grupa narciarzy i narciarek w schronisku na Markowych Szczawinach, 1936. Fotopolska.eu, domena publiczna



Pierwszy raz widziałam ją z daleka 15 września 1906 roku, kiedy wracałyśmy z Diablaka. Jesienią, w połowie września, kiedy w górach wieje silny wiatr, a nocą czasem ściśnie mróz, chodziło się zbierać korzenie i liście. Dobrze mi było z kobietami.

Niech sobie turyści zdobywają góry, niech gnają przed siebie, za horyzont, gdzie ich oczy poniosą. Jak świat światem kobiety z mojego rodu chodziły na Babią patrzeć pod nogi, na Bronie się kłaniały i palcami zrywały skarby. Szarozielone rośliny zbierane przy srebrnym świetle księżyca przez wszystkie pokolenia kobiet. Cośmy z nich potem robiły? A wszystko. Maści, nalewki, napary.

Ciotki poszły przodem, a ja przystanęłam wtedy między świerkami i patrzyłam na ludzi, którzy przyszli na otwarcie Chaty Zapałowicza. Zaproszeni goście wyszli przed ganek, huknęła kapela, oficjele ustawili się do zdjęcia. Ksiądz właśnie święcił chatę, widziałam ich wszystkich z daleka. Nie podchodziłam do nich. Ręce miałam brudne od roboty, chustkę ciężką. Trzeba było wrócić do wsi i zająć się tym, co ważne. Młoda wtedy byłam, szybka.

Podniosłam swoje stare kości z ławki, odstawiłam kubek.

– Z Bogiem – powiedziałam Midowiczowi i wszystkim jego następcom. – Z Bogiem.

I zaczęłam schodzić w dół, po długiej wędrówce.

↑ Otwarcie schroniska Babiogórskiego we wrześniu 1906 r. COTG PTTK, domena publiczna

PODZIĘKOWANIA

Praca nad tą książką trwała kilka wspaniałych miesięcy, podczas których miałam możliwość odwiedzić niezwykłe miejsca i spotkać cudownych ludzi. To z ich opowieści powstały te światy, w których głos zyskały postaci dotąd rzadko mające możliwość wypowiedzenia się: służące i portierzy, najniżsi rangą pracownicy i pracownice, dzieci. Ich światy nie byłyby tak wiarygodne i wierne rzeczywistości końca XIX i początku XX wieku, gdyby nie uważna, czuła lektura redaktorek, historyczek i historyków, specjalistek i specjalistów. Pozwólcie, proszę, że zgodnie z kolejnością rozdziałów podziękuję tym, których praca przyczyniła się do powstania tych opowiadań.

Pragnę podziękować o. Tomaszowi Abramowiczowi, rektorowi kościoła Przemienienia Pańskiego w Krakowie za oprowadzenie po Krypcie Męki Pańskiej i niezwykle poruszającą opowieść o pogrzebach, które od wieków odbywają się w tym miejscu.

Niezapomniane wrażenie wywarła na mnie wizyta w dawnym budynku Kasy Oszczędności w towarzystwie dyrektorek Banku Pekao S.A., pani Dyrektor Centrum Korporacyjnego Agnieszki Płonki i pani Dyrektor Makroregionu Południowego Agnieszki Zbiegi. To one pozwoliły mi spojrzeć na ten budynek z nieznanej perspektywy. Serdecznie dziękuję też pani Dyrektor Oddziału Adrianie Klęk oraz pozostałym Pracownikom i Pracownicom Banku Pekao S.A.

W chłodny, choć słoneczny dzień miałam okazję zwiedzić Fabrykę Lokomotyw oraz osiedle robotnicze z lat dwudziestych XX wieku w Chrzanowie. Składam podziękowania i wyrazy uznania dla wiedzy i wnikliwości wszystkich, którzy przyczynili się do powstania opowieści o Fabloku i inżynierze Kazimierzu Zembrzuskim. Zechcą je przyjąć pasjonujący się tym tematem Pracownicy i Pracownice Miejskiej Biblioteki Publicznej w Chrzanowie oraz zaangażowani w odkrywanie lokalnej historii mieszkańcy miasta: Małgorzata Zbroszczyk, Andrzej Stec, Piotr Olszowski, Aleksandra Czucz, Barbara Nosek, Grzegorz Piątkowski. Za możliwość wejścia na teren Fabloku dziękuję Krzysztofowi Janikowi z firmy Martech-Plus, Marcin Mistarz sp. j.

Osobne podziękowania pragnę złożyć Ewie Zembrzuskiej-Lenk za udostępnienie fotografii taty, Kazimierza Zembrzuskiego, skorygowanie nieścisłości i ciepłe słowa o opowiadaniach. Dziękuję.

Dla pasjonatów takich jak Grzegorz Pater i Michał Ściana nie ma rzeczy niemożliwych. Jestem pod wrażeniem Waszego zaangażowania w uruchomienie Lokalnej Kolei Drezynowej w Regulicach. Dziękuję za przejażdżkę „drogą żelazną nr 103" i kawał ciekawej historii.

Podczas zbierania materiałów do książki miałam niezwykłą przyjemność wysłuchać opowieści o rodzinie Thetschlów i poznać historię założenia pałacowego w Jaszczurowej. Ogromnie dziękuję pani Marii Thetschel-Zgud za poświęcony czas i cudowne popołudnie przy herbacie w Jaszczurowej.

Niezapomniana wyprawa na Babią Górę w towarzystwie znawcy regionu Piotra Krzywdy oraz pracownika COTG PTTK w Krakowie Sebastiana Kłosoka przyczyniła się do powstania opowiadania o schronisku na Markowych Szczawinach i nieistniejącym już schronisku Beskidenverein. Dziękuję Wam za fascynujące opowieści, wspólnie spędzony czas. W takim towarzystwie niestraszne deszcz i nadciągająca burza. Dziękuję też za wnikliwą lekturę tekstu.

Podziękowania należą się też pani Dyrektor doktor Kamili Follprecht oraz Pracownicom i Pracownikom Archiwum Narodowego w Krakowie za wyszukanie pięknych fotografii, a także Pracownicom i Pracownikom archiwum Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków za pomoc w dotarciu do dokumentacji niezbędnej, by te opowiadania mogły powstać.

Składam podziękowania panu doktorowi Remigiuszowi Kasprzyckiemu za wskazówki merytoryczne do tekstu o Poczcie Głównej oraz pani doktor Barbarze Wasiewicz z Muzeum Wydziału Lekarskiego CM UJ za wyszukanie fotografii dotyczących parku im. dra Henryka Jordana. Były one niezwykle inspirujące.

BIBLIOGRAFIA

KOŚCIÓŁ I KLASZTOR PIJARÓW W KRAKOWIE

„Czas", 16 listopada 1880, s. 2, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Dokumentacja prac konserwatorskich przeprowadzonych przez Firmę Konserwatorską Piotr Białko Zabytki Malarstwa, Rzeźby, Architektury Sp. z o.o. w latach 2017–2019 przy barokowych malowidłach ściennych w dawnej Kaplicy Świętych Schodów w krypcie kościoła pw. Przemienienia Pańskiego, opracowanie dr E. Buszko, mgr M. Rolewicz, Kraków 2020.

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Ikonografia ulic Św. Jana, Floriańskiej i Pijarskiej oraz środkowych odcinków ulic Św. Tomasza i Św. Marka w Krakowie, praca zbiorowa, Kraków 2019.

Norwid C., *Vade-mecum*, Wrocław 1990.

Pijarzy w kulturze dawnej Polski, praca zbiorowa, Kraków 1882.

Pogrzeb J.I. Kraszewskiego, „Czas", 19 kwietnia 1887, s. 1, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

„Tygodnik Ilustrowany" 1887, nr 225, s. 268–275, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Wkład pijarów do nauki i kultury w Polsce XVII-XIX wieku, red. I. Stasiewicz-Jasiukowa, Warszawa-Kraków 1993.

Wyka K., *Norwid w Krakowie*, „Pamiętnik Literacki" 1967, 58/2, s. 387–432.

Zgon i pogrzeb Mikołaja Zyblikiewicza, „Tygodnik Ilustrowany" 1887, nr 231, s. 371–372, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

KASA OSZCZĘDNOŚCI MIASTA KRAKOWA

Dokumentacja konserwatorska WUOZ, opracowanie B. Krasnowolski, J. Laskowicka, Kraków 1991.

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Kasa Oszczędności w Krakowie, „Czasopismo Techniczne" 1883, nr 11.

Knaus K., *Kasa Oszczędności w Krakowie*, „Czasopismo Techniczne" 1885, nr 2.

Komunalna Kasa Oszczędności Miasta Krakowa (broszura), Kraków 1933, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Mataniak M., *Utworzenie Kasy Oszczędności w Wolnym Mieście Krakowie i jej działalność w latach 1844–1857*, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

PARK IM. DRA HENRYKA JORDANA W KRAKOWIE

Jordanowskie idee zdrowia i wychowania fizycznego (100 lat później), red. M. Bukowiec, B. Zawadzka, Kielce 2008.
Kos Z., *Miejski Park im. dra Henryka Jordana w Krakowie*, Kraków 2006.
Miejski park dra Jordana w Krakowie, praca zbiorowa, Kraków 1894.
Śmierć zasłużonego filantropa, „Nowości Ilustrowane" 1907, nr 21, s. 2–3, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).
Torowska J., *Park im. dra Henryka Jordana*, Kraków 2006.
Wroczyński R., *Henryk Jordan. Propagator gier ruchowych*, Warszawa 1975.

POCZTA GŁÓWNA W KRAKOWIE

Dokumentacja konserwatorska WUOZ, opracowanie dr P. Dettloff, mgr. inż. arch. M.J. Łukacz, Kraków 2019 oraz A. Siwek, Kraków 1993.
Dwadzieścia lat poczty i telekomunikacji w Polsce niepodległej, Warszawa 1939, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).
Dzieje Krakowa, red. J. Bieniarzówna, J.M. Małecki, t. 4, Kraków 1997.
Jakubowski F. i in., *400 lat Poczty Polskiej*, Warszawa 1958.
Krakowski Szlak Kobiet. Przewodniczka po Krakowie emancypantek, t. II, red. E. Furgał, Kraków 2010.
Statut Klubu c.k. urzędników poczty i telegrafu w Krakowie, Kraków 1906, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).
Witkowska H., *Władysława Habichtówna (założycielka domów dla urzędniczek pocztowych)*, Kraków–Warszawa 1937, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

FABRYKA LOKOMOTYW „FABLOK" W CHRZANOWIE

Brandys K., Czucz A., Jędruszko D., Sęk J., *Spacerownik po Chrzanowie – „Szlak kolei"*, Warszawa 2016, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).
Fablok w Chrzanowie, red. B. Krasnowolski, Poznań 2004.

Wydawnictwo pamiątkowe Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce, Sp. Akc.: z okazji wykonania 500-ej lokomotywy, Warszawa 1932, ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Zembrzuski K., *W Biurze Konstrukcyjnym Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce. Wspomnienia 1928–1944*, oprac. red. E. Zembrzuska-Lenk, Warszawa 2015.

DROGA ŻELAZNA NR 103 – STACJA W REGULICACH

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Kulczyk K., *Regulice: historia, tradycja, współczesność*, Regulice–Chrzanów 2014.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, t. IX, Warszawa 1882.

PAŁAC THETSCHLÓW W JASZCZUROWEJ

Dokumenty i zdjęcia w posiadaniu Marii Thetchel-Zgud oraz wywiad przeprowadzony z Marią Thetchel-Zgud.

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Jaworska M., „Ciągle nie mogę poczuć się jak na swoim" (reportaż), praca dyplomowa napisana w Instytucie Dziennikarstwa UW pod kierunkiem red. B. Sułek-Kowalskiej, Warszawa 2010.

Raińska M., *Dwory Małopolski w fotografii archiwalnej*, Warszawa 2013.

Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, t. III, Warszawa 1882.

MUZEUM TURYSTYKI GÓRSKIEJ NA MARKOWYCH SZCZAWINACH W ZAWOI

Gdy do tej Babiej Góry przyjdziesz…, red. J. Stroka, t. 2, Bielsko-Biała–Sucha Beskidzka 1986.

Gedenkbuch die Sektion Bielitz-Biala des Beskiden-Vereines, 1904.

►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

Janicka-Krzywda U., Łajczak A., *Babiogórskie ścieżki*, Zawoja 1995.

Kapłon J., *Markowe Szczawiny. Schronisko PTTK im. Hugona Zapałowicza*, Kraków 2017.

Krzywda P., *Grupa Babiej Góry, Policy i Jałowca. Beskid Żywiecki*, cz. III, Warszawa 2001.

Lestyán S., *József Nádor. Egy alkató élet irásban és képben. 1776–1847*, Budapest 1943, http://mek.niif.hu/10400/10496/10496.pdf (dostęp: czerwiec 2021).

Steczkowska M., *Wycieczka na Babią górę*, „Tygodnik Ilustrowany" 1869, nr 74–76, s. 272, 282, 309, cz I: ►LINK ; cz II: ►LINK ; cz III: ►LINK (dostęp: czerwiec 2021).

ROZWINIĘCIA SKRÓTÓW NAZW INSTYTUCJI, KTÓRE UŻYCZYŁY ZDJĘĆ DO ZILUSTROWANIA KSIĄŻKI:

ANK	Archiwum Narodowe w Krakowie
CAZCh	Cyfrowe Archiwum Ziemi Chrzanowskiej
COTG PTTK	Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego
JBC	Jagiellońska Biblioteka Cyfrowa
LKDR	Lokalna Kolej Drezynowa w Regulicach
MEK	Magyar Elektronikus Könyvtár
MIK	Małopolski Instytut Kultury w Krakowie
MNK	Muzeum Narodowe w Krakowie
MWL CM UJ	Muzeum Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego
NAC	Narodowe Archiwum Cyfrowe
Polona	zbiory Biblioteki Narodowej
ŚBC	Śląska Biblioteka Cyfrowa

W KSIĄŻCE WYKORZYSTANO FOTOGRAFIE:
S. 10–11: NAC 1-U-2441-1; **S. 12:** Polona A.1012/G.XIX/I-12; **S. 13:** NAC 1-U-2905-1; **S. 14:** ANK 29/1410/ABM Plany archit., Kościoły, Pijarzy 3; **S. 16:** Polona F.14845; **S. 17:** Polona Rps 6313 II; **S. 21:** ANK 29/671/686; **S. 22–23:** MNK III-ryc.-28023; **S. 24:** MNK III-ryc.-29143; **S. 25:** Polona mf. 33560; **S. 28–29:** NAC 1-N-2539-2; **S. 30, 36, 37, 38, 39, 45:** Polona DŻS VIA 5; **S. 33:** ANK 29/1410/ABM, ul. Szpitalna 15, F. 916, pl. 4; **S. 40–41:** NAC 1-G-6122; **S. 46–47:** NAC 1-P-2223d-3; **S. 48:** JBC NDIGCZAS000048; **S. 50:** ANK 29/1591/71; **S. 52–53:** ANK 29/410/BM, al. 3 Maja 11, F. 554, pl. 4; **S. 54:** ANK 29/670/1665; **S. 55:** ŚBC G 4438 II; **S. 56:** ANK 29/1410/ABM TAU BUP 28 p 2439; **S. 57:** ANK 29/1591/668; **S. 58:** Polona II 813.270 A; **S. 61:** NAC 1-U-3046-4; **S. 62–63:** NAC 1-G-5326-2; **S. 65:** Polona DŻS XII 8b/p.8/3; **S. 67:** ANK 29/1591/617; **S. 71:** ANK 29/670/10176; **S. 72:** Polona DŻS XII 8b/p8/3; **S. 73:** NAC 1-G-5325-3; **S. 76:** ANK 29/670/10177; **S. 77:** ANK 29/670/10174; **S. 79:** NAC 1-G-5427-2; **S. 84:** NAC 1-G-1597-1; **S. 85:** NAC 1-G-1597-7; **S. 86–87:** NAC 1-G-1597-4; **S. 88, 91:** Polona DŻS XIE 4; **S. 98–99:** NAC 1-G-3072; **S. 103:** Polona F.60662/I; **S. 110–111:** NAC 1-U-5713; **S. 115:** NAC 1-G-3650-2; **S. 140:** Polona DŻS XII 8b/p.21/30; **S. 142:** Polona DŻS XII 8b/p.1/17; **S. 143:** Polona F.63787/I; **S. 144–145:** NAC 1-S-3720-1.
OKŁADKA: NAC 1-S-211-3.
Fotografie archiwalne dotyczące Pierwszej Fabryki Lokomotyw w Polsce „Fablok" w Chrzanowie ze zbiorów Muzeum w Chrzanowie zostały zdigitalizowane przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Chrzanowie w ramach współpracy przy Cyfrowym Archiwum Ziemi Chrzanowskiej.

Dołożyliśmy wszelkich starań, aby dotrzeć do autorów zdjęć publikowanych w niniejszej książce. Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznany.

KOLEJE MAŁOPOLSKIE

Z NAMI WSZĘDZIE JEST BLISKO



znajdź nas na | find us on

Zostań

TYGODNIK POWSZECHNY

PATRONKĄ PODKASTU POWSZECHNEGO

od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na:
Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

Ciesz się nagrodami i słuchaj podkastów tworzonych z myślą o Tobie!



FOT. KRZYSZTOF MAKARA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

Zapraszam!
Marta Filipiuk-Michniewicz

Organizator:

małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA

Partner wydarzenia:

KOLEJE MAŁOPOLSKIE

Gospodarze:

- Bank Pekao S.A.
- Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK
- Fundacja im. Rodziny Thetschlów
- Kolegium Zakonu Pijarów – Pijarska
- Lokalna Kolej Drezynowa w Regulicach
- Miejska Biblioteka Publiczna w Chrzanowie
- Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie
- Zeitgeist Asset Management

Bank Pekao

KRAKÓW PIJARSKA PIJARZY

LKD

Miejska Biblioteka Publiczna w Chrzanowie

Zarząd Zieleni Miejskiej w Krakowie

ZEITGEIST ASSET MANAGEMENT

Partnerzy publikacji:

- Archiwum Narodowe w Krakowie
- Biblioteka Narodowa (Polona)
- Cyfrowe Archiwum Ziemi Chrzanowskiej
- Muzeum Narodowe w Krakowie
- Muzeum Wydziału Lekarskiego CM UJ
- Narodowe Archiwum Cyfrowe
- Śląska Biblioteka Cyfrowa

ARCHIWA PAŃSTWOWE ARCHIWUM NARODOWE W KRAKOWIE

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Patroni medialni:

DZIENNIK POLSKI

Kraków Culture KARNET

miasto DZIECI.pl

Polska Niezwykła.pl

przełom

RADIO KRAKÓW

TVP3 KRAKÓW

Partner dodatku:

TYGODNIK POWSZECHNY

dnidziedzictwa.pl

Skromny zakonnik, który posługuje w jednym z krakowskich klasztorów, bawiąca się w parku dziewczynka, robotnik, który zawrócił ze źle obranej drogi życiowej, głodna przygód córka zawiadowcy stacji, młody chłopak ogarnięty pasją do kolei, doświadczona życiem telegrafistka, energiczna służąca i znachorka spod Babiej Góry… Narratorzy i narratorki opowiadań składających się na tę książkę to całkiem zwyczajni ludzie. Podążają swoimi ścieżkami, wciąż konfrontując się z innymi, ciągle w tłumie. Choć czasem samotni, nie sami. Nie mają ambicji, by znaleźć się w centrum wydarzeń, nie chcą też nas do niczego przekonywać. Snują swoją gawędę, jak im w duszy gra. Czasem coś przekręcą, czasem wyolbrzymią, czasem nabają. Ukryci za swoimi drobnymi sprawami, mówią chyba więcej niż niejeden podręcznik historii.

Tę książkę napisała Barbara Sadurska – absolwentka polonistyki i prawa, specjalistka od prawa autorskiego. W 2019 roku zadebiutowała docenionym przez czytelników i gremia literackie tomem opowiadań *Mapa*, za który odebrała kilka nagród, w tym nagrodę im. Witolda Gombrowicza. Od lat mieszka w krakowskim Podgórzu.



Barbara Sadurska, fot. J. Nowostawska-Gyalókay

Publikacja bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży
ISBN 978-83-61406-51-8